



*Tonya Wood*  
***Mężczyzna doskonały***  
Tytuł oryginału *Gorgeous*

Przełożyła Justyna Zandberg



## ***MĘŻCZYZNA DOSKONAŁY***

- Hej - odpowiedziała powoli. - Jak się czujesz?

- Jak nigdy. Dlaczego się ubrałaś?

- Podniósł prześcieradło w zapraszającym geście.

- Wracaj do łóżka.

- No nie. - Mercy już wiedziała. Żółte slipy, obszyte na biało.

- Nie miał zbędnego grama tłuszczu, a niebo świadkiem, że widziała teraz lwią część tego ciała.

- Trochę ci się pomyliło.

- Ja znalazłam cię w windzie. Może byś się przykrył?

- Jeszcze się przeziębisz.

## **ROZDZIAŁ 1**

Potrzebna mu była tylko aspiryna.

W aptece straci najwyżej dwie minuty. Samochód zaparkuje na drodze pożarowej, aby mieć zapewniony szybki odwrót. Stwierdził, że ten numer się uda.

Sam Christie wyprowadził swojego dzipa renegade z parkingu, niemalże otarł się o kiosk z gazetami i wyhamował za ledwie o pięć centymetrów od hydrantu. Nie zamierzał parkować na chodniku, ale gorączka rosła nieubłaganie. Łzawiły mu oczy, drżały mięśnie, a ból głowy był tak przejmujący, że myślenie stawało się torturą. Jak na "mężczyznę w pełni sił, powalonego przez złośliwego wirusa grypy, i tak doskonale prowadził,

Nasunął czapkę na oczy i podniósł kołnierz koszuli. Wyobraźnia podsunęła mu wizerunek Humphreya Bogarta stawiającego kołnierz płaszczu, aby nie zwracać na siebie uwagi. Kolorowa koszula Sama gorzej wywiązywała się z tego zadania, ale nawet ta odrobina intymności podniosła go na duchu. Wysiadł z samochodu i wszedł do sklepu, starając się zachowywać

swobodnie. Strumień powietrza z klimatyzatora. uderzył jego rozgorączkowaną skórę niczym lodowaty huragan, niestety dreszcze się nasiliły.

Zauważył, że ubrana w jaskraworóżowy kostium kobieta w średnim wieku przypatruje mu ze szczególnym wyrazem twarzy, więc przyspieszył kroku, Dopadł regału z lekami, chwycił buteleczkę z aspiryną i pognał w kierunku stoiska z drinkami po olbrzymiego Tummybustera: napój winogronowy, tak zmrożony, żeby wyczuwało się w nim kryształki lodu. Zdał sobie sprawę, że kobieta, trzymając się w pewnej odległości, nadal go obserwuje. Skierował się do lady tak szybko, jak mu na to pozwalały galaretowate nogi. Przed nim w kolejce stały dwie osoby. „Ależ ja mam szczęście!” - pomyślał. Pot wystąpił mu na czoło i musiał się oprzeć o stojak z gazetami. Ostatnio w kolejkach do kasy zdarzały mu się same nieprzyjemne rzeczy.

- Przepraszam.

Ktoś dotknął jego ramienia. Sam spojrzał na stojącą za nim kobietę. Jego różowy cień.

- Słucham?

- Nie mogę w to uwierzyć. - Podniosła ręce do twarzy, a jej oczy rozszerzały się coraz bardziej. - Stoi pan tutaj przede mną! Wiedziałam, że mieszka pan w Denver, ale nigdy nie przypuszczałam, że się spotkamy. Mój Boże, to naprawdę pan!

Jej dudniący głos nie tylko wzbudzał wielkie zainteresowanie, lecz także wzmagał okropne pulsowanie w głowie Samą.

- To chyba jakaś pomyłka - niemalże wybełkotał. - To nie ja. Chciałem powiedzieć, pomyliła mnie pani z kimś,

Nie słuchała. Wyciągnęła z pojemnika ostatni numer jakiegoś czasopisma i przenosiła rozjaśnione oczy z błyszczącej okładki na twarz Sama i z powrotem.

- Pan tu jest, na tej okładce. „Sam Christie, Wieczny Buntownik”. Niech mnie ktoś uszczypnie!

Kasjer przerwał liczenie. Starsza kobieta przed. Samem założyła okulary i spojrzała na niego uważnie. Wokół kasy zaczęli gromadzić się gapie, falująca mozaiką jaskrawych kolorów i podnieconych głosów. Sam zastanawiał się, jak długo jeszcze jego biedne nogi będą go podpieierać.

- Lód mi się topi - wymamrotał.

Czy mogłabym dostać pański autograf? - zapytała kobieta w różowym kostiumie, wymachując mu magazynem przed twarzą.  
- Proszę napisać coś na okładce i zaznaczyć, że to dla Audrey Krantz. Mój mąż nie uwierzy, że rzeczywiście się spotkałiśmy. On wyobraża sobie, że potrafi jeździć na nartach, ale oczywiście jest nikim w porównaniu z panem. Złoty medalista olimpijski, wyobraźcie sobie! Nigdy nie zapomnę tego wywiadu sprzed kilku lat, zanim wystartował pan w. zjeździe. Siedział pan zupełnie opanowany i po prostu obiecał Ameryce złoty medal. Doyle powiedział, że jest pan zarozumiały.

Sam zamrugął niepewnie.

- Doyle?- zapytał.

- Mój mąż. Powiedział, że to zarozumiałstwo, ale ja mówiłam, że to wiara we własne możliwości. Cudownie związywał pan włosy w kucyk. Doyle twierdził, że jest pan nadęty, ale ja uważałam, że to przejaw wolnego ducha.

- Rację miał Doyle.

- Czy uwierzy pan, że kupuję mężowi tylko bieliznę Comfort Weave i to jedynie dlatego, że wygląda pan tak bosko w reklamówkach?

Bardzo mi się podobał pański program w telewizji, reklamujący uzdrowiska - wtrąciła starsza kobieta. - Jeszcze nie jestem za stara, żeby podziwiać piękne ciało.

Sam, czuł się coraz gorzej i współczuł sobie bardziej niż trochę. Chciał iść do domu, doświadczenie nauczyło go jednak, że lepiej poddać się tłumowi bez oporu^ Poruszając, się bardzo powoli, ostrożnie postawił napój na ladzie i wyjął z kieszeni długopis. Audrey wręczyła mu czasopismo, a on nagryzmoilił nieczytelne podziękowanie dokładnie w poprzek własnej rozeseimianej, opalonej twarzy. Zanim zdążył schować długopis, ktoś inny podetknał mu kolejny egzemplarz tego samego magazynu i poprosił o napisanie paru słów dla Katie. Potem była Alion, potem Cricket, a potem Joe Gomośe pragnący otrzymać autograf dla swojej córki, Peggy. Sam z ledwością rozumiał jedno zdanie z dziesięciu, które do niego mówiono. Kiedy wreszcie zdołał uciec do samochodu, włosy miał mokre od potu, a ból głowy objął całe ciało. Bolało go wszystko, każda wymęczona kostka, każdy zeszywniały staw. Popił trzy aspiryny, krzywiąc się niemiłosiernie. Ruszył do domu. Gorące powietrze zdawało się drgać wokół niego. Utrzymanie dżipa na jezdni wymagało niewiarygodnej uwagi, zwłaszcza że od zachodu nadciągnęła burza-, i widać było tylko niewyraźnie przeblyskujące przez zaslonę wody światła. Gdy w końcu wjechał do podziemnego parkingu pod blokiem, w którym mieszkał, odetchnął z ulgą. Jedenaście piętér wyżej, w cudownie intymnym, cudow-

nie cichym mieszkanku na poddaszu, znajdował się niezawodny materac do masażu. „Nie ma to jak w domu” - pomyślał Sam.

Musiał się jednak jeszcze wydostać z podziemia na najwyższe piętro, a winda nie chciała 'z nim 'współpracować. Sam kilkakrotnie naciskał migoczące na tablicy guziki, ale udało mu się jedynie sprawić, że winda jeździła w górę i w dół niczym piłeczka jo-jo. Gdy drzwi otworzyły się w końcu na dziesiątym piętrze, napój zdążył się wychłapać z kubka i ściekał Samowi po palcach - ale dziesiąte piętro - to był sukces. Powoli, z dziecięcą rozważą, nacisnął guzik na ostatnie piętro. Drzwi znów się zamknęły i winda ruszyła. Sam był wyczerpany, lecz triumfował. Oparł się plecami o ścianę i patrzył zaskoczony błyszczącymi z gorączki oczyma, jak podłoga powoli usuwa mu się spod stóp. Zirykowało go, że wypada z gry, gdy jest już taki bliski celu.- Dlaczego nie pozbył się napoju, zanim wszedł do windy? Popłami sobie nową koszulę. Nigdy nie pozbędzie się tych plam. Nigdy,..

Wszystko wokół stało się zamglone i wykrzywione, szybko zacierając się w szarości. Znikało... Znikało... Znikło.

Mercy Rose Sullivan miała czkawkę. Dostała telegram, który ją zdenerwował, a kiedy była zdenerwowana, zawsze miała czkawkę. Założyła na głowę papierową torbę i starała się uspokoić. Zazwyczaj jedyną metodą pozbycia się nerwowej czkawki było wdychanie tlenu węgla czy też dwutlenku węgla, czy jak tam się nazywa to, co wciąga w płuca osoba oddychająca wewnątrz papierowej torby. Niestety, ta czkawka pochodziła z głębin jej sfrustrowanej duszy i zachowywała się wyjątkowo

uparcie. Po pięciu minutach ciągle jeszcze nie chciała minąć, ale za to Mercy poczuła przyływ klaustrofobii. Zdarła z siebie torbę i spróbowała wstrzymać oddech, stojąc na głowie. To także nie poskutkowało, opadła więc bezwładna i nadal czkająca.

I to wszystko przez tego cholernego jankesa. Mercy przekęciła się na plecy i zmarszczywszy brwi, spojrzała na fotografię stojącą na kominku. Czysta doskonałość zamknięta w ramce dziesięć na piętnaście centymetrów, zielonooki Adonis ze świetnie uformowanymi kośćmi policzkowymi-, kwadratową szczęką i delikatną kreską biegnącą przez jakże Inęski podbródek. Drobniutkie zmarszczki otaczały także doskonały uśmiech. Mercy z poczuciem winy pomyślała o swojej ostatniej wizycie u dentysty. Gęste ciemne włosy Adonisa opadały w lokach spod baseballowej czapki drużyny New York Yankees; końcowy efekt przyspieszał rytm serca. Ramiona, równie doskonale jak cała reszta, nadawały niewiarygodny kształt noszonemu przezeń szaremu baseballowemu kostiumowi. Samo patrzenie na to wcielenie męskiej urody potęgowało czkawkę Mercy. Był amerykański w każdym calu. Był męski. Był rozbrajający i czarujący.

Przyjedzie tu jako zwycięzca.

Mercy mocno zacisnęła oczy, po czym otworzyła je znowu. - Ja tu rządę - powiedziała do poruszającego się z wolna pod sufitem wentylatora. - Tucker Healy to już przeszłość - hik- to mój były narzeczony. Moja była pięta achillesowa. Moje były wszystko. Kim ja jestem? Dojrzałą, nie-, zależną kobietą czy bezradnym – hik - królikiem?



Znała siebie zbyt dobrze,, żeby odpowiadać na to pytanie. Oplotła się mocno ramionami, starając się przetrzymać kolejny gwałtowny atak czkawki. Nikt, *nikt* nie potrafił ściągnąć z niej papierowej torby szybciej niż Tucker Healy. Na Tuckeropochodne czkawki cierpiała od czasu, gdy była trzynastoletnią dziewczynką. On był światłem jej oczu i cierniem w jej boku. A teraz, dziesięć lat później, chciała uwierzyć, że wszystko się zmieniło. Chciała uwierzyć, że nie jest już podatna na jego chłopcę wdzięk. Złamane serce i zerwane zaręczyny nie wyleczyły jej, tak samo zresztą jak dzielące ich trzy tysiące kilometrów. Może powinna dostać po głowie baseballowym kijem. To by ją na pewno wyleczyło.

Musiała wyjść z mieszkania. Kolejny etap jej rutynowej chandry objawiał się przyływem apetytu. Skoczyła na równe nogi i pobiegła do schowka w korytarzu. Wciągnęła na wyblakłą bawełnianą piżamę dziwacznie skrojony przeciw-: deszczowy płaszcz. Podciągnęła nogawki, aby ukryć zdradzieckie różowe wzorki i włożyła żółte kalosze. Plastikowy kapelusz o zdefasnowanym rondzie i agresywnie różowa parasolka z emaliowaną rączką ;w kształcie gęsiej główki dopełniały dziwaczego stroju. W samym środku psychicznego dołka nikt nie troszczy się o modny wygląd. Poza tym pozostało tylko dwadzieścia minut do zamknięcia delikatesów po drugiej stronie ulicy. A teraz właśnie<sup>1</sup> szczytem jej marzeń był wielki kawał firmowego, nieprzyzwoicie wprost kalorycznego ciasta i równie wielki kawał szarlotki. Olbrzymia dawka cukru na pewno pozwoli jej zapomnieć o Przeznaczeniu zbliżającym się lotem numer 309.

Mieszkanie Mercy znajdowało się na czwartym piętrze, dokładnie wprost windy. Mimo to nie miała zamiaru z niej korzystać, gdyż winda wywoływała klaustrofobię jeszcze pewniej niż papierowa torba. Zamknęła drzwi na klucz, przewiesiła parasolkę przez ramię i skierowała się prosto ku schodom. Nigdy nie zauważyłaby buta sterczącego, z drzwi windy, gdyby się o niego nie potknęła.

Zastygła w bezruchu i dwukrotnie zamrużyła oczami. Białe, skórzane, sportowe buty nie pozwalały domknąć się drzwiom windy. Co gorsza, do buta doczepiona była noga, a o ile mogła dojrzeć przez dziesięciocentymetrową szparę, do nogi doczepione było ciało.

Uderzyła się ręką po ustach, aby stłumić wybuch czkawki, gdy nagle usłyszała jęk dochodzący z windy. Zdała sobie sprawę, że jej mieszkaniowiec nie jest martwy. Niech sobie będzie ranny albo pijany. Dobrze, że żyje. Przygryzając dolną wargę, Mercy delikatnie szturchnęła biały trzewik końcem parasolki. Stopa drgnęła gwałtownie i ochryłym głosem oznajmiła dość wyraźnie:

- Żadnych autografów, moje panie. Boli mnie głowa. Najwyraźniej był to pijak. Ale za to pijak z osobowością;

Mercy nacisnęła parasolką dolny guzik i ściskające nogę drzwi się rozchyliły. Teraz mogła dokładnie obejrzeć sobie niefortunną ofiarę przyjęcia, rozciągniętą na podłodze. Cóż to musiało być za przyjęcie! Granatowo-biała koszula podciągnięta była wysoko ponad talię, odsłaniając szeroki pas delikatnej, opalonej skóry. Kołnierz koszuli poplamiony był czymś jasnopurpurowym, podobnie zresztą jak szyja, szczęki i podbródek.

Purpurowe krople połyskiwały w gęstwinie splątanych ciemno-złotych włosów i skapywały z czubka nosa. Błękitna baseballowa czapka spoczywała na podłodze obok głowy ofiary. Widok tej czapki przypominał Mercy; o Tuckerze Healy i wywołał już chyba czwarty wybuch wstrząsającej żebrami czkawki.

„Na świecie jest stanowczo zbyt wielu mężczyzn - pomyślała poirytowana Mercy. - Kiedy człowiek zaczyna się potykać o nich w windzie, trzeba koniecznie coś zrobić”.

Zaryzykowała jeden, a potem drugi krok do wewnątrz i ukłękła. Ostrożnie, pociągnęła leżącego za brzeg dżinsów.

- Halo, czy wszystko w porządku? Słyszysz mnie pan?

- Nie noszę bielizny Comfort Weave - powiedział. - Ona dra pie.

Mercy wytrzeszczyła na niego oczy, zastanawiając się, czy dobrze usłyszała. Potem pociągnęła nogawkę trochę mocniej.

- Nie obchodzi mnie twoja bielizna, idioto. Mam własne problemy. Musisz iść do domu i się przespać. Nie możesz tu zostać.

Chrząknął i poruszył niespokojnie głową. Skórę miał suchą i napiętą, a czoło zroszone drobnymi kropelkami potu. W tym momencie dopiero Mercy zauważyła, jak ciepłe było powietrze wokół niego. Delikatnie dotknęła nagiego ramienia. Było rozpalone.

- Chyba nie jesteś pijany - stwierdziła.

Nagle otworzył oczy i skierował je na Mercy. Nigdy przedtem nie widziała tak roziskrzonych, świetlistych, błękitnych oczu w sąsiedztwie tak woskowo bladej skóry. Ciemne rzęsy ze złotymi koniuszkami ledwo były widoczne spod splątanej, spoconej grzywki.

- Pijany? - powtórzył zakłopotany. - Po jednym Tummybusterze?

Teraz Mercy dostrzegła pusty plastikowy kubek w rogu windy.

- Co się stało? Zostałeś napadnięty?.

- Zasłabłem. - Jego błyszczący wzrok napotkał jaskraworóżową parasolkę, którą Mercy trzymała pod pachą. - Pa-skudny kolor.

W windzie odezwał się dzwonek i drzwi zaczęły się zamykać. Mercy uniosła parasolkę i wcisnęła przycisk, by temu zapobiec, po czym wetknęła rączkę w kształcie gęsiej główki między drzwi, aby upewnić się, że pozostaną otwarte. Nie chciała się dać zamknąć w ciasnej pułapce razem z chorym egocentrykiem, który na dodatek prawdopodobnie nie miał na sobie żadnej bielizny.

- Słuchaj, potrzebujesz pomocy - powiedziała, podnosząc się z kolan. - Zadzwońę po lekarza. A ty...

- Chwileczkę - usiadł bardzo powoli, dźwigając się na kolana i ukrywając obolałą głowę w dłoniach. - Uspokój się. Byłem już u lekarza. Powiedział, że jestem chory!

- Jasnowidz - mruknęła Mercy. Patrzył na nią przez rozczapierzone palce.

- Powiedział, że powinienem iść do domu i wypoczywać, ale... mam mały kłopot z dojściem do mieszkania. Gdzie jestem?

Mercy zsunęła kapelusz na tył głowy i. spojrzała na mężczyznę niespokojnie.

- Chelsea Towers.

- To wiem. Które piętro?  
- Czwarte.  
- Czwarte?! - patrzył na nią przez palce. - Znowu? Ta cholerna winda dostała szału. Na twoim miejscu nie wsiadałbym. Nigdy się stąd nie wydostaniesz.

Mercy stwierdziła, że już najwyższy czas, żeby przejąć kontrolę nad mężczyzną, cholerną windą i całą sytuacją. Przejmowanie kontroli nie było jej najmocniejszą stroną, ale chyba nie miała wyboru. Najwyraźniej ten facet nie był w stanie dojść do mieszkania o własnych siłach, a już na pewno nie po schodach. Wzięła głęboki oddech i zmierzyła wnętrze windy .okrągłymi ciemnymi oczyma. Powinna wytrzymać krótką podróż, nie popadając w szaleństwo. Powinna. Chyba.

Mercy odchrząknęła i skrzyżowała ramiona.

- Na którym piętrze mieszkasz?

Wzdrygnął się, jak gdyby, zapomniał, że ona tam jest.

- Co? A, na ostatnim. Zachowaj to dla siebie. Muszę mieć trochę, prywatności. - Potarł pięściami zaczerwienione oczy.

Mercy schyliła się i uwolniła rączkę parasolki spomiędzy drzwi. Po raz ostatni spojrzała na przestronny, wysoki korytarz, zanim niechętnie nacisnęła guzik na jedenaste piętro.

- Nie martw się - rzekła ochryple, starając się uspokoić sama siebie. - Wszystko będzie w porządku. Zanim się obejrzysz, będzie po wszystkim.

- Doktor powiedział, że to potrwa najwyżej kilka dni. Drobną infekcją.

Mercy spojrzała na niego z dezaprobatą. Zaciśnęła ręce na rondzie kapelusza, starając się zagłuszyć monotonne buczenie

windy. To mogło potrwać jeszcze najwyżej kilka sekund. Niemal krzyknęła z ulgą, gdy drzwi windy otworzyły się w końcu na jedenastym piętrze. Z desperacką siłą chwyciła ręce mężczyzny. Zachwiał się i o mało nie upadli oboje, zanim Mercy odzyskała równowagę.

- Jeżeli zemdlejesz - wysyczała przez zaciśnięte zęby - zostawię cię tutaj, żebyś umarł. Przysięgam, że tak zrobię.

- Byłabyś wspaniałą pielęgniarką. - Oparł się o nią całym ciężarem. - Poczekaj, niech złapię oddech.

- Nie. - Ściany zwęzły się, a sufit obniżał coraz bardziej. Założyła sobie ramię mężczyzny na kark i ruszyła naprzód, zgięta pod ciężarem dwumetrowego kolosa. - Przebieraj nogami, dobrze?

- Ale jesteś niska - zauważył, zgniatając jej kapelusz podbródkiem.

- Ale jesteś lepki. Dobrze, że wzięłam płaszcz przeciwdeszczowy. Będę musiała się wykapać po powrocie do domu. - Przeciągnęła mężczyznę przez próg, prezentując nadprzyrodzoną siłę doprowadzonej do ostateczności kobiety. W holu zatoczyli się i zatrzymali.

Mercy zachłannie wdychała powietrze.

- Mój Boże - wykrztusiła. - Powinnaś dostać za to medal, naprawdę. Dobrze, którądy teraz? W prawo czy w lewo?

- W lewo- powiedział i skreślił w prawo.

Mężczyźni tak kiepsko znosili ból. Mercy zaparła się kਾਲszami w podłogę i potrząsnęła go za ramię.

- Numer. Jaki jest numer twojego mieszkania?

Długo nie odpowiadał i Mercy przestraszyła się, że nie pamięta.

- Jedenaście C - powiedział w końcu ochryple. - Tym korytarzem. Wszystko jest już pod kontrolą. Chcesz mój autograf?

- O niczym innym nie marzę - mruknęła Mercy, ponaglając go. - Idziemy. Stawiaj stopę za stopą.

Poruszali się w zółwym tempie. Na jeden krok w przód przypadały dwa do tyłu; jednak dzięki Mercy utrzymywali się w pozycji pionowej i poruszali się we właściwym kierunku. Nie miała już czkawki - niewielka to pociecha w zamian za podeptane stopy. Mężczyzna bynajmniej nie poruszał się zwinnie i z wdziękiem.

- Nareszcie - wysapała, gdy na końcu korytarza ukazały się wykładane białą boazerią drzwi. Oparła mężczyznę o ścianę i przyglądała mu się przez moment, niepewna, czy tam pozostanie. - W porządku? Dobrze. Gdzie jest klucz?

- A... mój klucz. - Zmarszczywszy czoło, poklepywał się po kieszeniach dzinsów zeszytwniałymi rękami. - Jest gdzieś tutaj.

Wyciągnął z kieszeni małą buteleczkę z aspiryną i spięte kółkiem klucze, po czym znowu zmarszczył brwi, jak gdyby próbował zdecydować; który z tych przedmiotów służy do otwierania drzwi. Zirytowana^ wyciągnęła rękę po klucze.

- Mogłabym przysiąc, że los wziął się na mnie - mruknęła, wypróbowując jeden klucz po drugim. - Delikatesy są już za-

mknięte i nie dostanę ciasta. Naprawdę miałam na nie ochotę. Potrzebowałam tego ciasta. - Znalazła właściwy klucz i otworzyła szeroko drzwi. - Proszę bardzo - zwróciła się do bladego posągu opierającego się o ścianę. - Chyba musisz wziąć parę tabletek aspiryny i iść prosto do łóżka.

- Zgadłaś - wymamrotał, stojąc zupełnie nieruchomo.

- Nie. zgub tego. - Wetknęła mu klucz w rękę. - Słuchaj, czy wszystko w porządku?

- To tylko drobna infekcja.

- No cóż, jeśli jesteś pewien,...

- Zgadłaś - powtórzył, powoli przysmykając oczy. Nagle kolana się pod nim ugięły i poleciał przed siebie, wbijając brodę dokładnie w środek głowy Mercy. Krzyknęła z bólu i zatoczyła pod niespodziewanym ciężarem. Dzięki Bogu nie zemdleł - Mercy nie miałyby najmniejszej szansy w walce przeciwko blisko stu kilogramom bezwładnego ciała. Po prostu nagle przestało mu zależeć na dalszym pozostawaniu w pozycji pionowej.

- Wstawaj- rozkazała Mercy z twarzą rozpląszczoną na pierś chorego. - Odwróć się... wejdziemy do środka.

- Myślałem, że nigdy się tu nie dostanę - powiedział ochryple. Oplótł Mercy ramieniem, obejmując dłonią wzniesie nie jej piersi. - Nie mogłem od nich uciec... To jest nie do opanowania...

- Nie mogłeś uciec od kogo?- zapytała Mercy, usuwając rękę.

- Od tych kobiet. Audrey, Allison, Katie. Nie pamiętam pozostałych. Były bezlitosne.



Usta Mercy drżały od hamowanego śmiechu, gdy tylko spojrzała na jego umorusaną twarz. Proszę, jak gorączka wydo-  
bywała z człowieka najskrytsze marzenia. Umyty, bez wątpie-  
nia byłby bardzo atrakcyjny, ale nie podejrzewała, że mógłby  
być obiektem niepohamowanego pożądania.

- Jeszcze kilka kroków, Romeo. Dobrze. Trzymaj się przez  
chwilę, a ja zamknę drzwi. W porządku. Którędy do sypialni?

Oparł podbródek na czubku jej głowy.

- Ale jesteś niska.

- Ale za to jestem odważną. - Włączyła światło, ledwo za-  
uważając modernistyczny wystrój przestronnego pokoju, fanta-  
zyjne krzesła i rzędy lamp. - Którędy? Tym korytarzem?

- Tym korytarzem - potwierdził ze zmęczeniem w głosie.  
Znowu potknął się o jej stopę i zaklął. - Przepraszam. Kiedy  
mam gorączkę, nie mogę zachować ko... koor... równowagi.  
Zazwyczaj nie jestem taki niezgrabny.

- Oczywiście, że nie jesteś - odparła Mercy, otwierając kop-  
niakiem drzwi do sypialni. Udało jej się też zapalić łokciem  
światło. - Jestem przekonana, że jesteś bardzo skoordynowany.

Kiwnął głową.

- Jestem. Mam medale. Ale musiałem przestać, bo miałem  
kłopoty z kolanami.

Mercy roześmiałyby się, gdyby miała choć trochę powietrza  
w płucach. Nie miała najmniejszego pojęcia, o czym ten dziwak  
mówił, i później doszła do wniosku, że musiała się przesłyszeć.  
Dociągnęła go do olbrzymiego łóżka zajmującego środek poko-  
ju i odwróciła tyłem. Łóżko było wystarczająco szerokie, aby  
pomieścić trzy lub nawet cztery osoby i, co zauważyła z trochę

złośliwym uśmieszkiem, było w sam raz dla człowieka, który zdobywał medale za koordynację.

- Kładź się, kochany - powiedziała, opierając palec wskazujący na piersi medalisty i pchając delikatnie. Przez chwilę chwiał się na nogach, po czym westchnął i runął plecami na łóżko. Mercy uśmiechnęła się radośnie. Świat byłby o wiele piękniejszy, gdyby wszystkimi mężczyznami dało się tak łatwo manipulować.

- Zachowuj się grzecznie i odpoczywaj, a ja przyniosę ci aspirynę. Upuściłeś ją w korytarzu.

- To był straszny dzień - wymamrotał, zakładając ręce pod głowę. - Odpocznę chwilę i odprowadzę cię do domu...

- Świetny pomysł. - Mercy zdała sobie sprawę, że chyba powinna była zdjąć przepiękną beżową jedwabną narzutę, zanim mężczyzna zwałił się na łóżko, ale było już za późno.

Teraz leżał na niej, a Mercy nie miała zamiaru próbować go znowu podnosić. Przyniosła buteleczkę z aspiryną z holu i znalazła drogę do kuchni. W kuchni wszystko aż lśniło: mosiądz, oszklone szafki, marmurowe blaty i nowoczesne sprzęty. Całość była doskonale zaprojektowana, potwornie droga i zimna jak lód. Mercy dosłownie poczuła gęsią skórkę, gdy napełniała szklankę wodą z kranu wyrzeźbionego na kształt kobry szykującej się do skoku. Ona wynajęła mieszkanie od starego przyjaciela rodziny, któremu uczelnia zafundowała trzymiesięczny urlop w Europie. Panował tam swojski bałagan; całość utrzymana była w ciepłych kolorach, tu i ówdzie wisiały sielskie widoczki, a to stwarzało miłą domową atmosferę. Mercy stanowczo wołała swoje mieszkanie od tego futurystycznego rajku.

Wróciwszy do sypialni, spostrzegła, że jej pacjent nie próżnował. Koszula i dżinsy leżały na podłodze, podobnie jak buty. Zrzucił narzutę, ale przykrył się do pasa prześcieradłem. Oczywiście miał zamknięte.

- Przyniosłam ci aspirynę- szepnęła.

Zmarszczył brwi, wtulił twarz w poduszkę i zaczął cicho pochrapywać. Mercy usiadła na skraju łóżka, zdjęła kapelusz i pociągnęła spory łyk wody ze szklanki. Patrząc na mężczyznę, nie mogła nie zauważyć kilku szczegółów. Klatkę piersiową miał doskonale zbudowaną z pięknych, falujących mięśni; bez grama zbędnego tłuszczu. O ile mogła dostrzec, jego brzuch był twardy jak kamień i płaski jak deska. Wzrok Mercy powędrował trochę niżej, aż napotkał zarys wąskich bioder pod białoniebieskim prześcieradłem. Zafascynowana, podniosła szklankę do ust i wysączyła resztę wody. Miała zły nawyk porównywania każdego spotkanego mężczyzny z Tuckerem Healym, z której to próby Tucker nieuchronnie wychodził zwycięsko. Ten mężczyzna jednak, po zastosowaniu mydła i wody, wytrzymałby porównanie.

Mercy nie wiedziała, co skrywał pod prześcieradłem, była jednak przekonana, że nie jest to bielizna Comfort Weave.

Przez krótki moment rozważała możliwość zerknięcia pod prześcieradło i sprawdzenia tego osobiście, po chwili jednak surowo zgałła się za podobny pomysł.

- Biedaku - szepnęła współczująco. - Leżysz tu śmiertelnie chory i nie masz nikogo, kto by się tobą zaopiekował oprócz czkającej histeryczki, zbyt ciekawskiej, żeby jej to miało wyjść na dobre. I co teraz?- Przyłożyła wierzch dłoni do czoła męż-

czynny i zmarszczyła brwi. - Jesteś strasznie rozpalony. Jeżeli ta gorączka się utrzyma, dzwonię po lekarza.

Głowa na poduszce poruszyła się, z gardła wyrwał się głuchy jęk, Chory nagle otworzył oczy, spojrzał prosto na Mercy i uśmiechnął się. Był to niewiarygodny uśmiech jak na człowieka półprzytomnego z gorączki: uśmiech słodki i powolny, wywołujący zmarszczki w kącikach oczu i głębokie dołki w policzkach.

- Hej - wychrypiał.

Mercy wstała, obserwując go podejrzliwie. Uśmiech był przepiękny, ale nie dowierzała błyskom w oczach mężczyzny.

- Hej - odpowiedziała powoli. - Jak się czujesz?

- Jak nigdy. Dlaczego się ubrałaś? - Podniósł prześcieradło w zapraszającym geście. - Wracaj do łóżka.

- No nie. - Mercy już wiedziała. Żółte slipy, obszyte na biało. Nie miał zbędnego grama tłuszczu, a niebo świadkiem, że widziała teraz lwią część, tego ciała. - Trochę ci się pomyliło. Ja znalazłam cię w windzie. Może byś się przykrył? Jeszcze się przeziębisz.

- Chodź i ogrzej mnie. - Pociągnął palcami za skraj jej płaszcza, ale nie był nawet w stanie porządnie chwycić.

- Jest ci wystarczająco ciepło, uwierz mi.

Błękitne oczy podniosły się na nią. Czerwone plamy wystąpiły na białych policzkach.

- Pragnę cię. Pragnę każdego słodkiego, miękkiego kawałka twego ciała.

O Boże, Boże. Możliwe, że błędził umysłem gdzieś w krainie marzeń, ale zaproszenie było niezwykle zachęcające. Mercy

patrzyła z szeroko otwartymi ze zdumienia oczyma na palce zaciskające się wokół jej nadgarstka. Podniósł rękę do twarzy i wargami dotykał jej dłoni delikatnym, wywołującym dreszcze ssącym ruchem. Poczwała ogień w piersiach, czysto seksualna odpowiedź dana jemu jako mężczyźnie.

Gwałtownie wciągnęła powietrze i wyrwała rękę.

- Przygotuję ci zimny okład na głowę - powiedziała bez tchu. - To może pozwoli ci się uspokoić. Nie ruszaj się stąd.

- Czuję winogrona - odparł. Wyraz sennego podniecenia zniknął mu z twarzy. - Wiesz co? Myślę, że wylałem wino.

Mercy nie mogła powstrzymać uśmiechu, chociaż na skórze nadal czuła mrowie drobniutkich szpileczek. Kombinacja bezradnych niebieskich oczu, chłopięco rozczochranych włosów i ciała tancerza w stylu chippendale była niesamowicie pociągająca.

- Coś ty. Taki skoordynowany facet jak ty... Skinął głową.

- Mam medale. - Przekręcił się na bok, podciągając prześcieradło, aż przykryło mu ramiona. - Nie czuję się dobrze. Chyba jestem chory...

Westchnął i znowu zamknął oczy, dłoń zaciśniętą w pięść przytulił do policzka. Wyglądał jak wyczerpane dziecko.

- Na wpół otwarte wargi układały się w kapryśny grymas i zdradzały pewien niepokój, chociaż oddech miał głęboki i wyrównany. Mercy pomyślała, że powinien się przespać. Zdjęła ciężki płaszcz i przerzuciła go przez stylizowane krzesło stojące przy kominku na gaz, po czym poszła do łazienki i zmoczyła ciężki welurowy ręcznik w zimnej wodzie. Gdy wróciła, jej pa-

cjent wędrował po sypialni, przepasany niebieskim prześciera-  
dłem niczym togą.

- Nie mogę znaleźć butów - powiedział ochryple, potrząsając  
głową i rozglądając się niezdecydowanie po pokoju. - Odpro-  
wadzę cię do domu, jak tylko znajdę buty, - Utkwił w niej za-  
ciekawiony, ale cokolwiek szklany wzrok. - Jak masz na imię?

- Mercy.

Zastanowił się nad tym przez moment, po czym wykrzywił  
twarz w uśmiechu. Korzystając z chwili jego oszołomienia,  
Mercy podała mu rękę i zaprowadziła do łóżka. Natychmiast  
runął na materac i zwinął się w kłębek.

- To była cudowna noc - wymamrotał.

- Prawda? - Mercy przykryła go narzutą i delikatnie umieści-  
ła wilgotny ręcznik na rozpalonym czole. Trochę się uspokoił,  
ale wciąż wahała się, czy ma go zostawić. Bała się, że może  
wyjść na balkon w poszukiwaniu butów.

Spojrzała na surowe kształty krzesła. Wyobraziła sobie sie-  
bie, siedzącą na nim przez całą noc jak żołnierz na posterunku,  
czuwającą przy mężczyźnie, którego nie знаła nawet z imienia.  
Potem wyobraziła sobie spotkanie z Tuckerem Healym następ-  
nego ranka. Ona - wyglądająca i czująca się jak żywy trup,  
Tucker, oczywiście, promieniujący czarem i żywotnością. Włosy  
błyszczące, oczy roztańczone, uśmiech oślepiający. Będzie  
wyglądać o wiele lepiej od niej. Co za przygnębiająca perspek-  
tywa.

Kopnięciem zrzuciła gumiaki, przeklinając swoje gołębnie  
serce.

## **ROZDZIAŁ 2**

Zanim jeszcze otworzyła oczy, wiedziała, że postąpiła bardzo głupio. Całe ciało miała powykręcane i obolałe; głowa przekrzywiona na jedną stronę, mięśnie szyi zeszywniałe, stopy zdętwiałe i bezwładne. Spanie przez całą noc na przeraźliwie niewygodnym krześle było poważnym błędem. Teraz czuła się jak sparaliżowana od uszu w dół.

Ostrożnie, powoli otworzyła oczy. Żółte kalosze na dywanie. Zmięta beżowa jedwabna narzuta, niebieskie prześcieradło związające z łóżka. A na materacu wyciągnięte piękne męskie opalone ciało, plecami zwrócone do Mercy. Ogarnęła wzrokiem zarys szczupłych ramion, wąskiej talii i lekko zaokrąglonych bioder. Żółte slipy obsunęły się nieco, ujawniając skrawek bladej, niemowłęco delikatnej skóry poniżej pasa.

Gdy tak się temu przyglądała, miękko i bezwiednie, czuła w sobie jakiś niezwykle spokoj. Nie myślała o niezręczności całej sytuacji. W ogóle o niczym nie myślała. Co prostu zatopiła się w tym widoku i na krótką chwilę cały świat wraz ze wszystkimi męczącymi komplikacjami zniknął. Pozostał jedynie pierwotny, niemalże prymitywny podziw: .Ciało na materacu było niesamowicie piękne.

Chciała stać się kimś innym. Kimś, kto właściwie wykorzystalby senne podniecenie, które odczuwała. Kimś, kto wiedział, że wszystko można zacząć od początku. Kto umiałby się uśmiechać i rozkoszować zmysłowym przebudzeniem kobiecej ciekawości. Kto nigdy nie spotkał Tuckra Healy'ego.

Tucker. W przeciągu sekundy Mercy całkowicie się rozbudziła i ukryła twarz w dłoniach. Jak mogła zapomnieć? Mógł w każdej chwili wdrzeć się w jej życie, niczym tornado, wywracając wszystko do góry nogami. A ona nie była na to gotowa. Emocjonalnie, fizycznie, psychicznie... nie była gotowa. Przez ostatnich parę tygodni czuła się ogromnie samotna i obca w nie znanym sobie mieście, ale to ją uzdrawiało. Nie była przygotowana na kolejną walkę. Wiedziała aż nadto dobrze, że Tucker będzie próbował ją przekonać aby znów w niego uwierzyła. Będzie żartobliwy, słodki i wytrwały. Będzie przysięgał, że inne kobiety nic dla niego nie znaczą, co wedle jej wyobrażeń przypuszczalnie było prawdą. Będzie powtarzał, że tylko ona ma na niego trwałą i niezmienny wpływ, co także było prawdą.

A na koniec powie, że ją kocha, co do reszty złamie jej serce, bo na swój sposób istotnie ją kochał.

Z szeroko otwartymi: oczyma Mercy wyprostowała się krzesło. Dała już z siebie wszystko. Wiedziała o tym, gdy opuszczała przed dwoma miesiącami Nowy Jork. Było to tchórzliwe rozwiązanie sprawy, ale zawsze jakieś posunięcie. W głębi duszy żywiła nie w pełni uświadamianą nadzieję, że kiedy znowu nabierze przekonania o własnej wartości będzie mogła podjąć ryzyko zaangażowania się w jakiś nowy związek. Ale to się nie



stanie, dopóki nie znoszący sprzeciwu Tucker będzie tkwił w jej życiu, potęgując poczucia winy.

Nie było dużo czasu do stracenia. Wstała. Krzywiąc się, przygryzając wargi i poruszając sztywno, pozbierała swoje rzeczy: kapelusz, płaszcz, buty. Pójdzie do mieszkania i spakuje najpotrzebniejsze przedmioty. A potem, smutniejsza, lecz mądrzejsza, niż była, ucieknie. Długi weekend w sympatycznym motelu powinien załatwić sprawę. Tucker nie może pozostać w Denver na zawsze. W telegramie napisał, że nadwreżył sobie mięsień ramienia i dostał od trenera drużyny baseballowej krótki urlop. Prawdopodobnie za dwa-trzy dni będzie musiał wrócić.

Dwa- trzy dni zabawy w chowanego. Powinna sobie poradzić.

Zanim opuściła pokój, podeszła na palcach do łóżka i sprawdziła stan swojego pacjenta. Twarz miał ukrytą w poduszce, więc dotknęła delikatnej skóry pleców; była chłodna. Gorączka ustąpiła. Przez moment Mercy patrzyła na rozczochrane podczas snu blond włosy, czując przypływ zapierającej dech w piersiach czułości. Sama nie wiedząc, dlaczego to robi, musnęła delikatnie wargami jasne kosmyki.

- Trzymaj się - szepnęła.

Oczywiście zignorowała windę i potrząsając butami, płaszczem i kapeluszem, popędziła schodami siedem pięter w dół. Metalowe stopnie chłodziły bose stopy. Klimatyzacja też już działała. Trzęsąc się z zimna, chuchając i szczękając zębami, Mercy otworzyła drzwi klatki schodowej na czwartym piętrze. I nagle zamarła w bezruchu, przesywając wzrokiem długi kory-

tarz i patrząc na charakterystyczną postać opierającą się nonszalancko o drzwi jej mieszkania.

Tucker. Wstrzymała oddech, aby stłumić zdradziecką czkawkę. Wyglądało na to, że był tu już od pewnego czasu. Czekał oparty o drzwi, z głową odrzuconą do tyłu i zniecierpliwionym wyrazem twarzy. Miał na sobie błyszczącą karnarkową koszulę, podkreślającą ciemną cerę, a na nogach pumpy koloru khaki i kosztowne skórzane mokasyny. Wyglądał o wiele korzystniej, niż jej się to kiedykolwiek zdarzyło o tak wczesnej porze.

Niezwycześony Tucker. Szerokie ramiona, długie nogi, z trudem opanowana uraza. Nie lubił czekać na cokolwiek.

Mercy powoli wróciła na klatkę schodową, delikatnie przy-  
mykając drzwi. Co robić, co robić? Nie mogła przecież wałęsać się w piżamie koloru płatków róży do czasu, kiedy Tucker, się zniechęci i odejdzie. Było jeszcze wcześniej, ale wkrótce ludzie będą się budzić i wychodzić z mieszkań.

Rozejrzała się niespokojnie, ssąc serdeczny palec. Miała dwa wyjścia. Mogła założyć płaszcz przeciwdeszczowy i iść na kilkudniowy spacer w jaskrawym majowym słońcu albo wrócić na górę i sprawdzić, co się dzieje u chorego sąsiada. „To będzie najwłaściwsze” - pomyślała. Prawdziwie samarytański uczynek.

Przycisnęła nos do mlecznej szyby w drzwiach w nadziei, że Tucker odszedł. Nacisk na drzwi wystarczył, żeby je domknąć. Szczęknęła klamka. Słyszając ten dźwięk, Tucker zwrócił ciemnowłosą głowę w kierunku drzwi, z wolna wyprostował się i zaczął iść w stronę klatki schodowej.

Mercy wystartowała w górę po schodach w szaleńczym pędzie.

Sam leżał spokojnie, bardzo spokojnie.

Ostrożnie poruszył głową. Mięśnie miał obolałe i widział jedynie jakąś mieszankę kolorów i kształtów. Gorączka ustąpiła i wiedział, że powraca do zdrowia, ale nie miał siły się o to troszczyć. Wypije szklankę soku i filiżankę kawy, a potem szybko wróci do łóżka. I postara się zapomnieć, że poprzedniej nocy zrobił z siebie skończonego idiota.

Co prawda był półprzytomny, ale bardzo dokładnie zapamiętał Mercy, Dobrą Samarytankę. Nie wiedział, jakiego koloru były jej włosy, bo na głowie miała coś dziwnego, ale pamiętał olbrzymie brązowe oczy, zabawnie mały nosek i usta w kształcie serca, które zawsze robiły na nim wrażenie. To ona uratowała go z wielkiej paskudnej windy i doprowadziła do mieszkania, a jak on się odwdzieczył? Nawijał o swojej wspólniejszej koordynacji i medalach. A na dodatek, i to było najgorsze, jak przez mgłę przypomniał sobie, że chciał ją wciągnąć do łóżka.

Teraz pragnął ją przeprosić za te gorączkowe majaczenia i podziękować za cierpliwość, ale już sobie poszła. Nie miał jej tego za złe. Nie był to chyba najbardziej interesujący wieczór, jaki spędził w życiu. Chociaż zupełnie możliwe, że rozbawiła ją cała sytuacja.

Smutny, słaby, czując, że czegoś mu brak - chociaż nie mógł się zdecydować czego - założył znoszony, „chorobowy” szlafrok i powłókł się do kuchni: Zawsze czuł się tam nieco nieswojo -

podobnie zresztą jak gdziekolwiek indziej w tym mieszkaniu. Surowe meble i zimne kolory zawsze przyprawiały go o dreszcze, ale musiał się z tym pogodzić. Architekt, który zaprojektował wnętrze, był rozchwytywany i przeraźliwie kosztowny, musiał się więc znać na rzeczy. Sam dorastał w Tourqueville, sennym miasteczku wśród pól Idaho. Otrzymane wychowanie nie pozwalało mu nawet przed samym sobą udawać, że zna się na wyrafinowanej sztuce współczesnej. Opracowanie swojego publicznego wizerunku pozostawił zawodowcom.

Włączył ekspres do kawy, ale szybko zrezygnował z pachnącego napoju; bulgoczące odgłosy omal nie rozsadziły mu czaszki. Tego ranka nie będzie kawy. Ani grzanek; nie miał siły na zucie. Szklanka zimnego soku pomarańczowego i z powrotem do łóżka. A kiedy poczuje się lepiej, nawymyśla staremu, dobremu doktorowi Jackowi Menziesowi za to, że ośmielił się nazwać tę obłożną chorobę „drobną infekcją”.

Podszedł do lodówki ze szklanką w ręce, nalał sobie trochę soku i cicho zamknął drzwi.

- Bo dzień bez soku pomarańczowego.— zanucił posepnie -jest jak dzień bez końca. Nie chcemy tego, prawda, Sammy?

Odwrócił się w samą porę, żeby zauważyć wchodzącą kobietę. Oboje wydali przytłumiony krzyk, szklanka soku wypadła Samowi z ręki. i uderzyła o podłogę z ogłuszającym łoskotem.

Dziewczyna głośno krzyknęła.

Sam cofnął się gwałtownie, zamknął oczy, ręce przycisnął do uszu. Nie zrobiłoby na nim wrażenia, gdyby okazało się, że ta

osoba wdarła się do mieszkania, aby go zamordować, byleby zachowywała się; przy tym cicho.

- Nie krzycz. Nie mogę tego znieść. Po prostu... nie krzycz.

Po chwili ciszy usłyszał stłumiony szept.

- Przepraszam. Nie spodziewałam się tu ciebie.

- Ja ciebie też nie. - Sam otworzył jedno oko, zerkając na nią, potem, w miarę jak wracała mu pamięć, powoli otworzył drugie. Bez kapelusza i płaszcza przeciwdeszczowego Mercy, Dobra Samarytanka, była godną podziwu małą kobietką -co najwyżej metr pięćdziesiąt cztery. Kosmyki długich brązowych włosów ocieniały drobną twarz, z której patrzyły przestraszone sarnie oczy. O ile się nie mylił, miała na sobie piżamę. Dolna część pasowała doskonale, górna była niebezpiecznie napięta na pełnych, lekko obnażonych piersiach.

- Mercy - powiedział z naciskiem.

- Zapamiętałeś moje imię. - Mercy przyglądała mu się z uwagą, próbując zdecydować, czy jest przytomny, czy nie. Mimo wszystko wyglądał o wiele lepiej niż poprzedniej nocy. Nie miał już cery w kolorze winogron.

- Jak się czujesz?

- Lepiej - powiedział prawie zupełnie uczciwie. Nie odczuwał już braku niczego. Pamięć nie oddawała w pełni sprawiedliwości jego Dobrej Samarytance. Z pełnymi, wspaniałymi ustami i oczami Alicji w Krainie Czarów, Mercy była fascynującą mieszanką słodyczy i seksu, elfa i kusicielki. Piżama przywodziła na myśl młodą skautkę, ciało pod nią - upadłego anioła. Właścicielka piżamy stała nieruchomo, zaciśnięte ręce wycią-

gnęła przed siebie, a mimo to wyczuwało się w niej nieomylnie jakąś żywotność, która wypełniła pomieszczenie niby potok słońca. Po raz pierwszy od niemalże roku kuchnia Sama wydawała się ciepła i przytulna.

- Cieszę się, że wróciłaś - powiedział cicho.

Jakaś nutka w tonie jego głosu sprawiła, że Mercy poczuła lekki dreszcz. Nie dreszcz strachu, lecz jakiejś przyjemnej niepewności.

- Martwiłam się o ciebie zeszłej nocy. Wyglądałeś tak... „Tucker” - pomyślała nagle, milknąc w połowie zdania.

Co się nią dzieje? Znowu zachowuje się co najmniej niepoważnie. Deptała jej po piętach, gdy pędziła jak szalona przez siedem pięter - a Tucker był słynny ze swojej szybkości. Chyba nie zdążył jej się dobrze przyjrzeć - ale nie była tego taka pewna. A teraz w każdej chwili mógł...

Nagle zadzwonił dzwonek u drzwi, potem ktoś zapukał i znów zadzwonił dzwonek.

- Co za niecierpliwy prostak - wybuchnął Sam, marszcząc brwi. Pamiętał, że nie był dziś umówiony na żadne spotkanie ani wywiad, a jego przyjaciele znali go na tyle dobrze, że nie pokazaliby się w sobotę przed południem.

Mercy przytaknęła z przygnębieniem.

- To właśnie on.

Sam utkwiał w niej wzrok. Nie spodobał mu się sposób, w jaki wymówiła słowo „on”. Brzmiało to, jakby ich gość był jakimś lokalnym bóstwem.

- Znasz tę osobę, która dobija się do moich drzwi?

Mercy przestąpiła z nogi na nogę, odgarnęła włosy za uszy i przygryzła dolną wargę; wszystko naraz.

- Och, wydaje mi się, że tak.

- Kto to może być?

- Wydaje mi się, że to może być Tucker Healy, mój były narzeczony. Najlepiej zrobilibyśmy, nie podchodząc do drzwi.

Ból głowy znowu dał znać o sobie, lecz tym razem Sam nie winił o to swojej „drobnej infekcji”

- Skąd wie, że tu jesteś?

- Nie wie - odparła Mercy szybko. - On... idzie za przezcuciem. Wracalam do mieszkania i...

- Mieszkasz tu?

- Na czwartym piętrze. Wracalam rano do mieszkania i...

- Byłaś tu przez całą noc? - Wyobraził sobie wielkie brązowe oczy Bambiego, patrzące na niego z niepokojem przez wiele godzin. To by mu się podobało.

- Miałeś wysoką gorączkę, Bałam się ciebie zostawić.

-Mercy podskoczyła i zarumieniła się, gdy dzwonek odezwał się znowu. Palcami bezcelowo przebierała we włosach. - Na czym skończyłam? Aha, więc kiedy zesłam po schodach, zobaczyłam Tuekera, mojego byłego narzeczonego, czekającego na mnie.

Cofnęłam się na klatkę, ale musiał usłyszeć szcęk zamykanych drzwi. Ściagał mnie, gdy biegłam na górę,

- Dlaczego?

- Bo chce się ze mną zobaczyć.

- Nie - przerwał Sam niecierpliwie. -Dlaczego się przed nim kryjesz?

- Bo nie chcę się z nim zobaczyć. -I starając się zmienić temat, szybko dodała: - Może sprzątnę ten bałagan z podłogi? Oboje mamy bose stopy, a tobie naprawdę nie jest potrzebny dodatkowy kłopot.

- Posprzątam później. Po prostu uważaj, gdzie stąpasz, -Sam spojrział na nią surowo, gdy stukanie powtórzyło się. Oczy ogromne, oddech nieregularny i przyspieszony, -Mam otworzyć czy schować się pod łóżkiem?

- On odejdzie - wymamrotała Mercy, kłękając i zbierając ostrożnie kawałki szkła. - Kiedyś.

Samowi nie podobał się ten uparty osobnik imieniem Tu-cker, wytwarzający różnorodne, przyprawiające o ból głowy dźwięki. Nigdy, się z nim nie spotkał, ale był absolutnie pewien, że go nie lubi.

- Jest agresywny?

Mercy nadal trzymała głowę pochyloną.

- Nie. Po prostu jest zepsuty,

„Nie tylko on jeden” -pomyślał Sam, obserwując, jak za mgłone słońce wydobywa ciemnozłote pasma z włosów Mercy. Na podłodze jego kuchni siedziała seksowna, rozkoszna kobieta, a wyraz dzikiego podniecenia na jej twarzy nie był w najmniejszym stopniu związany z nim. Go za irytująca sytuacja.

- Dlaczego nie chcesz się spotkać z tą nieagresywną, zepsutą osobą?

- To długa historia. - Mercy przykucnęła na piętach nasłuchując. - Chyba sobie poszedł. Nic nie słyszę. - Zaczęła się podnosić, jedna ręka oparta dla równowagi na podłodze, druga uniesiona, trzymająca ostrożnie kilka dużych kawałków szkła.



Nagle pośliznęła się bosą stopą na mokrej podłodze. Klapnęła ciężko na siedzenie, ręka trzymająca szkło zacisnęła się instynktownie. Mercy poczuła ostre krawędzie przecinające dłoń i gorącą falę bólu, przesuwaną się w górę ramienia. - Och, do diabła, to boli...

- Pokaż mi. - W ciągu sekundy Sam był przy niej, pomagając jej wstać. - Już dobrze, pozwól sobie pomóc.

Półprzytomna, bez tchu, Mercy strząsnęła odłamki szkła. Krew trysnęła z ręki.

- Chyba potrzebny mi jest kawałek bandaża - powiedziała słabo.

- Nie ma to jak optymizm. - Sam siłą posadził Mercy na krzesło i ujął delikatnie jej dłoń. - Trzeba będzie chyba założyć kilka szwów.

- Nie jest aż tak źle. - Mercy zgięła się w pół, wsuwając twarz między kolana, aby zwalczyć zawroty głowy. Jak przez mgłę dostrzegła krople krwi kapiące z jej ręki na podłogę. - Narobię ci tu bałaganu. Jeżeli dasz mi trochę papierowych ręczników, zaraz to wytę.

- No tak, czysta podłoga jest mi wprost niezbędna do życia - mruknął. Podeszedł do zlewu, zmoczył czystą ścierkę do naczyń w zimnej wodzie, po czym ukląkł przy krzesle i mocno obwiązał zranioną rękę, aby zatamować krwawienie. Spojrzenie miała tak puste, że pstryknął jej palcami przed nosem.

- Hej? Zamierzasz zemdleć?

Zastanowiła się nad tym, czując przyływ mdłości.

- Nie. Po prostu jestem trochę oszołomiona. - Spróbowała się uśmiechnąć. - Przepraszam. Mam ten problem od dziecka. Gdy

widzę krew, żołądek podchodzi mi do gardła. To tak jak z Tuckerem i czkawką.

Nie miał najmniejszego pojęcia, o czym Mercy mówi, lecz brzmienie słowa „Tucker” denerwowało go. Ale obowiązki przede wszystkim.

- Trzymaj się - powiedział. - Zaraz wrócę.

Mercy patrzyła szklanymi oczyma, jak szedł do aparatu wiszącego na ścianie. Zatelefonował do kogoś. Nie słyszała, o czym mówił; w uszach jej dzwoniło. „Ale z nas dobrana para - pomyślała. - Chory i kaleka”.

- Jest już w drodze — oznajmił Sam, przysuwając się do niej z krzesłem.

Mercy przycisnęła rękę do piersi, czując przebiegające przez jej ciało fale gorąca.

- Kto?

- Lekarz.

- Lekarze nie składają wizyt domowych.

- Mój składa. To nie potrwa długo, mieszka na tej ulicy. Narastająca cisza stawała się uciążliwa. Mercy spojrzała w bok spod przymkniętych powiek niczym uczennica nieśmiało zerkająca na chłopca siedzącego w sąsiedniej ławce. Z profilu jego twarz była... cóż, intrygująca, to jedyne określenie na jakie zdobył się jej wymęczony umysł. Kapryśny grymas warg, wydatna szczeka i głęboko osadzone, przymknięte oczy zdradzały jakąś zmysłowość. Nie była to twarz klasycznie piękna, lecz niewątpliwie oryginalna. I jakoś dziwnie znajoma.

- Jak ty się właściwie nazywasz? - spytała nagle Mercy.

- Sam. Po prostu... Sam. - Nie pamiętał, kiedy ostatnio był po prostu Samem. Było to bardzo miłe, jak spotkanie po latach ze starym przyjacielem.

- Witaj wśród znajomych, Samie. - Uśmiechnęła się słabo. - Jestem Mercy Sullivan. Czuję się zaszczycona.

Sam spojrział na nią z niepokojem. Za nic nie chciałby, aby go rozpoznała. Bardzo rzadko Wieczny Buntownik mógł sobie pozwolić na krótką przerwę w buncie i na „bycie sobą”.

- Dlaczego?

- Oto siedzę obok człowieka, który zdobywa medale za koordynację. To wielki dzień w moim życiu.

Nabijała się z niego. Sam odetchnął z ulgą; nie zauważyła nawet, że wstrzymuje oddech.

- Nie możesz brać na serio tego, co mówiłem zeszłej nocy. Majaczyłem.

- Och. - Opuściła z przygnębieniem wzrok. - To znaczy, że nie zabierzesz mnie do domu i nie przedstawisz swojej matce?

Spojrzał na nią zaskoczony, po czym uśmiechnął się słabo.

- Mercy - poprosił, ściskając dłońmi obolałą głowę.

- Co?

- Nic. Po prostu Mercy.

- Chyba trochę spanikowałeś, no nie, Sam ? - spytał ironicznie Jack Menzies - Tu nie były potrzebne szwy, lecz bandaże. Ta cała paplanina o przeciętych tętnicach... wstydź się.

- Wydawało mi się, że jak na tak małą osobkę traci zbyt wiele krwi - bronił się Sam. - Poza tym jakże inaczej mógłbym cię tu przyciągnąć? Nie składasz domowych wizyt.

Jack spojrział przez pokój na odzianą w piżamę figurkę stojącą przy dużym oknie.

- Mogłeś być uczciwy. Mogłeś powiedzieć, że masz tu bardzo atrakcyjną zranioną kobietę w piżamie.

Wzrok Sama podążył za spojrzeniem Jacka. Mercy balansowała na palcach bosych stóp, z uwagą obserwując ulicę pod oknami. Słońce prześwietlało jej włosy sprawiając, że jaśniały niezwykłym blaskiem. Przyszędłbyś?

Dobry doktor uśmiechnął się słodko. Był to szarooki blondyn pod czterdziestkę o delikatnej dziecięcej cerze, jaką uwielbiają kobiety,

- Jesteśmy przyjaciółmi od lat. Sam. Jak możesz pytać?
- Idź do domu, Jack - powiedział Sam, otwierając drzwi.
- Wiesz, ona jest nieszablonowa. Dlaczego ma na sobie piżamę? Nagość mógłbym zrozumieć.
- Do widzenia, Jack.
- Wiesz, co jeszcze zauważyłem? Nie leci na ciebie energicznie. To innowacja. Podoba mi się ta dziewczyna, Sammy - nie robisz na niej wrażenia. Może jest mimo wszystko sprawiedliwość na tym świecie.

Sam położył zdecydowanie rękę na ramieniu przyjaciela i wypchnął go za drzwi.

- Miło cię było widzieć, Jack. Nie wpadnij pod autobus w drodze do domu.

- Będziemy musieli kiedyś porozmawiać - zawołał Jack przez ramię do Mercy. - Myślę, że ma pani dobry gust. Raz spojrzałem i już wiedziałem, że nie jest pani z tych, pod którymi nogi się uginają, z powodu jakiejś głupiej bielizny...

Sam zatrzasnął drzwi za przyjacielem i odwrócił się z uśmiechem do Mercy,

- Co za facet! Uśmieszek igrał na jej wargach.
- O co mu chodziło z tą głupią bielizną?

- Jack tak naprawdę nigdy nie doszedł do siebie po studiach na medycynie, Nawdychał się za dużo formaldehydu, czy jak się to nazywa. - Sam schował ręce do kieszeni szlafroka i starał się zachować powagę. - Lekarzu, lecz się sam. Ale zna się na swojej pracy i uwielbia domowe wizyty.

Mercy uśmiechnęła się wyraźniej.

- Jest bardzo miły. Dziwny, ale miły.
- To samo dotyczy wszystkich moich znajomych. - Sam czuł się już lepiej. „O wiele lepiej” - pomyślał, obserwując światłocienie podkreślające delikatne zaokrąglenia piersi Mercy. Piżamy stanowczo są niedoceniane, a zwłaszcza korzyści wynikające z noszenia ich przez osobę oświetlaną od tyłu przez wpadające przez okno słońce. - Napijesz się kawy? - zapytał rozmazony. - Wspaniałej, gorącej kawy? Nie musisz nawet kiwnąć palcem. Przyniosę ci ją tutaj.

Mercy pokręciła głową.

- Nie, muszę iść do domu i dać ci odpocząć. Przede wszystkim nie powinnam była cię wykorzystywać. Mam nadzieję, że Tucker... hik... już poszedł. Nie jest zbyt cierpliwy.

Tucker. Znowu to imię. Sam jeszcze raz poczuł natychmiastową niechęć.

- Może powinnaś jeszcze trochę posiedzieć, aby się ostatecznie upewnić?

- Dziękuję, ale nie. - Podniosła z krzesła swój przeciwdeszczowy rynsztunek, starając się go trzymać nie używając zranionej ręki. - Nie powinnam była tak panikować, gdy go - hik - zobaczyłam. To było głupie. Przepraszam, że sprawiłam ci tyle kłopotu. Och, upuściłam kalosz.

- Tucker przyprawia cię o czkawkę? - spytał Sam z zaciekawieniem. Podniósł kalosz i szedł za Mercy w stronę drzwi, obserwując jej biodra kołyszące się w jakimś podniecającym rytmie, zakłócanym od czasu do czasu przez spazmatyczną czkawkę. - Co to jest, jakaś alergia, czy co?

- Lekarz powiedział, że z tego wyrosnę - wymamrotała Mercy. - To było - hik - jakieś dziesięć lat temu.

- I ty chciałaś wyjść za tego faceta? Zaczkałabyś się na śmierć.

- To nie zdarza się często. Wyłącznie kiedy czuję niepokój, zdenerwowanie albo coś bardzo mocno przeżywam.

Sam nie przypominał sobie, żeby kiedykolwiek miał tego rodzaju wpływ, na kobietę. Oczywiście dostarczał im mocnych przeżyć, ale nigdy nie przyprawiał żadnej o czkawkę.

- Wstrzymaj oddech - powiedział szorstko. Chciał zdusić tę czkawkę, i to od zaraz.

- Nie pomoże. Mogłabym się udusić i nadal czkać. Czy mógłbyś otworzyć drzwi? Mam zajęte obie - hik - ręce.

Sam otworzył drzwi, przypatrując się Mercy.

- No a szklanka wody?

- Nigdy nie pomaga.

Nachmurzył się i wcisnął jej kalosz pomiędzy podbródek a zwinięty w rulon płaszcz.

- Więc co pomaga?  
- No cóż, prędzej czy później odprężę się, przestanę myśleć o Tuckerze... hik... i wtedy mi przejdzie. — Uśmiech rozjaśnił jej oczy. Umiała zachować dystans do własnych uczuć. - I prędzej czy później znowu wróci, i nic na to nie można poradzić. To nieuniknione.

- Nieuniknione - powtórzył Sam cicho. - Wyjątkowo nienawidzę tego słowa.

I pocałował ją.

Pochylił głowę i z premedytacją zamknął usta Mercy w swoich, długo, namiętnie pijąc słodycz z jej warg. Wykorzystał w tym celu całe doświadczenie i wiedzę nabytą podczas dziesięciu-lat entuzjastycznie odwzajemnianych miłości. Trzy sekundy później roztopiał się w przypiływie pożądania, najsilniejszego, jakiego kiedykolwiek doświadczył. Tylko jeden pocałunek, a lędźwie go paliły, odchodził od zmysłów i każda część jego ciała żądała lepszego poznania Mercy. Odrzucił technikę. Wyzbył się myśli. Pamiętał tylko o tym, jak to jest, gdy człowiek zagubi siebie, aby zatopić się bez reszty w kimś innym. Było mu wszystko jedno, czy spełnią się jego oczekiwania, czy też będzie musiał nadrabiać wyobraźnią. Gdy ich języki zetknęły się po raz pierwszy, jęk rozkoszy wypełnił sypialnię.

Mercy okazała się pojętną osobką, która zachowała się tak, jakby całowała go przez całe życie. Nie spodziewała się tego ani oczywiście nie planowała, ale rozsądek opuścił ją, kiedy tylko ich wargi się spotkały. Zapomniała o butach, płaszczu i kapeluszu, które ściskali między sobą, zapomniała o Tuckerze, który wyruszył na łowy wśród mieszkań. Był tylko Sam i smak zupeł-

nie nowych ust; niewiarygodna, satynowa delikatność warg i płynny ogień języka. Stała na palcach, napinając ciało jak strunę, miotana różnymi uczuciami. Nie spodziewała się czegoś takiego, a zaskoczenie dodało jeszcze mocy wstrząsającym nią dreszczom rozkoszy. „Nawet go nie znam - pomyślała w popłochu. - Nawet go nie znam...”

Gdy Sam w końcu uniósł głowę, ujrzał przed sobą rozszerzone i pociemniałe oczy Mercy. Wargi wilgotne i spuchnięte, skóra zaczerwieniona i buchająca ciepłem. Kiedy na nią patrzył, pragnął jej jeszcze bardziej.

- Mój Boże - szepnęła Mercy ochryple.

„Jeszcze raz” - pomyślał Sam spragniony, powoli opuszczając ku niej głowę i przymykając powieki. Ale wracał mu już rozsądek i szarpnął się do tyłu w ostatniej chwili, łapczywie chwytając powietrze. Śmiertelnie by ją wystraszył, gdyby kontynuował pocałunki. Do diabła, siebie śmiertelnie by wystraszył.

- Mam nadzieję, że to pomogło - powiedział chrapliwym głosem, starając się uniknąć pokusy.

Mercy beznadnie spojrzała mu prosto w oczy.

- Słucham?

- Na twoją czkawkę. Myślałem, że próbowaliśmy...

-Przerwał, aby zaczerpnąć oddechu. - Myślałem, że próbowaliśmy wystraszyć ją z ciebie.

- Wystraszyć ją ze mnie - powtórzyła Mercy głucho. Nie mogła uwierzyć ani w to, co się stało, ani w swoją reakcję. Cała płonęła.

- Nie dziękuj mi. - Swawolny uśmiezek błąkał się Samowi po wargach, gdy zorientował się, że jego odruchowa i nieorto-



doksyjna metoda leczenia zadziałała. Mercy nie miała już czkawki. Nie był nawet pewien, czy w ogóle jeszcze oddychała.

- Cieszę się, że mogłem ci pomóc.

- Chyba muszę już iść - szepnęła Mercy raczej do siebie niż do Sama. Minęła go i wyszła na korytarz, ciągnąc za sobą po dywanie rękaw przeciwdeszczowego płaszcza.

RS

## **ROZDZIAŁ 3**

Tucker opuścił posterunek przy drzwiach Mercy, ale zostawił puste opakowanie po cukierkach, w które zawinięta była typowa dla niego wiadomość:

*„Możesz uciekać, ale nie możesz się ukryć, Pączusiu. Zatrzymałem się w Sheratonie do niedzieli - wolałbym mieszkać u ciebie.”*

„Pączusiu” - mruknęła Mercy, zamykając za sobą korniakiem drzwi. Nienawidziła tego przezwiska. Otrzymała je od Tuckera, gdy była różową, pulchną trzynastolatką uwielbiającą słodycze. Nienawidziła go wtedy i nienawidzi teraz. Pewnego dnia zbierze w sobie odwagę i powie mu o tym.

Usiadła na sofie i próbowała zastanowić się, jak wybrnąć z niewygodnej sytuacji, w jaką się wplątała. Jej umysł jednak dokonał nagłego zwrotu o sto osiemdziesiąt stopni: zajął się Samem i jego już przetestowaną metodą leczenia czkawki. Wargi Mercy drgnęły, a palce stóp zanurzone w puszystym dywanie skurczyły się nerwowo, gdy przywołała w myślach obraz pocałunku - nieoczekiwanego, czarującego przebłysku zmysłowej obietnicy. Cóż za dziwny, pociągający, nieszablonowy człowiek. Pocałunek wcale jej nie obraził, co więcej, potraktowała

go jak wyrafinowany komplement. Zdziwiła ją też i zachwyciła jej własna entuzjastyczna reakcja. Było to bardzo zachęcające. Zerwanie z Tuckerem niewątpliwie dobrze jej zrobi. Miała dziwaczne uczucie, jak gdyby całą jej istotę wypełniało słodkie, orzeźwiające powietrze, rozbudzające i popychające ją w stronę pełnego wyzwolenia. Potrzebowała jedynie czasu, aby całkowicie przeobrazić się z bojaźliwej gąsienicy w roztańczonego motyla. Zaszła już bardzo daleko. I teraz najbardziej dojrzałą metodą postępowania z Tuckerem będzie konsekwentne, unikanie go - uciekanie, chowanie się, ukrywanie i wyslizgiwanie. Zdrowe tchórzostwo - oto jej nowe motto.

Spędziła cały dzień w zoo, noc zaś w motelu z sieci Howarda Johnsona. Wczesnym niedzielnym porankiem, przemykając pod murami budynków niczym włamywacz, pędziła do domu, aby się przebrać. Przeskakując po kilka schodów, dotarła na czwarte piętro i wpadła do mieszkania z prędkością światła. Właśnie dzwonił telefon - przyduśiła aparat poduszką.

To był ostatni dzień Tuckera w mieście; znała swojego byłego narzeczonego dobrze i wiedziała, że za wszelką cenę będzie się chciał z nią zobaczyć. Sukcesy przewróciły Tuckerowi w głowie: popadł w nałóg dostawania wszystkiego, czego pragnął. Ta przedłużająca się zabawa w ciuciubabkę z pewnością go nie bawiła. Mercy znowu odczuła mądrość swojego nowego motto.

Wzięła prysznic, przebrała się w dżinsy i nierównomiernie farbowany podkoszulek i wśliznęła się w wytartą kurtkę. Włosy zebrała w koński ogon, a następnie założyła granatową baseballową czapkę, naciągając ją mocno na czoło. Lustrzane przeciwsłoneczne okulary dopełniły niekonwencjonalnego stroju. Tuc-

ker musiałby się przyjrzeć bardzo uważnie, aby rozpoznać w tej łobuzersko wyglądającej chłopczycy swoją byłą narzeczoną. Lubił kobiety zachowujące się kobieco, noszące obcisłe sukienki uwypuklające piersi i biodra; kobiety z wiśniowymi wargami i długimi rozwianymi włosami. Mercy zawsze dopasowywała się do tego wizerunku, ale to już przeszłość. Przejrzała się w lustrze i uświadomiła sobie, że od stóp obutych w wygodne przydeptane pantofle aż do koniuszków włosów przepełniają wciąż narastające dziwne uczucie. Zastanowiła się nad tym, ale w pełni rozpoznała je dopiero, gdy pędziła w dół po schodach. Czowała się doskonale, cudownie naturalnie - była wreszcie sobą. Cóż za niesamowite, z niczym nieporównywalne uczucie - wreszcie czuć się dobrze we własnej skórze. Koniec z nigdy nie istniejącym Pączusiem. Niech żyje Mercy Rose - buntowniczką.

W niedzielę rano Sam Christie czuł się jak nowo narodzony; silny jak koń i głodny jak wilk. Zjadł kiełbaski przyrządzone w kuchence mikrofalowej, zagryzając je goframi i popijając sokiem pomarańczowym, po czym wystroił się w pumpy khaki i czarną elegancką koszulę od Hermesa. Czas złożyć wizytę, czas podziękować cudownej sąsiadce noszącej wspaniałą różową piżamę za czułość i opiekę. Mercy. Sam śnił o niej przez całą noc najbardziej podniecające sny od czasów liceum, kiedy to niejaka Tracy Grace Parsons sprawiła, że jego rozbudzona wyobraźnia wznosiła się na niewiarygodne wyżyny. Oczywiście nigdy nie zdobył się na odwagę, aby przemówić do wyniosłej Tracy Grace więcej, niż dwa słowa, a ona obdarowała go jedy-

nie wysypką i niepokojem. Mercy Sullivan była kimś diametralnie innym; trochę śmieszna, zaskakująco uczciwa i niesamowicie piękna, promieniująca naturalną urodą. Po tylu latach robienia za ofiarę wysysających krew mass mediów, życia wśród ludzi pokazujących go sobie palcami, płaszczących się przed nim i schlebiających mu, Sam był do głębi oczarowany szczerością i niewymuszoną życzliwością Mercy. Ambicja, chciwość, drażliwość - potrafił wyczuwać je nieomylnie, lecz Mercy była tak świeża i naturalna jak powiew wiosny. Ich pocałunek podzielał na niego tak, jakby nigdy przedtem się nie całował. Był głęboko przekonany, że stoi u progu czegoś niezwykłego.

Do diabła, cieszył się teraz, że zemdlął w windzie.

Aby poprawić swój nowy wizerunek, pokropił się jeszcze wodą kolońską „Obsession”, ale wziął natychmiast prysznic. Nie chciał, aby Mercy pomyślała, że stara się wyrzucić na niej wrażenie. Poza tym chciał zabrać ją na przejażdżkę po górach, a odrobina wody kolońskiej utrzymuje się strasznie długo w zamkniętym samochodzie.

Już trzymał rękę na klamce, gdy ktoś zapukał. Jego pierwszą myślą było - Mercy. Pełen nadziei pomyślał, że może wpadła, aby zobaczyć, jak się czuje, i otworzył drzwi bez spoglądania przez wizjer. To był błąd.

- Dzień dobry. Colin Bloodworth, „Tydzień na Świecie”. - Przed drzwiami stał niski, suchy człowieczek z latającymi oczkami, pocierający dłonią trójkątną hiszpańską bródkę. Do twarzy przyklepiony miał ten zacięty grymas ambicji, który był Samowi znany aż nadto dobrze. - Chciałem panu zadać kilka pytań, panie Christie. Zauważono pana prowadzącego samochód

w stanie nietrzeźwym w piątek wieczorem. Naoczny świadek utrzymuje, że o mało nie przejechał pan przechodnia koło marketu. Czy mógłby pan to jakoś skomentować?

- Nic, co nadawałoby się do druku.

Reporter zauważył wysiłki Sama i zablokował drzwi eleganckim brązowym butem.

- Prawdopodobnie lepiej będzie, jeżeli przedstawi pan swój punkt widzenia, panie Christie. W przeciwnym wypadku nasi czytelnicy mogą odnieść nie odpowiadające rzeczywistości wrażenie na temat zajścia.

- Nie było żadnego zajścia - powiedział Sam z mocą - a wywołanie nie odpowiadającego rzeczywistości wrażenia i tak będzie cholerną poprawą w stosunku do wierutnych kłamstw, jakie zazwyczaj drukujecie w tym waszym szmatławcu. A teraz rusz pan nogę, bo w końcu stracę cierpliwość.

- Grozi pan szanowanemu przedstawicielowi prasy?

- Niezupełnie. Grożę panu. - Dłonie Sama powoli zacisnęły się w pięści, - Wyraźnie i przejrzyście, tak aby odniósł pan odpowiadające rzeczywistości wrażenie moich intencji.

Colin cofnął stopę o kilka centymetrów, ale Sam ciągle nie mógł zamknąć drzwi.

- Nie jestem jedynym, który dostał cynk o tym zajściu, panie Christie. W holu czekają przedstawiciele kilkunastu gazet i kamerzyści z lokalnych stacji telewizyjnych. Mnie udało się przemknąć przez kordon ochroniarzy - i może być pan pewien, że i im się to uda prędzej czy później. Nie ma pan wyboru, musi pan ponieść konsekwencje swojego zachowania.

- Mówi pan jak mój nauczyciel z podstawówki - rzekł Sam z uprzedzającą łagodnością w głosie. Nagle bez ostrzeżenia otworzył szeroko drzwi i chwycił natręta za zielony krawat. - Wybitnie mi się pan nie podoba. Spotykałem reporterów, którzy byli dla mnie obojętni, ale pana naprawdę, naprawdę nie lubię. Zniszczył mi pan bardzo przyjemny dzień, a to mnie wkurza. Chętnie zrobiłbym panu krzywdę, ale powstrzymam się, bo jestem człowiekiem cywilizowanym i nie życzę sobie mieć plam krwi na dywanie.

Puścił faceta pełnym obrzydzenia ruchem, jak gdyby strząsał z siebie pijawkę, po czym zamknął kopnięciem drzwi i przekręcił klucz. Sam miał już wcześniej do czynienia z prasą rozdmuchującą do niewyobrażalnych rozmiarów jakąś jego zupełnie niewinną uwagę czy czynność. W poniedziałek porozmawia ze swoim menedżerem i złoży odpowiednie oświadczenie, ale jak na razie będzie musiał porzucić pobożne życzenia spędzenia tej niedzieli z Mercy. Za nic w świecie nie chciałby ściągnąć na nią uwagi. Mercy nie miała pojęcia, kim on jest, a on pragnął utrzymać to w tajemnicy jak najdłużej. Intuicja podpowiadała mu, że „po prostu Sam” zrobi na Mercy o wiele lepsze wrażenie niż Wieczny Buntownik,

Poza tym, jak zauważył ten wnerwiający natręt Bloodworth,, prędzej czy później reporterzy odnajdą drogę do jego mieszkania. Albo ucieknie teraz, albo na resztę dnia będzie musiał zabarykadować się we własnym domu i trzymać ręce przy uszach.

Zdecydował się szybko. Przebrał się w znoszone, wytarte niemal do białości džinsy, wypłowiła koszulkę i miękką skórzaną kamizelkę. Wysokie obcasy kowbojskich butów dodały

mu kilka centymetrów wzrostu, a klasyczny kowbojski stetson całkowicie przykrył włosy Roberta Redforda, jego znak rozpoznawczy. Założył słoneczne okulary, po czym zdjął je i spojrzał przez wizjer. Droga wolna. Okulary na nos, kapelusz na czoło. Sam przebiegł korytarz i dał nurka w klatkę schodową. Wieczny Buntownik wyruszył w drogę.

Mercy poruszała się ostrożnie pomiędzy rzędami samochodów w stronę swojego volkswagena, schylając się i kryjąc, gdy ktoś ukazywał się w okolicy podziemnego parkingu. Wiedziała, że trochę przesadza, ale ta zabawa sprawiała jej przyjemność. Jeszcze jeden dzień i Tucker opuści Denver, aby powrócić do swojej drużyny, a Mercy będzie wolna od pokus. Jednak aż do tego czasu nie może ryzykować.

Jej samochód stał obok czarnego dżipa renegade. Mercy, skulona, przemknęła obok niego na palcach i schyliwszy głowę, przetrząsała torebkę w poszukiwaniu kluczyków. Kiedy tuż obok niej przejechał ciemny mercedes, chichocąc zanurkowała pomiędzy dwa samochody. Nie zauważyła otwierającego drzwi dżipa wysokiego kowboja i z rozpędem wpadła na niego.

- Przepraszam - wymamrotała, poprawiając okulary i doprowadzając do porządku czapkę. - Strasznie mi przykro.

- Nie ma sprawy. - Ledwo na nią spojrzał. Rondo kapelusza całkowicie przesłaniało mu górną połowę twarzy.

- Właśnie... szłam do samochodu. Musiałam się... potknąć.

- Nie ma o czym mówić. - Odwrócił się do niej plecami i otworzył drzwi dżipa. - Miłego dnia.



- Nawzajem. -- Mercy odwróciła się na pięcie, po czym zamarła w bezruchu. Skądś znała ten głos.

Spojrzała przez ramię i spostrzegła, że on zrobił to samo. Opuściła podbródek i zsunęła okulary na czubek nosa. Wysoki kowboj naśladował jej ruchy.

- Mercy?

-Sam?!

Sam szybko zerwał z głowy kapelusz i okulary. Czuł się bardzo idiotycznie w kowbojskim przebraniu.

- Przepraszam... Nie poznałem cię. Wyglądasz... inaczej.

Mercy zmarszczyła nos, a na jej twarzy zajaśniał uśmiech.

- Staram się nie przyciągać uwagi. Tucker - pamiętasz Tuc-  
kera? - no cóż, wyjedzie dopiero dziś wieczorem, więc do tego  
czasu ukrywam się za przeciwsłonecznymi okularami i basebal-  
lowymi czapkami. - Umilkła i pochyliła lekko głowę w kierunku  
Sama. - Gdybym nie znała cię lepiej, mogłabym pomyśleć, że ty  
też się przed kimś ukrywasz. To jest rodzaj przebrania, prawda?

- Nie, nie... Zawsze się tak ubieram - wymamrotał Sam,  
czerwieniąc się jak burak. Wolał, aby uważała go za bubka z  
prowincji z kompleksem Johna Wayne'a, niż żeby miała odkryć  
prawdę. - Wychowałem się na farmie ziemniaczanej. - dodał,  
jakby to już wyjaśniało wszystko.

- Na farmie ziemniaczanej - powtórzyła Mercy, lekko zbity z  
tropu.

Sam kiwnął głową, kołysząc się na piętach. Najwyższy czas,  
aby zmienić temat. Los zrobił mu piękny prezent jako przepro-  
siny za Colina Bloodwortha i Sam chciał to właściwie wykorzy-  
stać...

- Więc gdzie chcesz nie przyciągać uwagi?
- Jeszcze się nie zdecydowałam - odparła w zamyśleniu.

Znowu założyła okulary, starając się dobrze je umiejscowić na małym nosku. - Gdzieś, gdzie nie ma najmniejszej szansy, aby wpaść na Tuckera. Może pojedę do miejscowego zakładu wodolecznictwa?

Sam zerknął przez ramię na biały samochód ozdobiony na boku emblematami stacji Channel Five. Wysiadło z niego dwóch mężczyzn, więc Sam znowu założył okulary i kapelusz.

- Chyba mogłabyś znaleźć sobie jakąś bardziej ekscytującą rozrywkę?

- Co? Nic nie słyszę. Dlaczego mówisz szeptem?

- Nie mówię szeptem. - Sam odchrząknął, spoglądając nerwowo w stronę ekipy telewizyjnej. - Jeszcze niezupełnie pozbyłem się chrypki. Posłuchaj. Właśnie wyruszam do kanionu Rock Creek, aby przez kilka godzin pojeździć w terenie. Jeśli nie zależy ci szczególnie na miejscowym zakładzie wodolecznictwa, to może wybrałabyś się ze mną?

- Nigdy nie jeździłam terenowo - powiedziała Mercy. Teraz i ona zauważyła ekipę telewizyjną i przyglądała jej się, zmarszczywszy brwi. Spójrz tam. Ciekawe, co się dzieje?

- Nie mam pojęcia. Jeżeli naprawdę nigdy nie jeździłaś terenowo, to nie powinnaś przepuścić tej okazji. - Uważając, aby nie odwracać głowy w kierunku reporterów, Sam obszedł dzipa i otworzył drzwi po stronie siedzenia dla pasażera. - Obiecuję ci mocne przeżycia, jakich nie zaznałaś nawet w Disneylandzie. Poza tym będziemy mieli okazję porozmawiać. Bardzo chciałbym... z tobą... porozmawiać.

Mercy podniosła głowę, żalując, że nie może zobaczyć oczu Sama spoza okularów. Nie była pewna, co miał na myśli, mówiąc o mocnych przeżyciach, lecz mając jako alternatywę zwiedzanie zakładu wodolecznictwa, któraż kobieta przy zdrowych zmysłach by się zawahała? Poza tym chciała spędzić z Samem ten dzień. Po prostu. Wyczuwało się jakiś idylliczny nastrój. Powietrze drżało niby od muzyki, której Mercy nie mogła się oprzeć.

Ponadto istniało prawdopodobieństwo, że znowu ją pocałuje. Nie mogła tej szansy przepuścić. Cudowny, wiosenny dzień. Mocne przeżycia. Słodkie przeczucie, że wszystko się może zdarzyć, wywoływało mrowienie skóry. Och, o ileż lepiej jest być motylem niż gąsienicą.

Skrzyżowawszy z tyłu palce na szczęście, Mercy wdrapała się do samochodu. Zanim Sam zdążył przejść przed maską, aby zasiąść za kierownicą, rozpuściła włosy i cisnęła okulary na tylne siedzenie.

- Podobasz mi się ze związanymi włosami - powiedział Sam.

Ponownie zebrała włosy w kok, podniosła czapkę i wcisnęła ją znowu na głowę. Zmrużyła oczy, gdy na czoło zsunęła jej się kaskada splątanych loków.

- Ja też się lubię w tej czapce, ale Tucker zawsze uważał, że moje włosy wyglądają najlepiej, gdy...

Sam delikatnie zamknął jej usta dłonią. Co prawda chciał jak najszybciej opuścić to siedlisko nadgorliwych reporterów, ale najpierw musiał załatwić bardzo ważną sprawę.

- Naprawdę nie lubię tego imienia: Tucker. Gdy je słyszę, mam ochotę zgrzytać zębami. Gdybym hodował karalucha, nie

nalewałbym go Tucker, bo karaluch zasługuje na coś lepszego. Czy są jakieś szanse spędzenia tego dnia bez słuchania o tym czymś na literę T?

Mercy poczekała cierpliwie, aż Sam usunie rękę.

- Masz rację. Przepraszam. Wyzwoliłam się już fizycznie, ale jeśli chodzi o psychikę, to zostało mi jeszcze trochę kompleksów. Będę się pilnować. *En avant.*

Sam uśmiechnął się, całkowicie oczarowany przez tę istotkę mającą przekrzywioną czapkę baseballową na głowie, grzywkę na oczach i kosmyki ciemnobrązowych włosów na szyi. Była bardzo kobieca - w dziwny sposób chłopięce przebranie jeszcze tę kobiecość podkreślało. A on, Sam Christie, najszczęśliwszy człowiek w Denver, miał przed sobą cały dzień, aby ją podziwiać. To było jak urodziny, Gwiazdka i Czwarty Lipca łączone w jedno. Do diabła, znowu ucieszył się, że zemdlął w windzie.

Dzień był słoneczny, a góry nigdy chyba jeszcze nie wyglądały tak pięknie. Osiki dźwigały ciężkie korony jasnozielonych liści, drzewa iglaste były gęste i nastroszone, a koryta potoków nabrzmiały od uzdrawiających wiosennych roztopów. Droga wcinająca się głęboko w kanion Rock Creek była wąska i kręta. Zaglądała to tu, to tam, wybiegała daleko, po czym wracała, objawiając ocienione łąki, granitowe urwiska, gigantyczne wodospady uderzające z łoskotem o postrzępione białe skały.

Ciągłe zmiany pogody zamieniły jezdnię w uciążliwy tor przeszkód, pełen wybrzuszeń i dziur. Przydałoby się tu ponowne asfaltowanie.

- Więc to jest jazda terenowa- powiedziała Mercy, zaciskając kurczowo palce na brzegu siedzenia, gdy Sam z piskiem opon wprowadził dżipa w kolejny wąski, ostry zakręt. -Nie wiem, dlaczego to się tak nazywa. To bardziej przypomina latanie. Na pewno nie dotykamy terenu czterema kołami..

- To nie jest jazda terenowa, piękna, głupiutka kobieto. -Sam wziął nagły zakręt w prawo, aby ominąć głęboką wyrwę w asfalcie. - To jest cudowna niedzielna przejażdżka.

Podskoczyli na kolejnym wyboju. Mercy przycisnęła obiema rękami czapkę, aby nie spadła jej z głowy. - C z y jazda terenowa jest jeszcze gorsza?

- Chyba nie myślisz, że jest gorsza - poprawił ją Sam uprzejmie. Wpadające przez okno powietrze rozwiewało jego zmierzwione włosy. Roześmiane oczy przybrały kolor wiosennego nieba. Przestał pozować na kowboja, jak tylko minęli granice miasta, - Myślisz, że jest bardziej podniecająca, rzucająca większe wyzwanie, prawda?

Mercy przypięła się pasem do siedzenia. Zupełnie nie wiedziała, dlaczego nie zrobiła tego wcześniej.

- Tak, właśnie o tym myślałam.

- W takim razie masz rację. - Sam zahamował tak gwałtownie, że dżip wykonał niemalże pół pełnego obrotu pośrodku drogi. - O mało nie przegapiłem zakrętu. Łatwo go nie zauważyć, jeśli się nie zna dobrze terenu.

- Jakiego zakrętu? - Oczy Mercy rozszerzyły się jeszcze bardziej. Z przerażeniem spostrzegła, że zjechali z asfaltowej drogi prosto w gąszcz zbitej zieleni. - Tu nie ma drogi, Sam. Jak ty chcesz jechać?

- Tą drogą..  
- Chcesz mi wmówić, że ty tu widzisz drogę?!  
- Niezupełnie. - Zdjął rękę z dźwigni biegów, aby odgarnąć włosy z oczu. - Niektórzy ludzie mogliby patrzeć na te skały i drzewa i widzieć same przeszkody. A wiesz, co ja widzę, gdy na nie patrzę?

- Co? - spytała wyczekująco.

- Wyzwania,

- O Boże!

Mercy nie mówiła nic przez następne trzydzieści minut. Pokrzykiwała co prawda i piszczała - ale nie wymówiła ani słowa. Była młodą kobietą z Nowego Jorku, przyzwyczajoną do prostych dróg, łagodnych zakrętów i oznakowanych przejść dla pieszych. Do cywilizowanej jazdy. Nigdy dotąd nie jednała samochodem, przezuwającym skały i wypluwającym je daleko za siebie, samochodem, który mógł wspiąć się na sosnę z jednej strony i zjechać z drugiej, samochodem przeorywającym wzburzone strumienie. Nigdy też nie jechała z mężczyzną. śmiejącym się jak pirat, gdy pojawiał się przed nimi zwalony pień drzewa lub granitowy okrągłak, czekając, aż go pokonają. Do Sama i jego dżipa nie stosowało się prawo ciężenia. Współpracowali ze sobą; człowiek i maszyna robili na przekór wszystkiemu to, co sprawiało im cholerną przyjemność.

Obietnice dane Mercy spełniły się co do joty. Disneyland nigdy nie wyczyniał z jej żołądkiem takich ekscesów jak ta jazda. Kilka razy przestała się modlić na wystarczająco długą chwilę, aby ze zdumieniem zauważyć wyraz niewzruszonej

koncentracji malującej się na twarzy Sama. Całą energię ciała i ducha skupił na pokonaniu gór, na osiągnięciu celu, który sam sobie wyznaczył. Człowiek i natura zwarci w gwałtownej, osobistej walce, szanujący się nawzajem przeciwnicy - i wygrywał człowiek. Coś w duszy Mercy szepnęło, że Sam wpadł w nawyk wygrywania - jednak nie po to, aby udowodnić własną wyższość nad innymi. Wydawało się, że chce pokonać jedynie własne ciało, pobić przez siebie ustanowione rekordy. Mimo woli Mercy poczuła nagle z zazdrością, jakby od czegoś ją odsunięto. Jak to jest, mieć taką pewność siebie, tak nad sobą panować? To jest właśnie życie. To jest coś, co obserwowała u innych, podczas gdy ona sama dniami i nocami spełniała cudze, nie swoje, oczekiwania. Ale dość już tego. Teraz jest wolna. Może być sobą i będzie... zakładając, że przeżyje tę niedzielną przejażdżkę.

W końcu przedarli się przez zalesiony obszar i wyjechali na wąski trakt przylepiony do krawędzi zbocza. Dla Mercy stanowiło to jednocześnie dobrą i złą wiadomość. Znowu jechali po czymś, co przy odrobinie dobrej woli można było nazwać drogą, ale od strony Mercy droga ta kończyła się... urwiskiem; Gdyby wysunęła głowę przez okno odważyła się to uczynić tylko raz - mogłaby zobaczyć daleko w dole wypełniony wodą wąwóz. Zdawało jej się, że przepaść jest głęboka na dziesięć kilometrów, ale prawdopodobnie nie była głębsza niż trzydzieści metrów.

Mercy nasunęła czapkę na oczy i osunęła się z jękiem na siedzenie. Pozostała tak, sztywna i nieruchoma, dopóki dżip się nie zatrzymał. Ostrożnie uniosła daszek czapki i otworzyła jed-

no oko, aby zerknąć na Sama. Odpoczywał, oparłszy się plecami o drzwi i wyciągnawszy niedbale ramię na oparciu siedzenia.

- Ale zabawa – powiedział. - No nie?

- Myślę, że to była zabawa - odparła Mercy ostrożnie. Usiadła i z ulgą stwierdziła, że zatrzymali się na niewielkiej łączce, okolonej ścianą wysokich drzew. Zakurzony trakt, którym dotąd jechali, rozszerzył się w żwirową drogę, co bardzo podniosło Mercy na duchu. - Gdzie jesteśmy?

- Prawie na dnie kanionu - powiedział Sam z żalem w głosie. - Cała zabawa już za nami. Od tego miejsca droga jest już zupełnie monotonna.

Mercy stłumiła westchnienie ulgi.

- No cóż. Wszystko, co dobre, szybko się kończy. Często tak jeździsz?

- Kiedy chcę mieć trochę niezłej zabawy, jadę na południe Utah na wydmy piaskowe, albo jeszcze dalej na południe, do Baja. Lub na Alaskę - nie uwierzyłyabyś, jakie dzikie szlaki są na Alasce.

Mercy wlepiała w Sama wzrok.

- Niezła zabawa? Twoim zdaniem to nie była niezła zabawa?!

Sam wyszczerzył zęby i machnął pogardliwie ręką,

- O, nie. To taka nieszkodliwa rozrywka. Powiem ci, kiedy będzie niezła zabawa.

Alaska. Baja. Południe Utah. Mercy wydawało się zawsze, że ludzie zazwyczaj nie poświęcają tyle czasu i energii, żeby mieć niezłą zabawę.

- Sam? Z czego ty właściwie żyjesz?



Sam zamrugał oczyma, przeklinając się w duchu za gadulstwo. Nie chciał kłamać, nie chciał jednak również zniszczyć mydlanej bańki anonimowości. Znalazł właśnie nowego przyjaciela, piękną, pociągającą kobietę, której odpowiadało spędzanie czasu z „po prostu Samem”, zaakceptowała go takim, jakim jej się wydał na pierwszy rzut oka, bez z góry powziętych sądów i uprzedzeń. Nie chciał z tego rezygnować, jeszcze nie.

- Jestem w handlu - powiedział. Była to prawda. Reklamował szeroki zakres towarów: od kombinezonów narciarskich po niesławną, białą bieliznę Comfort Weave.

Mercy zmarszczyła brwi, jak gdyby nie mogła wyobrazić sobie Sama jako handlowca.

- Co sprzedajesz?

Wzruszył ramionami, unikając jej jasnego, ufego spojrzenia.

- Różne rzeczy. Adidasy. Wodę kolońską. Piwo.

- Adidasy, wodę kolońską i p i w o ? !

Najwyższy czas skierować myśli nowej przyjaciółki na inną tory. Stawała się nieufna i nie mógł jej za to winić. Nie każdy handlowiec oferował tak różnorodną gamę produktów. Sam otworzył drzwi i wysiadł z samochodu, wdychając słodki aromat trawy i sosen. I nagle zorientował się, że się zapada. Kowbojskie buty powoli zanurzały się w muliste bagno koloru zielonego groszku.

- Mercy?

- Tak? - Ciągle jeszcze zastanawiała się nad problemem handlowca.

- Czy wiesz, dlaczego ta polana jest taka zielona?

- No?

- Bo to bagno. Stoję po kolana w mule.

Mercy szybko wysunęła głowę przez okno. Zauważyła to, czego dotychczas żadne z nich nie spostrzegło łąka falowała powoli delikatnym pulsującym ruchem. Usłyszała także rechotanie żab i jakieś dziwne bulgoczące odgłosy.

- Sam... spójrz na koła dżipa. Siedzimy już po osie w tym szlamie. Myślałam, że znasz ten szlak.

- Naprawdę go znam. - Sam starał się wyciągnąć but z błota, lecz bagno wessało go z powrotem. - Ale w tym roku mieliśmy wyjątkowo obfite opady i cała ta woda musiała się gdzieś zebrać. Nic nie poradzę na to, że to miejsce zmieniło się w bagno podczas mojej nieobecności. Mercy przygryzła dolną wargę.

- I co zrobimy? Czy możemy stąd jakoś wyjechać?

- Możemy spróbować. - Sam opadł na siedzenie, zaparł się z całej siły i wyciągnął nogę; bagno odpowiedziało przytłumionym młaśnięciem. - Po co założyłem te cholerne buty? Nienawidzę tych idiotycznych butów!

- Ależ... myślałam, że zawsze się tak ubierasz?

- Nie chcę teraz mówić o tym, jak się ubieram - mruknął Sam. - Mamy ważniejsze sprawy do omówienia. Na przykład, czy będziesz chciała ze mną rozmawiać za pięć minut.

Mercy spojrzała na niego podejrzliwie.

- Dlaczego miałabym nie chcieć rozmawiać z tobą za pięć minut?

- To nie zabrzmiało rycersko. - Sam odetchnął głęboko i oparł czoło o kierownicę. - Chcę, żebyś wysiadła i popchnęła, Mercy.

- C o?!

- Mamy szanse wydostać się stąd, o ile rozkołyszemy dzipa. Trzeba uruchomić silnik, zwiększyć obroty, wycisnąć sprzęgło i rozkołysać samochód, na tyle, aby stąd wyjechać.

Mercy ogarnęło złe przeczucie. Słowo „bagno” kojarzyło jej się zawsze z jadowitymi węzami, krwiożerczymi aligatorami i rybami- ludojadami. Zdawała sobie sprawę, że w Górach Skalistych nie jest aż tak źle, ale i tak miała złe przeczucie.

- Dziękuję, wolę raczej prowadzić.

Sam podniósł głowę. W kącikach oczu zajaśniał mu słodki, przekonywający uśmiech.

- Nie da rady, Mercy. Nie wiedziałabyś, co robić, i tylko bardziej ugrzęźlibyśmy. Obawiam się, że... tak to właśnie wygląda.

Spojrzał wyczekująco. Mercy popatrzyła mu w oczy i zrozumiała, że mówi całkowicie serio. Mruczając pod nosem coś o mocnych przeżyciach, podwinęła dzinsy do kolan, otworzyła drzwiczki i ostrożnie wysunęła nogę. Z początku nie było aż tak źle - była o wiele lżejsza niż Sam i nie zapadła się głęboko. Dotarła na tył samochodu, zanim muł zaczął przenikać przez noski jej trzewików.

Pochyliła się i pożyła dłonie płasko na brudnej karoserii. .

- Powiedz kiedy.

Sam wysunął głowę przez okno.

- Kiedy dodam gazu, pchaj. Kiedy przestanę, przestań. Rozbujamy go jak kołyskę. W porządku? Liczę do trzech. Ra... dwa... pchaj!

Popchnęła i dzip rzeczywiście ruszył się o kilka centymetrów, po czym znowu osiadł w zielonym szlamie. Sam zwię-

kszył trochę obroty i Mercy znowu pchnęła. Powoli, spokojnie dżip rozkołysał się w tył i w przód, w tył i w przód, aż Sam nagle dodał gazu i dżip z rykiem wydostał się po zbutwiałym pniu z mułu na suchy grunt.

Sam wydał okrzyk triumfu, wyrzucając w powietrze zacisniętą pięść. Gdzieś z tyłu Mercy odpowiedziała mu okrzykiem, który jednak był bardziej przerażony niż triumfujący.

Powoli, powoli Sam spojrział w lusterko... i zaklął pod nosem.

Mercy klapnęła na tyłek w błoto wśród splątanych lilii. Nogi zaplątały jej się w sieć łodyg i kłaczy. Wymachiwała rękami W górę i w dół, drobnymi piąstkami wzbijając ulewę błota. Sam nie mógł się mylić; Mercy była wściekła.

Wysiadł z samochodu i uważnie zbadał sytuację. Dzielilo go od dziewczyny nie więcej niż dziesięć metrów, ale jakich dziesięć metrów!

- Już idę- zawołał. Zdjął buty i postawił je porządnie na trawiastym pagórku. Podwinął dżinsy i rękawy koszuli. -Nie ruszaj się stamtąd.

Mercy, która śledziła każdy jego ruch, pogrzyżyła się w oszłomieniu. Co się dzieje z tym facetami?! Dlaczego nie przybywa jej na pomoc? Obserwowała go uważnie, gdy zdejmował z namaszczeniem zegarek i zdumiona plasnęła się ręką w czoło, pozostawiając na nim błotnistozielony ślad.

- A może pojedziesz do domu i założysz kostium pływacki? Ja się mogę tu jeszcze trochę pokisić. Nie mam nic przeciwko temu, naprawdę.

Sam posłał jej słodki uśmiech.

- Cierpliwości, aniele. Już wiem, jak zapanować nad sytuacją.

Ostrożnie, rozważnie przeprawił się przez szlam. Kiedy dotarł wystarczająco blisko, Mercy popatrzyła nań groźnie i bez słowa wyciągnęła brudną rękę. Sam ujął ją delikatnie, lecz zamiast postawić Mercy na nogi, szarmancko ucałował końce jej palców.

- Przyjmij moje przeprosiny za ten nieprzyjemny wypadek - powiedział. I bez ostrzeżenia rzucił się w błoto.

Mercy łapczywie wciągnęła powietrze; oczyma tak rozszerzonymi, że zajmowały jej niemalże pół twarzy, gapiała się na leżące z rozpostartymi ramionami ciało.

- Ty... ty szaleńcze! Co robisz? Sam! Słyszysz mnie? Sam?

Podniósł się. Błoto ściekało mu z nosa i brody, wodna lilia zwisała zza ucha.

- Znam kobiety - powiedział, otrząsając włosy z wody i siadając obok Mercy. - Żądają równości. Łatwiej było u-błocić się tak jak ty, niż cierpieć poczucie winy tylko dlatego, że byłbym suchy i czysty.

Mercy odzyskała wreszcie głos; wyrzucała z siebie słowa, chwytając jednocześnie powietrze.

- To była... najgłupsza.... najbardziej... idiotyczna rzecz... jaką widziałam w życiu.

Kiwnął głową.

- Ale czujesz się lepiej?

- Nie - odparła, lecz wargi jej drgnęły i poczuła, jakby ktoś laskotał ją od środka.,

Sam spojrział na nią przymilnie jasnymi, błękitnymi oczyma.

- Tak troszeczkę?

Mercy uśmiechnęła się. Nagle poczuła, że rozsadzają słoneczna radość, uczucie tak cudowne, że nie wiedziała, jakimi słowami je wyrazić. Zaczęła krztusić się ód hamowanego śmiechu, aż w końcu nie mogła się powstrzymać i roześmiała się na całe gardło. Śmiała się tak długo, że niebo zaczęło wirować nad jej głową, rozboleły ją boki, a łzy spływały strumieniem po brudnej twarzy. Za każdym razem, gdy już już zdołała się opanować, wystarczyło spojrzeć na Sama i znowu zanosila się od śmiechu. Sam rozpaczliwie wahał się pomiędzy przyłączeniem się do zabawy (co, jak się obawiał, mogłoby Mercy urazić), a zachowaniem postawy pełnej skruchy. Walka ta wyraźnie odbijała mu się na twarzy.

- Czy teraz wreszcie to jest niezła zabawa?- zdołała wreszcie wykrztusić Mercy, chichocząc jak opętana.

Sam spróbował wstać, potknął się o korzeń i opadł na czworaki.

- To jest niezłe bagno.

Mercy pierwsza podniosła się na nogi. Wyciągnęła rękę. Po chwili wahania Sam przyjął jej pomoc.

- To bardzo rycerskie z twojej strony - powiedział, wycierając błoto z brody. - Przez moment zastanawiałem się, czy nie chcesz przypadkiem znowu wrzucić mnie w to bagno.

Pełne wargi Mercy drgnęły lekko.

- Jakże mogłabym, po twoim pełnym poświęcenia skoku? Wszystko przewidujesz;, prawda?

Sam spojrział na Mercy (i oczy mu pociemniały. Zrozumiał, jakim skarbem była dla niego, jak zdążył się do niej przywiązać. Stała tam jak przemoczona skautka na nieudanym biwaku. Po-

czucie humoru wyzierające z cyrkonowych oczu i słońce igrające z jej rozwianymi włosami przyspieszały Samowi tętno.

- Tym razem tak - powiedział Sam miękko, podnosząc rękę, aby potrzeć palcem po brodzie Mercy. - Tym razem tak, Mercy Sullivan.

Serce Mercy zaczęło bić szybko, jak u wystraszonego królika. Jakiś spóźniony chichot nagle, niewytłumaczalnie przerodził się w czkawkę. Mercy wstrzymała oddech i spojrzała na Sama. Uśmiech całkowicie zniknął z jej warg.

- Co to było? - spytał Sam.

- Nic.

- Masz czkawkę? Sprawilem, że masz czkawkę?! Cała czerwona kiwnęła głową, po czym czknęła znowu.

- Ha! - Sam roześmiał się i odrzucił włosy z czoła. Znowu przeistoczył się w korsarza. - I co ty na to, Tuckerze Healy? - Kiwnął palcem na Mercy.

- Co? - spytała Mercy cicho i ochryple.

- No chodź.

- Jestem cała mokra.

- Wiem. - Postąpił krok naprzód, splecione włosy nie-ustępliwie pętało mu nogi. Przyciągnął do siebie Mercy, trzymając tył jej głowy obiema rękami. Przywarł ustami do jej warg, mierzwiąc jednocześnie palcami kasztanowate włosy. Mercy wzdychała i zachłystywała się mocnym, wilgotnym, nienasyconym, drżącym pocałunkiem Sama. Ileż to czasu minęło od momentu, gdy Sam poprzednio trzymał ją w ramionach - ponad dwadzieścia cztery godziny, a przedtem dwadzieścia trzy długie lata.

„Chcę, żebyś to zapamiętała - pomyślał Sam. - Pamiętaj mnie, a nie jego". Za wcześniej jeszcze było na wypowiedzenie tych słów, więc całym sercem starał się, aby je poczuła.

A Mercy... otworzyła się do niego jak kwiat do słońca, pijąc zachłannie to, co jej ofiarował. Wygięła ciało, uniosła się na palce, zarzuciła mu ramiona na szyję i wpijała się w niego tak, jak gdyby od tego zależało jej życie. Twardość mięśni Sama, łagodny, kołyszący ruch jego bioder rozniecił płomień w zmysłach Mercy. Było to dobre i właściwe. Nigdy jeszcze nie czuła, że coś jest tak właściwe.

Gdy Sam podniósł głowę, ich wargi rozdzieliły się z nagłym cmoknięciem.

- Sprawilem ci ból?
- Nie och, nie. Przenikliwie zimny wiatr przeleciał nagle przez wąwóz, kłując ich przez mokre ubrania. Mercy zadrzała.
- Robi się późno - powiedział Sam, trzęsąc się tak samo jak Mercy, lecz z innego powodu. Postąpił krok do tyłu i potarł dłońmi ramiona. - Odwiozę cię do domu.
- Sam...
- Co?
- Nic. - Nie wiedząc, co robi, objęła go i wtuliła twarz w jego pierś. -Po prostu... Sam.



## **ROZDZIAŁ 4**

Gdy wjeżdżali do podziemnego parkingu, Sam wyłączył światła dżipa.

- Dlaczego jedziemy po ciemku? - spytała Mercy ciekawie.

- Wcale nie jest ciemno. - Sam strzelał oczyma na wszystkie strony w poszukiwaniu jakiegoś nadgorliwego reportera. - Te lampki dają mnóstwo światła. Poza tym uwielbiam wyzwania. Jazda po parkingu w kompletnych ciemnościach stanowi rodzaj wyzwania.

Mercy nie miała wątpliwości. Widziała już tego faceta, jak zdobywał Góry Skaliste. Czymże był jeden mały parking po takich przeżyciach?

- Poza tym w ten sposób mniej rzucamy się w oczy. Wyglądamy, jakbyśmy dopiero co wyrwali się z łap jakiegoś wyjątkowo niechlujnego potwora. Czy myślisz, że dostaniemy się na górę niezauważenie?

- Mam nadzieję- odparł Sam z ogromną ulgą.

Oczywiście wchodzili po schodach.. Mercy cały czas paplała. Wyjaśniła Samowi, że zamknięte miejsca ją przerażają, że nawet prowadząc samochód, musi mieć otwarte okno i że cierpi na to od dziecka. Wiedziała, że mówi za dużo, ale nie mogła po-

wstrzymać potoku słów. Gdy tak szli pod górę, całym ciałem wyczuwała bliskość mężczyzny idącego obok.

Wiedziała, że on tam jest: brudny, rozczochrany, piękny, smukły, silny. Posąg twardych mięśni o doskonałych proporcjach. Sposób poruszania się Sama, delikatne kołysanie się bioder, zmęczone pochylenie mocnych ramion robiło na Mercy ogromne wrażenie. Poczucie jego fizycznej obecności okazało się nadszpiewanie podniecające. Mercy była zdumiona siłą, własnej reakcji. Zazwyczaj nie czuła się skrępowana w kontaktach z mężczyznami. Zawsze miała ciętą uwagę na końcu języka i kąśliwy uśmieszek w pogotowiu. Lecz przy tym mężczyźnie poczuła się stuprocentową kobietą. Nieszkodliwy flirt przerodził się w coś niezwykłego, z czym nie mogła sobie poradzić.

Nagle stała się niespokojna i spięta. Uświadomiła sobie, jak wygląda. Tucker dostałby apopleksji. Niemalże słyszała jego głos: „Nikt na ciebie nie spojrzy, Pączusiu, jeżeli będziesz tak wyglądać. Znajdź jakąś ładną sukienkę, to zabiorę cię na tańce”.

Sam odprowadził Mercy do drzwi, przysłuchując się z uśmiechem i nieodgadnionym wyrazem oczu nie kończącej się paplaninie o cudownym dniu, jaki spędzili. Mercy gwałtownie zapragnęła być sama. Świadomość zaniedbanego wyglądu ciążyła jej coraz bardziej; w swoich oczach była z minuty na minutę coraz bardziej odpychająca.

- Odręż się - powiedział Sam delikatnie, gdy Mercy w końcu przestała mówić, aby zaczerpnąć oddechu. - Marnujesz tylko energię, którą moglibyśmy wykorzystać w inny sposób.

Rzuciła mu krótkie, czujne spojrzenie.

- Na przykład?

Wyjął jej klucz z ręki i otworzył drzwi, przepuszczając Mercy przodem.

- Na przykład mogłabyś mi zrobić filiżankę kawy.

- Ach tak. - Mercy poczuła przypływ czegoś, co mogło być ulgą, ale mogło być też rozczarowaniem.- Oczywiście. Kawa. Zaraz wracam.

- Mercy?

Zatrzymała się w pół drogi do kuchni.

- Tak?

Uśmiechnął się łagodnie, wzruszył ramionami i włożył ręce do kieszeni.

- Jestem całkowicie nieszkodliwym facetem. „Pisz mnie takim, jakim mnie widzisz”.

„Pisać go takim, jakim go widzę” - pomyślała Mercy. Wielkie nieba, co ona widziała: świetliste oczy, miękkie, głębokie i niebezpieczne; schodzącą skórę na nosie i opaloną na brąz szyję; rozjaśnione przez słońce włosy... i uśmiech, na którego widok serce zaczynało bić mocniej. Nie, to wcale nie było uspokajające.

- Kawa- wymamrotała i pobiegła do kuchni. Podczas gdy kawa bulgotała w ekspresie, Mercy starała doprowadzić się do jakiegoś takiego porządku,, używając szklanych drzwiczek piekarnika jako lustro. Nie miała grzebienia, aby rozczesać splątane włosy, więc próbowała poprawić fryzurę palcami. Otrzeпаła zakurzoną drelichową kurtkę, umyła twarz i ręce i wyszcypała policzki, aby nabrały rumieńców: W końcu zaniосła dwie fili-

zanki kawy do dużego pokoju, nie ośmielając się zaryzykować kolejnego zerknięcia w „lustro”.

Sam usadowił się na sofie, przeglądał Czasopisma i czuł się jak u siebie w domu. Mercy podała mu kawę i usiadła ostrożnie na przeciwległym krańcu sofy, niczym stara panna na prozzonej herbatce.

- Nie gryzę - powiedział Sam, przyglądając się oddzielającym ich dobrze wypchanym poduszkom.

Mercy była na siebie wściekła z powodu własnego zachowania, ale nie mogła się przełamać. Wszystkie jej zmysły były nastawione na Sama z jakimś bolesnym nateżeniem. Śledziła każdy jego oddech, każdy ruch z niemalże ludożerczą uwagą. Nie miała pojęcia, jak sobie poradzić z tym męczącym uczuciem. Popiła łyk kawy i sparzyła się w język.

Ze łzawiącymi oczyma odstawiła filiżankę i chwyciła jeden z magazynów leżących na stoliku.

- Nie jestem przyzwyczajona do przyjmowania tutaj gości-wychrypiała bez tchu.- Jesteś pierwszy; jeśli chodzi o ścisłość. Mieszkam tu dopiero od kilku tygodni. Poznałam kilku przyjaciół w pracy, ale ich nie zapraszałam, bo...

- Spójrz na mnie - przerwał Sam.

- Nie wygłupiaj się. - Posłała mu niespokojne spojrzenie, po czym spuściła wzrok na czasopismo. - Przecież patrzę.

- Daj mi to. - Wyrwał jej gazetę z rąk i rzucił na podłogę razem z tą, którą do tej pory sam czytał. Dwie godziny temu trzymał tę kobietę w ramionach i wszystko było w porządku. A teraz coś się z nią działo, nie mogła zostawić włosów w spoko-

ju; odgarniała je za uszy, poprawiała grzywkę. — Odpreź się. Co zmieniło się od czasu kanionu Rock Creek?

- Jestem całkowicie odpreżona - odparła Mercy, śmiejąc się nerwowo, co zabrzmiało jak bulgotanie w zatłoczonej rurze kanalizacyjnej. - Kompletnie. Nie jestem... no cóż, wiem jak wyglądam. Muszę się uczesać, przydałoby się trochę szminki i tuszu. Po prostu nie jestem w najlepszej formie, to wszystko.

Sam lekko potrząsnął głową.

- Co to znaczy, że nie jesteś w najlepszej formie? Kto ci powiedział, że potrzebujesz szminki i tuszu, aby być w formie?

Spojrzała na niego.

- Miałam nie wymawiać imienia tej osoby. Sam wziął głęboki oddech.

- Mercy, nie musisz się uciekać do fałszu i sztuczek, żeby być w formie. To czym jesteś naprawdę: słodycz, wrażliwość, uduchowanie, to wszystko ujawni się niezależnie od tego, jak wyglądasz. Osoba, której imienia nie mogę wymówić, jest kompletnie ślepa, żeby nie powiedzieć: głupia, jeżeli tego nie zauważyła. - Przerwał i spojrzał na Mercy z rozbawieniem i powagą jednocześnie. - Nie zachowywałaś się tak przedtem. Dlaczego? Myślałem, że dobrze się ze mną czujesz?

- Tak było - szepnęła Mercy, nawijając nerwowo kosmyk włosów na palec. - Ale to było zanim...

...Pochylił się bardziej, dotykając jej twarzy.

- Zanim co?

- Zanim coś do ciebie poczułam - szepnęła Mercy bezradnie. Nigdy jeszcze nie była tak skrepowana, wyrażając swoje uczucia. - Dotychczas jedyną osobą, do której coś czułam był...

- Psst.- Sam położył jej palec na wargach. A potem ręka ześliznęła mu się na jej kark i powoli przyciągnął dziewczynę do siebie, aż zetknęli się nosami. - Mieliśmy nie używać takich brzydkich słów, pamiętasz? Mieliśmy nawet o nim nie myśleć?

Wyraziste usta Mercy drgnęły w jednym końcu.

- To o czym mamy myśleć?

Sam pocałował figlarnie koniuszek jej nosa.

- Och, o różnych przyjemnych rzeczach. O wyboistych drogach. Puchowych poduszkach. Rozgwieżdzonych nocach. No i, oczywiście, o tym, co lubię najbardziej. - Następne słowa wycisnął na jej lekko rozchylonych wargach. -O długich, powolnych, głębokich pocałunkach, które trwają... wieczność... i... jeden dzień.

Zamknął jej usta w swoich i począł namiętnie je przeszukiwać, co chwila zmieniając nacisk, siłę i kształt swoich warg. Niczym pszczoła spijająca słodki nektar ssał i smakował, aż doprowadził ich oboje do drzenia. Czas" zwolnił swój bieg. W pokoju zaczęły gromadzić się cienie, a ciągle jeszcze jedynym słyszalnym dźwiękiem był nierówny odgłos ich oddechów.

Ręce Sama przesunęły się ku górze, a Mercy poczuła zadowolenie i niemalże ulgę, gdy w końcu ujęły i podtrzymały bolesny ciężar jej piersi. Chciała, by jej dotykał; chciała czuć dotyk jego palców na swoim ciele. Powoli opadli na sofę pomiędzy rozrzucone poduszki. Pocałunki trwały dalej niczym słodka, zmysłowa uczta. Ręce mężczyzny pieściły ciało kobiety, palce kobiety wpijały się kurczowo w ramiona mężczyzny. Mercy wyczuła z przesywającą przyjemnością drzenie jego ciała. Chciała dać z siebie tyle samo, ile dostała, ale nie wie-

działa, czy to jest w ogóle możliwe. Nie zaznała dotąd takiej pełni, takiego ciepła i poczucia jedności. Zatapiali się w sobie coraz głębiej, a szczupłe ciało Sama stawało się coraz bardziej napięte i naprężone. Krótki, chrapliwy oddech wydobywał mu się z gardła. W końcu się podniósł. Skórę miał rozpaloną. Dłoni zaciśniętymi w pięści nadal podtrzymywał głowę Mercy.

- Dość - powiedział przez zaciśnięte zęby.

Mercy spojrzała na niego oszołomiona i drżąca. Dość? W przeciwieństwie do twardych, naprężonych mięśni Sama, jej ciało było miękkie i bezwładne.

- Dla mnie to jeszcze nie jest dość - wyszeptały cudownie nabrzmiące wargi Mercy.

Sam szybko zamknął oczy, aby doprowadzić do końca bolesny proces przywracania samokontroli. Wreszcie odważył się znowu spojrzeć na dziewczynę i zdobył się na niepewny uśmiech.

- Gdybyś tylko spróbowała, Mercy Sullivan, mogłabyś przyprowadzić mnie do szaleństwa. Mogłabyś to zrobić, nawet gdybyś nie próbowała.

Podniósł się i patrzył, jak Mercy doprowadza się do porządku, Wtulila się w róg sofy i objęła ramionami nogi. W przytłumionym świetle lamp widział, jak cały czas wlepia w niego głodny wzrok.

- O rany - mruknął, przenosząc spojrzenie gdzie indziej i wciągając głęboko powietrze. Nagle jego wzrok padł na leżące na podłodze otwarte czasopismo. Uświadomił sobie, że patrzy na słynną reklamę bielizny Comfort Weave, na fotografię

Wiecznego Buntownika uzbrojonego zgodnie z zaleceniami producenta .w zachęcający uśmiech. Biegający u góry strony, wyróżniony grubą czcionką napis głosił: MEŻCZYŻNA DOSKONAŁY. - O rany! - powtórzył Sam zupełnie innym tonem. Chwytał czasopismo i zamknął je, udając, że nagle zainteresowała go okładka. - Jeszcze tego nie czytałem - powiedział. - Czy mógłbym sobie pożyczyć? Ciemne oczy Mercy otworzyły się szeroko.

- Czytujesz „Cosmo”?

- No, nie zawsze.- wymamrotał Sam. - Ale ten numer wygląda interesująco. „Lambada”, „Jak wypracować seksowny wygląd”, „Dziesięć modeli młodzieńczych bikini dla niezbyt młodzieńczych ciał”. Jest co czytać.

Sekundy ciągnęły się niemiłosiernie, gdy Mercy przyglądała mu się zaskoczona.

- Proszę bardzo, możesz sobie pożyczyć - powiedziała w końcu. - Co prawda kupiłam go dopiero wczoraj i jeszcze nie przejrzałam, ale...

- Na pewno oddam. - Sam wstał i bardzo powoli przeciągnął ręką po zmierzwionych włosach. Tyle rzeczy chciał jej powiedzieć. Nie był wcale idiotą ubierającym się jak kowboj i czytającym „Cosmo”. Chciał po prostu spędzić z nową znajomą trochę więcej czasu. Chciał być „po prostu Samem” jak najdłużej, bo teraz, gdy wszystko zostało już zrobione i powiedziane, tylko to mógł jej zaoferować. Żałował, że nie może zostać jeszcze chwilę, ale naprawdę nie mógł, To byłoby nieuczciwe. Mercy i tak nie wiedziała, co o tym wszystkim myśleć.



Słowa nigdy nie przychodzą łatwo, gdy dwoje ludzi ostrożnie usiłuje odnaleźć drogę do siebie nawzajem. Lepiej jest powiedzieć za mało niż za dużo. Sam bał się zranić Mercy i bał się, by jego nie zraniono. Popatrzył na nią z powagą, pochylił się i pocałował czubek głowy dziewczyny, dotykając jednocześnie palcami jej policzków.

-Dziękuję ci za ten dzień - wyszeptał. O wiele więcej mówiły jego oczy, ale Mercy tego nie widziała. Głowę miała pochyloną i przyglądała się własnym, spoczywającym na kolanach dłońmi. - Dobranoc, Mercy.

Podniosła oczy w momencie, gdy Sam odwrócił się, i odprowdziła go wzrokiem do drzwi.

- Sam?"

Trzymając już rękę na klamce, spojrział przez ramię.

- Tak?

Wtuliła się w poduszki i przyciągnęła kolana bliżej do ciała.

- Nie wiem, jak się nazywasz. Nie powiedziałeś mi. Długa pauza. A potem uśmiech.

- Musiałem to przeoczyć - odparł, po czym mrugnął okiem do Mercy i zamknął za sobą drzwi.

W jasnym świetle poniedziałkowego poranka umysł Mercy pracował o wiele sprawniej niż poprzedniej nocy. Zrozumiała, a przynajmniej tak jej się wydawało, przyczynę, dla której Sam opuścił ją tak niespodziewanie. Był po prostu troskliwym i uczciwym człowiekiem, który nie chciał wykorzystać jej wzburzenia. Cokolwiek zdarzyło się między nimi, podczas gdy ona toczyła wewnętrzną walkę, aby zerwać psychologiczne więzy,

jakie łączyły ją z Tuckerem, nie obróci się to przeciwko niej. Mimo to czuła się lekko dotknięta, że Sam tak łatwo doprowadził do sytuacji, w której straciła panowanie nad sobą. Nawet teraz, po dwunastu godzinach i zimnym prysznicu, po jej skórze przebiegały dreszcze.

Do pracy ubrała się w białe, robione na drutach rajstopy, wygodne baletki i za dużą jedwabną koszulę, sięgającą do kolan. Po niemal trzech miesiącach pracy w charakterze osobistej asystentki jednego z najbardziej wziętych fotografów w Denver, Mercy nauczyła się, że ważniejsze od tego, jak się wygląda, jest to, czy można swobodnie poruszać się w ubraniu. Czy będzie mogła się wdrapać na szczyt drabiny, unikając prucia szwów i ukazywania na widok publiczny swojej bielizny? Czy będzie mogła się wspinać i pochylać z rękoma pełnymi lamp błyskowych, kabli i różnego rodzaju sprzętu? I, co najważniejsze, czy wytrzyma osiem lub dziesięć godzin pozostawania w pełnej gotowości, biegania tam i z powrotem, słuchania rzucanych przez Tommy'ego Evansa krótkich rozkazów i świeżo przezeń wymyślonych przekleństw tak, aby wszyscy wiedzieli, w jakim jest nastroju. W Denver Mercy po raz pierwszy zetknęła się z tak zwanym „artystycznym trybem życia” i wiele się przez ten czas nauczyła. W Nowym Jorku pracowała w studiu fotograficznym, specjalizującym się w robieniu zdjęć uczniom szkół podstawowych. Zajęcie to wymagało bardziej cierpliwości niż pomysłowości i więcej wytrzymałości niż talentu. Praca u Tommy'ego Evansa była czymś zupełnie innym. Był to człowiek o wyrobionych poglądach, trudnym charakterze i gwałtownych zmianach nastroju. Mercy słyszała o nim zawsze jako o geniu-

szu, lecz ukrywała starannie swoje zdanie na ten temat. Nie znała się na fotografii reklamowej. Zarówno w Nowym Jorku, jak i w Denver wykonywała drugorzędne prace; jednak teraz pracowała z człowiekiem o międzynarodowej sławie. Była co prawda tylko gońcem, ale miała zupełnie niezłą pensję, a Evans co chwila wykrzywił do niej wargi w grymas, który przy dużej dozie dobrej woli można było nazwać uśmiechem, i stwierdzał, że Mercy „zupełnie dobrze sobie radzi”. Choć Mercy nie miała zamiaru robić kariery w branży reklamowej, wiedziała, że od tego człowieka dużo się może nauczyć. Miała nadzieję, że pewnego dnia zbierze wystarczająco dużo pieniędzy i doświadczenia, aby otworzyć własny interes. Chciała robić zdjęcia/ na pokazach mody.

Tego szczególnego poranka w studiu Tommy'ego było jeszcze większe zamieszanie niż zazwyczaj. Mercy dopadła Judith Passco, projektantkę dekoracji, w pokoju konferencyjnym i zapytała ją żartobliwie, czy przypadkiem Mel Gibson nie jest zapisany na serię zdjęć.

- Ktoś niemalże tak dobry - odparła Judith, przyciskając rękę do serca i trzepocząc sztucznymi rzęsami. - Wieczny Buntownik obnaży dziś przed nami swoją męską pierś. Strzelamy reklamę elastycznych džinsów. Przeżywałam to cały dzisiejszy ranek, wyobrażając sobie to piękne umięśnione ciało. Wiesz przecież, jakie słodkie są zazwyczaj reklamy elastycznych džinsów. Bardzo podniecające.

- Wieczny kto?

- Kochanie, powinnaś prowadzić bardziej urozmaicone życie towarzyskie. Jedyni ludzie, których rozpoznajesz, są związani z

baseballem- prychnęła pogardliwie. - I to wszystko z powodu tego twojego byłego narzeczonego, zgrywającego się na brutalnego samca. To naprawdę wielka szkoda. Nigdy nie słyszałaś o Wiecznym Buntowniku?

Mercy wzruszyła ramionami.

- Słyszałam taki zwrot. Czy to nie jest jakiś kierowca -wyścigowy, czy coś takiego?

- Jesteś beznadziejna - jęknęła Judith. - Ten baseballista doprowadził cię do ruiny. Idź na górę i naciesz wzrok widokiem najdoskonalszego mężczyzny na świecie. Musisz nadrobić zaległości.

- Czy on już jest tutaj? - Mercy była zainteresowana, ale daleka od ekstazy. Zajęła się analizowaniem pustego, ssącego uczucia wypełniającego jej wnętrze, które było oznaką tęsknoty za Samem. Zastanawiała się gdzie jest, co robi i czy o niej myśli. Nie była pewna, czy powinna dalej nad tym rozmyślać - żeby nie zapeszyć. Przez całą noc miała świadomość fizycznej obecności nowego znajomego. Co prawda takie nagłe zauroczenie mogło minąć tak szybko, jak się pojawiło. Ale jakoś nie obawiała się tego zbytnio.

Ponieważ Judith nalegała, Mercy poszła do garderoby, gdzie najdoskonalszy mężczyzna na świecie poddawany był upiększającym zabiegom. Otworzyła drzwi i zerknęła do środka, zamierzając wycofać się natychmiast, skoro tylko „nacieszy oczy”. Pan Christie spowity był aż po szyję w różowy plastik. Siedział na fotelu, zwrócony plecami do Mercy. Fryzjer miotał się dookoła niego z grzebieniem w jednej ręce i butelką lakieru do włosów w drugiej, facet odpowiedzialny za makijaż gładził po-

liczki delikwenta olbrzymim pędzlem i nawijał zdyszczanym głosem coś o młodzieńczych rysach twarzy. W rogu pokoju Tommy, jego asystent od zdjęć i dyrektor artystyczny omawiali z podnieceniem szczegóły sesji; wszyscy trzej mówili jednocześnie. Uspokajająca klasyczna muzyka sączyła się z głośników.

Tommy zauważył Mercy, zerkając na nią z kąta jednym okiem.

- Ty tam. Jesteś potrzebna. Wszystko już prawie gotowe, Idź na dół do studia i sprawdź światła. Czy widziałas Judith?

- Jest w pokoju konferencyjnym - odparła Mercy, ukazując się ponownie zza drzwi, za które zdążyła już wyjść.

-Przynajmniej była tam pięć minut temu.

Powiedz jej, że ma się tu zjawić.

Tommy ponaglił Mercy gestem i powrócił do rozmowy. Zbierając się do wyjścia, Mercy posłała krótkie spojrzenie odbiciu w lustrze na przeciwległej ścianie. Ujrzała profesjonalnie wzburzone włosy: każdy blond kosmyk był na swoim miejscu. „Bardzo ładny hełm” pomyślała, ukrywając uśmiech. Omiotła spojrzeniem resztę twarzy, zwracając uwagę na młodzieńcze kości policzkowe, błękitne oczy Newmana i kwadratową szczękę, która na fotografii będzie wyglądać tak dobrze, jak szczęka Mela Gibsona. Napotkała wzrokiem w lustrze świetliste oczy właściciela twarzy i uśmiechnęła się raczej niepewnie, po czym zamknęła drzwi.

I zaraz otworzyła je znowu, z siłą dostateczną, aby wbić klamkę w ścianę.

- Sam?! - Było to coś pomiędzy szeptem a krzykiem, ale wystarczyło, aby ściągnąć wszystkie spojrzenia.

Sam nie poruszył się, nawet nie mrugnął okiem. Nie drgnął mu ani jeden mięsień od momentu, gdy Mercy weszła do pokoju po raz pierwszy, a on zdał sobie sprawę, że los splatał mu okrutnego figła. Najchętniej naciągnąłby ten różowy plastikowy śliniaczek na głowę i się ukrył.

- Tak, Mercy, to jest Sam Christie - wycodził sarkastycznie przez zęby Tommy. - Czyż to nie zdumiewające, zwłaszcza że na dzisiaj byliśmy z nim umówieni na sesję zdjęciową? Weź no się w garść, moja pani. Jesteśmy zawodowcami, pamiętasz? Nie ma czasu na palpacje serca.

Mercy nie słuchała. Przeszła powoli przez pokój i obiema rękami przekreśliła fotel w swoją stronę. Przez głowę przelatywały jej rozmaite myśli: Sam miał na twarzy grubszy makijaż niż ona, włosy utrefione, a twarz doskonale bez wyrazu, jak gdyby uderzył go piorun.

- Przydałoby się jeszcze trochę różu - powiedziała Mercy trzęsącym i łamiącym się głosem. - I może odrobina błyszczyku do ust. Chyba chcesz być w jak najlepszej formie, prawda?

- Zaraz ci wszystko wyjaśnię- powiedział Sam.

- Mimo wszystko podkład jest niezły. Podoba mi się, ten brzoskwiniowy odcień; wygląda bardzo naturalnie. I te włosy... mój Boże ta fryzura powinna utrzymać się do Halloween.

Sam usiłował się wyzwolić z plastikowej pelerynki.

- Gdybyś mnie mogła wysłuchać...

- Mam trochę pracy - odparła Mercy. - Bosko było spotkać pana, panie Christie. - Odwróciła się na pięcie i wyszła, nie oglądając się za siebie, Słyszała, jak Sam krzyczy na Tommy'ego, a Tommy na kogoś innego, ale nic ją to nie obchodziło.

Sam Christie. Widziała go w telewizji, czytała o nim w czasopiśmie zajmującym się plotkami towarzyskimi, a siedem lat wcześniej oglądała transmisję z igrzysk olimpijskich, na których zdobył dwa złote medale. Ale jakoś nigdy nie skojarzyła twarzy Sama Christie z tym poplamionym inwalidą, na którego - zemdlnego - natknęła się w windzie. Człowiek się nie spodziewa, że los zetknie go z jakąś ważną osobistością w taki właśnie sposób.

Spotkała Judith na schodach i oznajmiła, że Tommy chce ją zobaczyć. A potem już tylko szła: przez drzwi wyjściowe i dalej chodnikiem. Nie miała pojęcia dokąd idzie, ale szła wytrwale. Stawiała stopę za stopą, a w jej umyśle szalała burza. Rozpaczyliwie rozpamiętywała miniony weekend, starając przypomnieć sobie, w którym miejscu popełniła błąd, w jaki sposób dopuściła do zawarcia znajomości ze słynnym Samem Christie. Co za ironia losu... sama Mercy była tak prostolinijną istotą. Chciała jedynie spokoju i poczucia bezpieczeństwa. Ostatnia kropla przepełniła kielich goryczy i Mercy usiadła nagle na ławce na przystanku autobusowym. Nie mogła uwierzyć, że to jej się przytrafiło... znowu. Przez tyle lat w jej życiu był tylko jeden mężczyzna: Tucker, księżę zamieniony w żabę, rozkwitający w świetle reflektorów. Amerykański w każdym calu chłopiec, łamiący jakby przez przypadek kobiece serca za pomocą oślepiającego wdzięku. Zaspokajała jego kaprysy, cieszyła się z jego - uśmiechu i wierzyła w jego wymówki, aż w końcu zabrakło jej na to siły. Odejście od Tuckera było najbardziej zdecydowanym posunięciem, na jakie zdobyła się w życiu, i wciąż zastanawiała się, skąd wzięła na nie odwagę. Wiedziała tylko, że nie ehcejuż

nigdy zaznać takiej miłości, miłości pełnej złudzeń i oczekiwan-  
nia na szczęśliwe zakończenie, które nie chciało nadejść.

Ale nagle zjawił się Sam.

Zupełnie nieszkodliwy sąsiad Sam, wyznający zasadę, że  
najważniejsze jest bycie sobą. Objawił jej, jakich Cudownych  
momentów można oczekiwać od życia. Rozweselał ją. Dostar-  
czał jej mocnych wrażeń. Nurkował w bagnie. Wywołał u niej  
pragnienia i żądze, których istnienia nawet nie podejrzewała.  
Przez te trzy krótkie dni przekonał ją, że księżęta z bajki na-  
prawdę istnieją... do diabła z nim, do diabła, do diabła. Niestety,  
on nie był księciem. Nie był nawet czekającą na odczarowanie  
żabą. Sam Christie miał reputację mężczyzny czerpiącego przy-  
jemność na prawo i lewo.

Zgrywał się tylko na normalną, skromną i troskliwą istotę lu-  
dzką. Pewnie sprawiało mu to przyjemność. *Hej, hej. Jestem  
tylko słodkim chłopcem z prowincji, który dorastał na zie-  
mniaczanej farmie.*

- Hej, hej - powiedział Sam cicho.

Stał przed nią. Mercy utkwiała wzrok na wysokości sprzączki  
od paska.

- Idź sobie, Sam. Już cię nie lubię.

Usiadł przy niej ze spuszczoną głową, opierając łokcie na  
kolanach.

- Ależ lubisz.

Rzuciła mu groźne spojrzenie.

- Wcale nie. Nawet cię nie znam.

- Słuchaj, pozwól mi to wyjaśnić. Chciałem ci wszystko po-  
wiedzieć, ale...



- Więc dlaczego tego nie zrobiłeś? Czy to tak trudno powiedzieć: „Ach, tak przy okazji, to jestem sławny. Zdobyłem na olimpiadzie dwa złote medale, pozuję do zdjęć w samej bieliznie, robię reklamy American Express i romansuję z gwiazdami i modelkami z okładek”.

- Nic z tego nie robię, do diabła!

Mercy pogрузzyła się w milczeniu. Pomyślała, że może wyolbrzymia podawane przez prasę plotki. Siedzieli obok siebie, sztywni i pełni napięcia, a drewniana ławka stała się bolesną oazą ciszy wśród miejskich hałasów: trąbienia klaksonów, pisku opon i wycia policyjnych wozów.

- Nigdy cię nie okłamałem - powiedział zniecka Sam. Mercy nawet na niego nie spojrziała.

- Mówię prawdę - upierał się cicho przy swoim. - Poznałaś prawdziwego Sama Christie. Wszystko, co między nami zaszło, było prawdziwe. Ten facet ze studia fotograficznego... nie jest moją pokrewną duszą, Mercy. To tylko mój publiczny wizerunek. Muszę umieć z nim żyć. Jestem pewien, że mogę nad nim w pełni panować.

- Nie siedź w słońcu - powiedziała Mercy ze łzami w oczach. - Spłynie ci tusz.

- Nie jestem umalowany żadnym cholernym tuszem i ty dobrze o tym wiesz. - Sam potrząsnął ją za ramiona i zmusił, aby na niego spojrziała. - Dawno, dawno temu zjechałem na nartach z pewnej góry prędzej niż wszyscy inni i dostałem za to medal. Wkrótce potem kilku bęcwałów - dziennikarzy obwołało mnie Wiecznym Buntownikiem, a ja byłem takim głupcem, że zmarnowałem kilka lat życia, starając się dorosnąć do tego przy-

domka. W końcu interweniowała rzeczywistość: zacząłem mieć kłopoty z kolanami. Musiałem wycofać się z zawodowego sportu i ostatecznie zrozumiałem, że każdy kiedyś musi dorosnąć. Nie wstydę się tego, co teraz robię. Ci, na których mi zależy, potrafią odróżnić wizerunek od człowieka.

„Słowa, słowa, słowa” - pomyślała Mercy. Tucker też umiał ładnie mówić. Odwróciła głowę, podczas gdy Sam cały czas ścisnął jej ramiona.

- Puść mnie. Ludzie się gapią.

- Ludzie zawsze się gapią na znajomą twarz. Nauczyłem się z tym żyć.

- Cieszę się twoim szczęściem.

- Cholera, Mercy, czy ty mnie wreszcie wysłuchasz? - Mówił łagodnym głosem, ale na każde słowo kładł szczególny nacisk. - Jestem tym samym człowiekiem, z którym śmiałaś się wczoraj. Jestem tym samym człowiekiem, który zeszłej nocy trzymał cię w ramionach. Nic się nie zmieniło, zupełnie nic.

- Mylisz się - odparła Mercy. - Wszystko się zmieniło.

- Bo na to pozwoliłaś. Mercy prychnęła ze złością.

- Powiedziałeś; że wychowałeś się na farmie ziemniaczanej. Nie wiem, jak mogłam się na to dać nabrać!

- Naprawdę wychowałem się na farmie ziemniaczanej, do cholery!

- Powiedziałeś, że jesteś handlowcem.

- Bo jestem. Jestem przedstawicielem firmy produkującej sprzęt sportowy. Promuję wiele produktów, robię reklamy. Sprzedaję ludziom ich wyobrażenie o Samie Christie.

- Powiedziałeś, że jesteś nieszkodliwy - powiedziała w końcu głuchym głosem Mercy.

Znowu uniósł do góry jej twarz.

- Ależ jestem - odparł cicho, z odcieniem goryczy w głosie. - Do diabła z tym wszystkim. Nie miałem zaszczytu poznać twojego słynnego narzeczonego, ale odnoszę wrażenie, że muszę płacić za wszystkie popełnione przez niego błędy. Nie zasłużyłem sobie na to, Mercy. On miał już szansę, ale ją zmarnował.

- Przepraszam... czy pan Sam Christie? Czy mogłabym prosić o pański autograf?

Przed Samem i Mercy stała seksowna blondyna, która w wyciągniętej ręce trzymała papier i długopis. Krótko ostrzyżone włosy były artystycznie ułożone, w sposób przypominający precyzyjnie, zmierzwioną fryzurę Sama. Czarno-białe paski rajstop wyglądały jak namalowane na jej udach. Mercy szybko zamknęła oczy, przypomniawszy sobie, do jakiej perfekcji doszła w odgrywaniu tej sceny u boku Tuckera. Zawsze odbywało się to tak samo; Mercy usuwała się w cień, podczas gdy Tucker przywoływał cały swój urok i uwodził piękne kobiety. A Mercy powtarzała sobie, że Tucker musi schlebiać fanom, że jest to część jego pracy, i udawała, że nie zauważa, jak między Tuckerem a całym kobiecym rodzajem rośnie seksualne napięcie.

Ale teraz już dość. Siedziała W milczeniu, podczas gdy Sam nabazgrał coś na kartce papieru i oddał ją kobiecie w paski. Podziękowała mu wylewnie, podziękowała jeszcze raz, aż w końcu spojrzała na Mercy.

- O! - powiedziała, marszcząc cienkie, podkreślone ołówkiem brwi. - Cześć. Czy ty jesteś... kimś?

Mercy wstała, a sprzeczne emocje kłębiły się w jej umyśle.

- Absolutnie nie - odparła. - Jestem po prostu jeszcze jedną beznadziejnie oddaną fanką. Zajmij moje miejsce, dobrze? Możecie we dwoje odbyć miłą pogawędkę. Do widzenia, panie Christie. Wszystkiego najlepszego.

Pełna godności odeszła trotuarem; z podniesioną głową i sercem ciężącym jak kamień. Oczyma wyobraźni przywoływała wydarzenia ostatnich kilku dni, zimno i beznamiętnie zastanawiając się, czym sobie zasłużyła na taką ironię losu. Chciała żyć umiarkowanie, tak, właśnie umiarkowanie. Pragnęła mieć życie nieskomplikowane i spokojne. Kiedy się znowu zakocha - o ile to w ogóle nastąpi - to tylko w uczciwym, pracowitym kasjerze bankowym albo w delikatnym, wrażliwym stroicielu pianin... w każdym razie w kimś słodkim, uprzejmym i anonimowym, w kimś, kto patrzyłby na Mercy Rose Sullivan i widział gwiazdy lśniące w jej włosach. Ucieczka przed Tuckerem Healyem w ramiona kogoś takiego jak Sam Christie była jak skok z patelni do wrzącego wulkanu,

A Mercy była taka prostoduszna. Czy pragnienie poznania mężczyzny, którego wizerunek nigdy nie znalazł się na okładkach magazynów, to zbyt wygórowane żądanie? Czy tak trudno trafić na łysiejącego pana z brzuszkiem? *Gdzie są, do jasnej cholery, ci wszyscy stroiciele pianin?!*

Gdy usłyszała za sobą poirytowane nikięcie Sama, zorientowała się, że ostatnie słowa wypowiedziała na głos.

- Co masz na myśli, mówiąc o tych wszystkich stroicielach pianin? Stanowczo jesteś bardzo dziwną dziewczyną. Czy nie moglibyśmy iść trochę wolniej?

Spojrzała za siebie i przyspieszyła kroku.

- Nie chodź za mną. Idź sobie. Sio.
- Sio?

Nie uszło jej uwagi rozbawienie w głosie Sama i rozgniewało ją to jeszcze bardziej.

- Nie mam czasu. Muszę wracać do pracy. Podbiegł kilka kroków i zrównał się z nią.

- Ja też, jak chyba pamiętasz? Mam pracę tak samo jak ty. Muszę płacić rachunki, podatki i starać się, aby moi pracodawcy byli zadowoleni. Zupełnie tak samo jak ty.

- Rozumiem. Jesteś zwyczajnym facetem, który śpieszy się do pracy. W porządku.

Sam starał się wziąć ją za rękę, ale mu ją wyrwała. Westchnął ciężko.

- Nie chcesz mi tego ułatwić, prawda?
- Ależ chcę. Moim zadaniem jest dopilnowanie, aby wszystko podczas sesji poszło gładko. Jestem w tym bardzo dobra.
- Nie mówiłem o sesji i dobrze o tym wiesz. - Wszedł za nią na schody prowadzące do studia i delikatnie usunął jej rękę z klamki, którą właśnie zamierzała otworzyć. - Jestem również dżentelmenem - powiedział, otwierając drzwi i usuwając się, aby zrobić Mercy przejście. - Trochę staromodny ze mnie facet.

Mercy zamarła w bezruchu na progu, gapiąc się na tłumek, który zebrał się na korytarzu. Tommy, Judith, cała ekipa garderoby łącznie ze stróżem. Wszyscy mieli na twarzach ten sam wyraz ogłupiałego zaciekawienia.

- Pan Christie potrzebował trochę świeżego powietrza - wymamrotała Mercy. - Już jesteśmy z powrotem.

- Rozumiem - powiedział Tommy tonem, który wskazywał, że w istocie nic nie rozumiał. - No cóż, w takim razie... Czas to pieniądz, więc może zaczniemy, panie Christie?

- Oczywiście, jak tylko porozmawiam minutę sam na sam z Mercy. - Sam chwycił Mercy za tył koszuli i spojrzał na Tommy'ego ponad jej ramieniem. - Jeszcze nie skończyliśmy pogawędki. Mam nadzieję, że nie macie nic przeciwko temu?

Wszyscy spojrzeli na Tommy'ego. Po chwili wahania Tommy przyoblekł twarz w pełen zrozumienia uśmiech.

- Oczywiście, że nie mamy nic przeciwko. Poczekamy na was w studio.

Podczas gdy pokój się opróżniał, Sam mocno trzymał ramiona Mercy. Skoro tylko zostali sami, dziewczyna oswobodziła się z uścisku i obróciła w stronę mężczyzny pałające gniewem oczy.

- Przez ciebie mnie wyleją! Czy tego właśnie chcesz?  
- Oczywiście, że nie. To byłoby zbyt okrutne.  
- A więc zostaw mnie w spokoju. Uśmiechnął się.  
- Nie. Nie zostawię cię w spokoju. Chcę cię zaprosić dziś wieczorem na kolację.

- Absolutnie nie.  
- Wpadnę po ciebie o siódmej.

Uniosła dumnie brodę, a jej wargi ściągnęły się złowieszczo.

- Możesz spróbować.

Temu już nie mógł się oprzeć. Wycisnął na jej ustach mocny, głośny pocałunek.

- Kocham wyzwania. Wracajmy do pracy, maleńka. Słyszałaś, co powiedział Tommy: czas to pieniądz. Możemy porozmawiać później.

- Szybki jesteś. - Słowa wydobywały się ze świstem pomiędzy jej ust w kształcie serca.

- Wiem o tym. - Posłał jej jeden ze swoich pirackich uśmiechów. - Do diabła, ależ jesteś cięta.

Mercy patrzyła na niego w oszołomieniu, gdy odwracał się i odchodził. Gapiła się z idiotycznym wyrazem twarzy na drzwi prowadzące do studia jeszcze długo po tym, jak Sam zniknął za nimi. Poczula dokuczliwy ból w tyle głowy.

Zanosilo się na ciężki dzień...

## **ROZDZIAŁ 5**

- O, mój Boże... czy widziałaś... kiedyś... jego... no cóż... ja nigdy... ale chciałabym.

Judith dostała jakiegoś dziwnego ataku. Mercy prawie bezwiednie poklepała ją po plecach, nie odrywając oczu od rozgrywającej się w studiu i przykuwającej uwagę wszystkich sceny. W atelier ustawiono zestaw sypialny; nastrojowy pokój w czarno-białej tonacji, utrzymany w artystycznym nieładzie, sugerującym, że zamieszkujący ten lokal mężczyzna jest typowym przypadkiem „beznadziejnego kawalera”. Sam leżał wyciągnięty na łóżku, mając na sobie jedynie elastyczne dżinsy i pełen zadumy uśmiech. Stopy miał bose, a ręce leniwie wyciągnięte nad głowę i zaciśnięte na poręczy. Na stojącym przy łóżku stoliku paliła się samotna świeca, podkreślając złocisty odcień skóry Sama.

- Zamyśl się- polecił Tommy, pstrykając jednocześnie zdjęcie nikonem. - Zamyśl się jak diabli. O to chodzi... dobrze. Bardzo dobrze.

- On się rzeczywiście zamyślił - szepnęła ochryple Judith, wbijając palce w ramiona Mercy. - Nigdy, nigdy dotąd nie widziałam człowieka o tak silnej osobowości. Jak ja spojrzę dziś w



oczy biednemu Ralfowi, po tym pożądlwym wlepianiu wzroku w innego mężczyznę? Tak się za siebie wstydzę.

Mercy zeszywniała, lecz zwalczyła w sobie chęć zasłonięcia ręką oczu Judith. Doprawdy, była godna pożałowania z tą zdumiewającą mieszanką zazdrości, niechęci i bezradności. Podniecenie i zaferowanie Judith jeszcze komplikowało całą sytuację.

- Może powinnaś zejść na dół - powiedziała, zdobywając się na leciutki uśmiech.

- Nie. Aż tak nie jestem zawstydzona. - Judith ściągnęła wargi i gwizdnęła bezgłośnie. - Oto mężczyzna doskonały. Ralf też miał taki płaski brzuch w osiemdziesiątym szóstym roku, o ile dobrze pamiętam. No cóż, nieważne, gdzie się nabiera apetytu. Ważne, że sieje w domu. Mercy, kochanie, Czy nie możesz mi powiedzieć, co zaszło między tobą a najseksowniejszym mężczyzną na świecie? To niezbyt uprzejme z twojej strony, tak mnie pozostawić w niepewności.

- Już ci wszystko wyjaśniłam. - Mercy szarpała nerwowo palcami brzeg koszuli. Ogarnęła ją nagle fala gorąca.

-Mieszkamy w tym samym bloku. Spotkaliśmy się w windzie kilka dni temu. Prawie go nie znam, Judith. - Mercy milczała przez chwilę, po czym dodała gwałtownie: - Czy nie myślisz, że Tommy robi te reklamy trochę zbyt sugestywnie? W końcu nie robimy zdjęć do „świerszcyków”.

- Zgorzkniała istota - powiedziała Judith surowo - kobietom nie zaszkodzi odrobina nieszkodliwych marzeń. Nie wszystkie mamy takie szczęście jak ty, która nie musisz ograniczać się do bujania na skrzydłach fantazji.

- Już ci powiedziałam. Sam i ja jesteśmy tylko....

- Przyjaciółmi. Wiem. Patrz, odwrócił się w naszą stronę.

Ach, z jakim wdziękiem przytula się do tej poduszki. -Judith westchnęła i wyciągnęła szyję, aby mieć lepszy widok. -'W porządku, Mercy. Nie będę cię już wypytywać. Myślę, że gdybym była na twoim miejscu, też chciałabym zachować tajemnicę. Mając romans z takim człowiekiem jak Sam Christie, musisz się mieć na baczności przed wszystkimi pełnokrwistymi kobietami Ameryki, które tylko czyhają na to, aby zająć twoje miejsce.

- Mercy, włącz jakąś nastrojową muzykę - zawołał Tommy, po czym, trochę poniewczasie, dodał: - gdybyś mogła być tak miła.

Tommy nie miał pojęcia, jak to się stało, że jego skromna asystentka zna Sama Christie, ale wolał nie ryzykować. Użył magicznego słowa „proszę” jeszcze kilkakrotnie, wydając Mercy jakieś polecenie, i za każdym razem zerkał na Sama, aby zobaczyć jego reakcję. Sam jednak także był zawodowcem i nie zdradzał swoich uczuć, a Mercy ciągle jeszcze była zszokowana i zakłopotana. Ludzie śledzący rozwój wydarzeń w studiu również umieli zachować swoje spostrzeżenia dla siebie, chociaż co chwila spoglądali na Mercy, łamiąc sobie głowę od domysłów.

Mercy podeszła do stereofonicznego magnetofonu i trzęsącymi się rękoma włożyła kasetę. Kilka sekund później z głośników popłynęły aksamitne dźwięki jazzu. „Muzyka sprzyja zadumie - pomyślała Mercy - ale ciekawe, jak długo jeszcze będę mogła rozmyślać, zanim wysiądzie mi serce”. Oddech miała urywany, skórę rozpaloną. Czowała się tak, jak gdyby złapała grypcę. W ustach sucho, w żołądku ją skręcało.

Spojrzała na Sama i spostrzegła, że on też na nią patrzył. Jasne włosy unosiły się wokół jego głowy niczym aureola złotego światła. Uśmiechnął się blado, ale za to tylko do niej. W jego rysach było coś przykuwającego uwagę, ale określenie, co to takiego, ciągle jej się wymykało. Nie była to wyjątkowo przystojna twarz, lecz promieniowała z niej jakaś subtelna, urzekająca czułość. Mercy zrozumiała, dlaczego damskie serca zaczynały bić szybciej, gdy ich właścicielki zastanawiały się, jakie myśli kryją się za tym słodkim, chłopięcym uśmiechem i stałowoniebieskimi oczyma. Pełna słodyczy twarz w połączeniu z atletycznym, smukłym i pełnym wdzięku ciałem tworzyła mieszanekę piorunującą.

Mercy z wysiłkiem oderwała wzrok od Sama i podeszła do Judith, po czym oparła się ciężko plecami o zdobioną sztukaterią ścianę. W jej duszy kłębiły się niepokój i tęsknota, z przeszywającym bólem rozchodzącym się na całe ciało. Zastanawiała się, ile z tych przeżyć uzewnętrznia się na jej twarzy. Judith nawijała coś o palpacji serca beztróskim i drażniącym tonem, a Mercy bezskutecznie starała się zmusić swoje ciało do zarzucenia bolesnych tęsknot. Wypełniające ją uczucia były jednak zbyt potężne; rozprzestrzeniały się wraz z krwią niczym narkotyk. Entuzjastyczny zachwyty Judith stawał się nie do zniesienia, Mercy marzyła, aby zniknąć z powierzchni ziemi. Była bliska łez.

- Jak myślisz, ile czasu to jeszcze zajmie? - spytała nagle łamiącym się głosem.

Judith westchnęła, uśmiechnęła się szeroko i potrząsnęła głową.

- Nie mam pojęcia. Mam nadzieję, że cały dzień, całą noc i cały jutrzejszy dzień...

Mercy szybko zamknęła oczy, a z gardła wydobyło jej się coś na kształt kwilenia niemowlęcia. Nie mogła już tego znieść. Czowała się fatalnie. Odważyła się jeszcze raz spojrzeć na mężczyznę doskonałego i ich spojrzenia znów się skrzyżowały. Wzrok Sama jak zawsze był bardzo poważny. Wiedział. Wiedział o wszystkim, co myślała i co czuła.

Tommy poprosił Sama, żeby przekreślił się na drugi bok i ciche porozumienie zostało zerwane. Mercy odetchnęła głęboko po raz pierwszy od wielu godzin. Przynajmniej tak jej się wydawało.

Odwróciła się gwałtownie do Judith.

- Myślę, że muszę dziś wcześniej wrócić do domu. Nie czuję się zbyt dobrze.

Wyraz twarzy Judith natychmiast zmienił, się z rozmarzonego na naprawdę zaniepokojony.

- Czy wszystko w porządku? Może cię odwieźć do domu?

- Dziękuję, wezmę taksówkę. Usprawiedliwisz mnie przed Tommym, kiedy skończy sesję, dobrze?

Judith kiwnęła współczująco głową.

- Oczywiście. Musisz się czuć okropnie, skoro masz zamiar dobrowolnie opuścić to studio. Czy jesteś pewna, że nic dla ciebie me mogę zrobić?

- Naprawdę, dziękuję. Zobaczymy się jutro.- Mercy zaczęła się dyskretnie przesuwac ku drzwiom. Nagle Sam uniósł głowę. Jego szósty zmysł musiał być cały czas nastawiony na obser-

wowanie Mercy, bo wiedział o każdym jej ruchu w tym, samym momencie, w którym go wykonywała.

- Mercy?

Wszystkie głowy zwróciły się w jej kierunku. Mercy przełknęła z trudem ślinę, czując, że nadchodzi atak czkawki.

- Tak, panie Christie?

- Wygląda pani blado, panno Sullivan. Czy wszystko w porządku?

Mercy skierowała swoją odpowiedź do Tommy'ego.

- Rzeczywiście, nie czuję się zbyt dobrze. Czy mogłabym dziś pójść wcześniej do domu?

- Ależ oczywiście - odparł Tommy niemalże z ulgą. - Weź sobie dzień wolny, proszę. Jestem pewien, że damy sobie bez ciebie radę przez tych kilka godzin.

- Mam nadzieję, że do wieczora poczuje się pani lepiej - wtrącił z niewinną miną Sam. Mercy wytrzymała jego spojrzenie.

- Raczej nie. Uśmiechnął się.

- Trochę optymizmu. Może... o siódmej? Myślę, że o, tej porze wszystko już będzie w porządku.

- Nie - ucięła Mercy. - O siódmej będę jeszcze chora, Nie może pan na to liczyć.

- Więc chyba będę musiał panią wyleczyć, czyż nie? - powiedział Sam cicho.

Judith się zakrztusiła. Mercy klepnęła ją kilka razy niezbyt delikatnie w plecy, aż w końcu przyjaciółka odzyskała oddech. Potem wzruszyła ramionami - nie wiadomo w którą stronę - i uciekła.

Czkawka pojawiła się dopiero, gdy Mercy jechała taksówką do domu.

O szóstej trzydzieści Mercy wzięła długi, gorący prysznic, ubrała się w znoszony, pikowany szlafrok, a mokre włosy zawinęła w turban z ręcznika. Nie miała na twarzy śladu makijażu i nie pachniała niczym bardziej powabnym niż mydło. Nawet najbardziej niedomyślny mężczyzna zauważyłby, że ta kobieta nie ma zamiaru nigdzie wychodzić wieczorem.

Chodziła po pokoju, obserwując zegar stojący na kominku. Była zbyt zdenerwowana, aby siedzieć spokojnie. Ciągłe jeszcze zmieszana, pomyślała ze smutkiem, że zazwyczaj to, co się zaczyna wspaniale, kiepsko się kończy.

Sam zapukał delikatnie do drzwi za dziesięć siódma.

Gdyby Mercy mieszkała na pierwszym, a nie na czwartym piętrze, zupełnie możliwe, że wyskoczyłaby przez okno i uciekła. Jednak skoro rzeczy się miały tak, jak miały, mogła tylko zacisnąć pasek paskudnego szlafroka i otworzyć drzwi.

Jeżeli Sam był zaskoczony jej wyglądem, to nie pokazał tego po sobie. Uśmiechnął się słodko i Wręczył Mercy olbrzymią bombonierkę w kształcie serca.

- Chyba jestem trochę za wcześnie - oznajmił i pocałował ją w policzek.

Zanim zdołała zaprotestować, już wszedł do mieszkania, ściągnął skózaną lotniczą kurtkę i rzucił ją na oparcie krzesła. Ubrany był w kremowy sweter i brązowe spodnie. Sądząc po ich wyglądzie, osobiście je prasował. Włosy rozczochrane, na

brodzie ślad po zacięciu żyłką. Pachniał wodą Old Spice, Ani śladu sławnego Wiecznego Buntownika.

„Nieźle przebranie” pomyślała Mercy, poprawiając zsuwający się turban. Nie krępujący, zwyczajny, nieszkodliwy facet.... lecz ona już coś wiedziała na ten temat.

- Rozgość się, proszę - powiedziała z ironią, gdy Sam rozsiadł się wygodnie na sofie.

- Dziękuję - filuterne błyski pojawiły mu się w oczach. -Przepraszam, że jestem wcześniej, ale zmęczyło mnie już czekanie na korytarzu..

Mercy wytrzeszczyła oczy.

- Co to znaczy, że zmęczyło cię czekanie na korytarzu?  
- Obawiałem się, że zechcesz uciec. Wiesz, masz ku temu pewne skłonności. Włoczyłem się koło twoich drzwi od szóstej.  
- Położył ręce na kolanach i przybrał skruszony wyraz twarzy. - Nie ufalem ci. Wstydę się teraz i strasznie mi przykro.

Mercy wzięła głęboki oddech, przyciskając czekoladki do piersi.

- Nie zamierzałam cię dziś unikać. Sam uśmiechnął się radośnie.

- To miło.

- Ale też nie miałam zamiaru nigdzie z tobą iść. Na twarzy Sama zagościł smutek.

- Przez moment myślałem, że pójdzie łatwo. Usiądź przy mnie, Mercy. Zbadamy twoją skomplikowaną osobowość.

Instynkt samozachowawczy Mercy odezwał się, zaalarmowany.

- Absolutnie nie. Już się zdecydowałam. Sam, moja podświadomość ujawnia się zbyt często ostatnimi czasy... -Na tychmiast zdała sobie sprawę, że popełniła błąd. - Już się zdecydowałam- zakończyła niezręcznie.

- Rozumiem. - Przyglądał jej się jasnymi, niebieskimi oczyma. - Mercy Sullivan, jesteś tchórzem.

- Wcale się nie boję - zaperzyła się Mercy, odrzucając do tyłu głowę. Turban zsunął się na podłogę. - Jestem realistką. Jestem przewidująca. Znam siebie i znam takich jak ty.

- Takich jak ja - mruknął Sam, patrząc się na Mercy i pocierając z namysłem podbródek. - Ciekawe, co to znaczy. Nie wiedziałem, że w ogóle istnieją tacy jak ja. Bo ja nigdy nie spotkałem takiej jak ty. Zawsze uważałem, że każdy człowiek to indywidualność i że sądząc go, należy o tym pamiętać.

Mokre włosy zsunęły się Mercy na oczy. Odgarnęła je dłonią, błagając jednocześnie w duchu Sama, aby zdjął z niej skupione, jasne spojrzenie i przeniósł je na jakiś inny obiekt.

- Ja zaś zawsze uważałam, że powinniśmy uczyć się na własnych błędach i starać się ich nie powtarzać.

Sam zaczął stroić miny.

- Znowu wyczuwam ducha Tuckera, krążącego w pobliżu. - Wstał i rozejrzał się po pokoju niespokojnie, po czym powoli podszedł do okna. Zarys szerokich męskich ramion na tle ognistocie zachodzącego słońca wyglądał bardzo dramatycznie. Po chwili milczenia, która wydała się Mercy wiecznością, odwrócił się, napotkał jej wzrok i powiedział cicho: - Chcę być z tobą. Czy ty też tego pragniesz?



„Nie rób tego - błagała go w myśli Mercy. - Dlaczego jesteś taki słodki, rozbijający i seksowny i sprawiasz, że zapominam o wszystkich powodach, dla których powinnam ci odmówić.”

- Przepraszam - szepnęła. - To jest zbyt skomplikowane. Zaczekawiony Sam uniósł głowę,

- Dlaczego?. Czy to jest coś konkretnego i logicznego, czy też znowu mamy do czynienia z przesadą typu „nie mogę się z tobą spotykać, bo pozujesz do zdjęć w samej bieliźnie”?

Mówił to cicho i ironicznie, lecz Mercy usłyszała w jego głosie jakiś niepokój. Lekko tym zaszokowana zdała sobie sprawę, że jest w stanie zranić tego pięknego, seksownego i pewnego siebie mężczyznę, który ma u swych stóp cały świat. Odkrycie, że słabym punktem Sama jest Mercy Rose Sullivan, zdumiało ją i wzruszyło.

Nie chciała go zranić. Z drugiej jednak strony nie chciała sama zostać zraniona. Zakłopotana i rozdarta wewnątrz, stała i wlepiała w Sama wzrok, bezradna wobec tańczących w jego oczach błysków światła.

- Jestem zupełnie nieszkodliwy - powiedział przymilnie. - Jestem słodkim chłopcem z prowincji, który chce tylko zaprosić piękną damę na smaczną kolację,

Mercy prawie się uśmiechnęła.

- Sam Christie, słodki chłopiec z prowincji?

- Zgadza się. Zwykły hodowca ziemniaków. Chciałbym panience pokazać, na czym polega staroświecka gościnność Dziekiego Zachodu. Czy mógłbym ewentualnie zaprosić panienkę na kolację?

Resztki stanowczości Mercy pierzchły niczym spłoszone ptaki.

- Nie zamierzasz zrezygnować, prawda? - spytała, udając irytację, chociaż wszystko w jej duszy skakało i krzyczało z radości.

- Chyba nie - odparł Sam. - A przynajmniej nie w tym życiu.

Postąpił krok w jej stronę. Instynktownie Mercy się cofnęła. Wszystko rozgrywało się tak szybko. Wiedziała jednak, że nie będzie miała siły, aby się oprzeć.

- To chyba ma coś wspólnego z chemią - powiedziała słabo. - To coś między nami. Jakaś chemiczna reakcja...

Sam kiwnął głową potwierdzająco, mrugając błękitnymi oczyma.

- Tak, tak. Poza tym w drodze na kolację mogą nas porwać gigantyczni purpurowi ludożercy. Ubierz się szybko, moja miła. Jestem wygłodniały.

Ostatnie słowo wypowiedział ochryple i położył na nie szczególny nacisk, Mercy postanowiła to zignorować. Rzuciła jeszcze jedno zakłopotane spojrzenie i wyszła z pokoju.

Susząc włosy, zastanawiała się nad odpowiednim strojem na randkę z najprzystojniejszym hodowcą ziemniaków na świecie. Przekopła szafę i prawie już była zdecydowana na zabójczą małą czarną, odsłaniającą wszystko oprócz pępka, gdy naszła ją nieodparta ochota na splatanie niewinnego figła. Zdecydowała, że zabójczy Wygląd nie pasuje na wieczór, który miał być demonstracją staroświeckiej gościnności. Wydobyła z szafy najstarsze dżinsy i obcisłą koszulę z ozdobionym koronką karcz-

kiem, którą miała na sobie, gdy w szkole średniej wystawiali sztukę o pierwszych osadnikach na Dzikim Zachodzie. Całości dopełniły jaskrawoczerwone buty z szykownymi chwościkami u boków. Teraz była odpowiednią partnerką dla słodkiego chłopca z prowincji.

Kiedy weszła do pokoju, Sam stał przy oknie. Odchrząknęła cicho i gdy już spojrzał na nią, kołysząc się na piętach, powiedziała:

- Sie masz. Gotów do wyjścia? Zawahał się, najwyraźniej zaskoczony.

- Wyglądasz jak jakaś piosenkarka country - powiedział ochryple, obejmując wzrokiem łagodny zarys jej bioder.

Mercy posłała mu łobuzerski uśmiech i poprawiła ciemne włosy.

- Stwierdziłam, że to ci się spodoba. Ty też nie lubisz się zbyt odstawiać.

Sam uśmiechnął się, patrząc na swoje eleganckie mokasyny.

- No... tak. Po prostu dzisiaj chciałem spróbować czegoś nowego: Ale podsunęłaś mi pewien pomysł. Teraz już wiem, gdzie pójdziemy na kolację.

Mercy spojrzała nań podejrzliwie. Przed oczyma duszy galopowały jej obrazy różnych spelunek.

- Tak? Gdzie?

- Na zachodzie panuje patriarchat. Ja decyduję, a ty musisz się dostosować. Chodźmy już. Marnujemy tylko czas.

Dotknął jej, dopiero gdy siedzieli bezpiecznie w dżipie. Przedtem nie odważył się; zmysły miał rozbudzone, pot wy-

stąpił mu na czoło. Co chwila przebiegały przez jego ciało wywołane przez jakiś potężny bodziec dreszcze pożądania. Jednocześnie czuł w sobie dziwny spokój, który w niesamowity sposób współgrał z ogarniającym go zdenerwowaniem. Było to najbardziej pełne uczucie, jakiego doznał w życiu.

Ale skoro tylko zapięli pasy i ruszyli z piskiem opon po autostradzie z prędkością stu dwudziestu kilometrów na godzinę, zdecydował się wziąć Mercy za rękę.

Trzymanie się za rękę. Nigdy nie uważał, że ta czynność ma cokolwiek wspólnego z seksem, lecz czując na sobie spojrzenie błyszczących jak gwiazdy oczu ocienionych długimi rzęsami i słysząc słodki, zmysłowy głos działający nań niczym erotyczna kołysanka, uznał, że trzymanie się za rękę to coś nadzwyczajnego. Oplótł palcami dłoń Mercy i delikatnie głąskał ją kciukiem. Czcił ją. Hipnotyzował. Palce Mercy zaczęły drżeć i z wolna ścisnęły dłoń Sama. Odwzajemnił uścisk. Poczul, jak ciepło jej ręki promieniuje mu w górę ramienia i roztapia napięcie mięśni barku. Jeśli lekkie dotknięcie dłoni czyniło takie cuda, to co się stanie jeśli oni... kiedy oni...

- Och, Mercy,

„Trzymanie się za rękę” - pomyślała Mercy. Od tak dawna żaden mężczyzna nie trzymał jej ręki. Tucker popychał ją, trzymając dłoń na jej ramieniu, prowadził za łokieć lub ciągnął, ściskając jej nadgarstek. T o było coś zupełnie innego. Słodki, prosty gest oznaczający równość, nie dominację; obustronną przyjemność; dający przedsmak siły dotyku Sama. Ręka Mercy zdawała się żyć własnym życiem; rozgrzana, drżąca, pulsująca, wrażliwa. Mercy zamknęła oczy, skupiając się na ogarniającej ją

fali uczucia. Byłaby szczęśliwa, gdyby mogli tak jechać wiecznie, trzymając się po prostu za ręce.

Ale z ciebie kłamczucha, drażnił się z nią jakiś wewnętrzny głos. Chcesz więcej. O wiele więcej...

Sam zabrał ją do Gospody pod Zachodzącym Słońcem, sympatycznej knajpki w stylu Dzikiego Zachodu, znajdującej się w centrum miasta, z orkiestrą i prawdziwym dębowym parkietem. Wszyscy mężczyźni - za wyjątkiem Sama - nosili tu kowbojskie buty i wielkie srebrne sprzączki u pasków. Kobiety były ubrane podobnie do Mercy, co sprawiło, że ta ostatnia poczuła się jak w domu - aż do chwili, w której zobaczyła menu.

- Nie mam pojęcia, jak wyglądają te wszystkie dania - przyznała się w końcu. - Preriowe ostrygi. Nigdy nie słyszałam o preriowych ostrygach. Co to jest?

Uśmiech Sama wyrażał czystą niewinność.

- Zamów je, to się dowiesz. Żyj ryzykownie.

- Mam szczerzy zamiar żyć ryzykownie - powiedziała Mercy - ale nie mam ochoty jeść ryzykownie. Co to jest?.

Sam sprawdził w swojej karcie.

- Tu jest napisane, że jeśli musisz o to pytać, to lepiej nie zamawiaj.

- Sam?

- No dobrze, skoro chcesz wiedzieć... - Położył kartę na stole i spojrzał na Mercy. - No cóż, nie można powiedzieć delikatnie. Preriowe ostrygi to jest... najlepsza część byka.

Mercy załapała dopiero po chwili.

- Chyba żartujesz. To niesmaczne. Wezmę gulasz z fasolką. Przynajmniej wiem, co to jest.

Sam uniósł niedowierzająco jedną brew.

- Jesteś pewna? Tu wszystko oznacza coś trochę innego, kochanie.

Mercy zamówiła filet z kurczaka z chilli i ziemniaki z żółtym serem, Sam żeberka z fasolką. W miarę jak posiłek się przedłużał, rozmowy stawały się coraz rzadsze, a spojrzenia coraz bardziej powłóczyście. Mercy czuła, że jej zmysły są nieco przeładowane. Na ramionach pojawiła się gęsia skórka, oddech stał się płytki. Gdy podano deser, nie mogli już oderwać wzroku od siebie.

Sam pierwszy odsunął talerz, wstał i podał Mercy rękę.

- Zatańcz ze mną - poprosił zmysłowym głosem. Chciał ją mieć przy sobie teraz. Nie był rozerotyżowanym nastolatkiem, więc romansowanie w dziapie odpadało; pozostał taniec.

Mercy podreptała za Samem w stronę zatłoczonego parkietu i osunęła się w ramiona swojego partnera. Przycisnął ją mocno do siebie i oparł lekko podbródek na czubku jej głowy. Ku zadowoleniu Mercy, zbyt wzburzonej, aby zwracać uwagę na przebieganie nogami, orkiestra grała powolną balladę country. Mercy i tak musiała się troszczyć o zbyt wiele części swego ciała. Gdy kołysali się niemal niedostrzegalnie, zdawało jej się, że głosy dookoła cichną, muzyka i ludzie się oddalają. Byli sami. Mercy powoli przymknęła oczy. Gdy Sam przycisnął wargi do jej szyi, przebiegł ją nagły dreszcz. Nie słyszała muzyki. Powoli zwalniali krok, aż w końcu już się tylko obejmowali, nie tańczyli. Odwróciła głowę i przywarła ustami do pulsującej żyły u nasady

szy Sama. Zgłębi piersi wyrwał mu się jęk; osunął ręce na jej pośladki. Mercy przytuliła się doń niczym senny kociak garnący się do ciepła, przywierając udami do jego ud. Było jej tak dobrze blisko Sama. A jak by się czuła, złączywszy się z nim w jedno?

Żadne z nich nie usłyszało, że muzyka się urwała. Nadal trwali przytuleni do siebie; aż w końcu czyjaś dłoń nalegająco dotknęła ramienia Sama. Chichocząca kobieta z szopą żółtych włosów świeżo po trwałej prosiła o autograf.

Sam zacisnął zęby tak mocno, że mógłby skruszyć każdą plombę, lecz zaprodukował uroczy uśmiech i podpisał się na wręczonej mu serwetce. Po upływie kilku sekund był otoczony przez fanów. Dowcipkował, uśmiechał się i rozdawał autografy, a gdy muzyka rozbrzmiała znowu, stwierdził, że znajduje się w ramionach kobiety w średnim wieku, noszącej kowbojski kapelusz i olbrzymi indyjski naszyjnik z turkusów na koszuli w kratę. Potańczył z nią przez chwilę i już miał wymyślić jakąś wymówkę i wrócić do Mercy, gdy pojawiła się inna kobieta. Była nieco młodsza niż jego pierwszą partnerka. Oczy wymalowane miała niczym Kleopatra, głęboko wycięta prosta bluzką ledwo mieściła jej obfite kształty. Sam, chociaż usilnie się starał, nie znalazł bezpiecznego sposobu na trzymanie nowej tancerki w ramionach. Postanowił nie szukać go dalej.

- Przepraszam - powiedział. - Bardzo chciałbym potańczyć, ale zaniedbuję randkę. Innym razem.

- Jestem wolna przez cały wieczór - zaoferowała Kleopatra zmysłowym głosem. - I przez całą noc. Bardzo chciałabym się

dowiedzieć, czy rzeczywiście żyjesz tak, jak głosi opinia, Samie Christie.

Zazwyczaj Sam radził sobie z takimi sytuacjami z łatwością zrodzoną przez doświadczenie; wiedział, kiedy należy zejść ze sceny, kiedy zacząć trzymać się na dystans. Tego jednak wieczoru rozpraszała go ciemnooka brunetka z oczyma jak sztylety, siedząca przy stoliku oddalonym o pięć metrów. Ujrzał z zamartwym sercem, jak Mercy wstaje i zaczyna iść w jego kierunku.

- Niedobrze - mruknął i strząsnął rękę Kleopatry ze swojego ramienia.

Ale natrętna kobieta uniosła się na palcach i szepnęła mu prosto do ucha:

- Jestem Barbara. Dam ci mój numer telefonu. Możesz dzwonić do mnie w dzień i w nocy. Obiecuję, że nie będziesz żałował, Samie Christie.

- Ale ty będziesz żałował - odezwała się zniecierpliwiona Mercy. - Jeżeli się zaraz nie wyniesiesz, to będziesz tego żałował.

Sam patrzył to na drobną figurkę Mercy, to na Barbarę o kształtach Amazonki, aż w końcu podniósł wzrok do nieba.

- Mercy, właśnie miałem do ciebie wrócić. To jest Barbara. Barbaro, to jest Mercy. No cóż, robi się późno. Powinniśmy już się zbierać.

Barbara prychnęła, z jej twarzy nieomylnie można było odczytać wrogość.

- No tak. Nigdy nie mogłam zrozumieć, co mężczyźni widzą w takich małych chudzielcach,



- Za to jest oczywiste, co mężczyźni widzą w tobie - odcięła się Mercy z niewinną miną, przyglądając się ostentacyjnie piersiom Barbary.

- Czas na nas - wtrącił się szybko Sam, kładąc dłoń na ramieniu Mercy. - Nie mamy chwili do stracenia.

Mercy straciła jego rękę, nie dając się zbić z tropu. Z jaką łatwością ta impertynencka kobieta czyniła niedwuznaczne propozycje jej mężczyźnie! Tak, jej mężczyźnie. Jeżeli dotychczas nie zdawała sobie z tego sprawy, teraz już nie miała żadnych wątpliwości. Owładnął ją niemalże zwierzęcy instynkt, nakazujący bronić swojego, terytorium. Było to coś zupełnie nowego i dotąd nieznanego delikatnej Mercy Rose. Co prawda nie wątpiła, że Sam może dać sobie radę bez pomocy z zewnątrz, lecz nie miało to żadnego znaczenia. Ta sprawa musiała być załatwiona między dwiema kobietami.

- Coś ci powiem, Basieńko - powiedziała słodko Mercy. - Ten mężczyzna nie jest zainteresowany.

Barbara roześmiała się ostro i piskliwie.

- Maleńka, musisz się jeszcze sporo nauczyć. Mężczyźni zawsze są zainteresowani.

Wokoło zebrał się już spory tłumek. Ktoś wycelował fleszem w twarz Sama, aż ten zaklął cicho, mrużąc oczy przed światłem,

- Mercy, myślę, że nie jesteśmy tu mile widziani.

- Ależ skąd - szepnęła zmysłowo Barbara, ujmując Sama pod brodę i obserwując Mercy kątem oka. - Pokazuj się tu częściej, Samie Christie, a dowiesz się, jak wygląda prawdziwie

ciepłe powitanie. Mogę się założyć, że ta maleńka panna Mercy jest strasznie oziębła.

Mercy nie mogła się powstrzymać. Po raz pierwszy w życiu została sprowokowana do użycia przemocy. Zamachnęła się ręką, aby uderzyć przeciwniczkę w twarz, lecz Sam chwycił ją mocno za nadgarstek.

- Dosyć - powiedział. - Idziemy do domu, złośnico.

- Barbarze się to należało - zawołała jakaś kobieta z poruszonego tłumu. - Sama bym ją chętnie walnęła.

- Dopuszczcie je do siebie - odezwał się inny głos. - Nie ma lepszej rozrywki niż porządny babski boks. Stawiam na tę małą.

Właściciel pośpiesznie dał znak orkiestrze. Rozbrzmiała muzyka. Mercy z zalem pozwoliła Samowi odciągnąć się od Barbary. Zrobiła dwa kroki i krzyknęła z bólu. Ktoś mocno pociągnął ją za włosy.

Odwróciła się szybko. Policzki jej pałały. Barbara uśmiechała się złośliwie.

- Ty wiedźmo - wrzasnęła Mercy, wrywając się w jej kierunku z szaleństwem w głębokich, brązowych oczach.

Sam wskoczył pomiędzy nie i złapał Mercy obiema rękami.

- Kochanie, spójrz na to racjonalnie. Ty jesteś mała, a ona duża. To nie są właściwe proporcje. Chodźmy stąd.

- Pociągnęła mnie za włosy. - Mercy bezskutecznie starała się wyrwać. Uśmiechnięty kowboj z olbrzymimi wąsami trzymał za ramiona Barbarę wyciągającą pazury w stronę Mercy.

Nagle Sam usłyszał brzęk tłuczonego szkła. Jęknął, widząc jak butelka po piwie zatacza łuk w powietrzu. W ciągu burzliwych pierwszych lat swojej kariery nabył trochę doświadczenia,

jeżeli chodzi o bijatyki w barach, i wiedział, że sytuacja wymyka się spod kontroli. Rzucone krzesło roztrzaskało się o podłogę, ktoś wywrócił stół i wkrótce całą salę opanowała żądza walki.

Nie było czasu do stracenia. Barbara przedzierała się w stronę Mercy, Mercy pazurami walczyła o dostęp do Barbary, a Sam nie chciał, aby jego szczęściu ktoś wydrapał piękne oczęta.

Doskoczył szybko do Mercy, uniósł ją i umieścił sobie na ramieniu.

- Wychodzimy stąd, dziecino. .

- Co robisz?!-Czerwone buciki Mercy z furją wierzgały w powietrzu. - Postaw mnie na ziemi, do diabła! To ona zaczęła! Gdzie idziesz?!

- Ratuję twoją skórę - odparł Sam, uchylając się przed nadlatującym dzbankiem z wodą. - Przestań mnie kopać.

- Nie chcę, żebyś ratował moją skórę! Do diabła, ona mnie pociągnęła za włosy! Zostaw mnie w spokoju! Słyszysz?!

Sam roześmiał się. Zataczał się wprost ze śmiechu.

- Nigdy - wykrztusił w końcu, otwierając kopnięciem drzwi. - Po moim trupie.

## **ROZDZIAŁ 6**

- Czy wiesz, co się stało? Czy wiesz, co ja zrobiłam? Stałam się przyczyną niesmacznej, pijackiej burdy! Mała Mercy Rose Sullivan, która nigdy nie powiedziała nikomu złego słowa! Słodka Mercy Rose, zawsze starająca się żyć zgodnie z ustalonymi normami! Sam... ja chciałam zrobić krzywdę innej istocie! Wszczęłam rozróbę!

- To prawda, kochanie. - Sam wyciągnął rękę ponad skrzynią biegów i poklepał Mercy po udzie. - W dodatku ta paskudna, niegrzeczna Barbara była o wiele większa niż ty. Niech no się ktoś ośmieli powiedzieć, że nie jesteś bojowo usposobioną dziewczynką!

- Sam, ja mówię serio! - Mercy nie mogła uwierzyć, że jej towarzysz traktuje całe zajście z przymrużeniem oka. Przecież mogli ją zabić. Mogli zabić jego. Nigdy dotąd nie zetknęła się z ludźmi, którzy karczemną burdę uważali za najlepszą pod słońcem rozrywkę. Mercy wciąż jeszcze była roztrzęsiona. - Czy ty zdajesz sobie sprawę, co się stało?!

Sam wjechał na autostradę i zerknął w lusterko. Zobaczył zbliżające się z przeciwnej strony migoczące światłami policyjne wozy.

- Zdaję sobie sprawę. Prysnęliśmy w samą porę. Kompletnie załamana Mercy Opadła bezwładnie na siedzenie. Ze względu na jej klaustrofobię okna samochodu były lekko uchylone i wpadający przez nie wiatr przyjemnie chłodził rozpaloną skórę.

- To wszystko było takie zwierzęce.

- Nie uważasz, że jesteś dla siebie trochę za surowa? Nikogo nie uderzyłaś. Ja zresztą też nie, o ile sobie przypominam. Zważywszy okoliczności, i tak zachowaliśmy się jak ludzie cywilizowani.

- Chciałam powyrywać tej babie wszystkie włosy!

- Sądzę, że to uczucie było obopólne - zauważył Sam, wyprzedzając wolno jadący autobus. Poglądził dłonią ramię Mercy.

- Ona też nie darzyła cię sympatią.,

- Chyba nic nie rozumiesz. - Mercy obróciła głowę i spojrzała na niewzruszoną twarz Sama. Żółtą poświata nadawała tej twarzy niesamowity wygląd. - Zupełnie nie dostrzegasz, że to, co zrobiłam, było przerażające. Stosowałam przemoc. Zupełnie straciłam...

- Co straciłaś? - spytał Sam łagodnie.

- Straciłam... panowanie nad sobą - wyrzuciła z siebie w końcu, nie znalazłszy lepszego określenia. - Zawsze jestem opanowana. Nie uzewnętrzniam swoich uczuć tak gwałtownie.

Sam pokiwał głową w zamyśleniu. . - I jak się czułaś?

- Słucham?

Na ustach Sama pojawił się uśmiech.

- Jak się czułaś, tracąc panowanie nad sobą, dziecino.

Przez moment Mercy przyglądała mu się z uwagą. Obserwowała jasne, zwichrzone włosy, niemal srebrne w ciemności niebieskie oczy, rozbawiony grymas warg. „Jak się czułam?” - zapytała samą siebie.

Zdała sobie sprawę, że czuła się po prostu wspaniale.

Krew jej wrzała w żyłach, serce waliło młotem w piersi, a w jej duszy kłębiły się różnorodne uczucia. Poddała się ogarniającym ją instynktom. Nie przejmowała się, co o niej pomyśli Sam czy ktokolwiek inny w barze. Zobaczyła, że ta wiśniowooka potwora obłąpała Sama i zapalała świętym oburzeniem. Czuła się cholernie wspaniale.

- Nigdy dotąd tego nie robiłam - powiedziała zupełnie innym tonem. - Zawsze tak się przejmowałam tym, co czują inni, że zupełnie nie zwracałam uwagi na to, co ja odczuwam.

- Dzisiaj odczuwałaś zazdrość - powiedział Sam z zadowoleniem. - Chcę, żebyś wiedziała, że byłem wzruszony. Przerażony jak diabli, że rozbijają ci ten śliczny mały nosek, ale wzruszony.

- Zatrzymaj samochód - rozkazała Mercy nagle.

- Słucham?

- Zatrzymaj samochód, szybko.

Sam nie śmiał dyskutować z kobietą, którą właśnie nauczyła się czerpać przyjemność z walki wręcz. Skręcił w wąską osiedlową uliczkę i podjechał do krawężnika. Rozsiadł się wygodnie i spojrzął na Mercy.

- Zatrzymałem samochód, o Mercy Waleczna! I co teraz?!

- Teraz to - odparła Mercy.

Powodowana żądzą, rzuciła się na Sama, łącząc usta z jego ustami i oplatając ramionami jego szyję.

- T o - wyszeptała zmysłowo, ssąc żarliwie słodkie wargi.-To, to, to...

Sam został wzięty z zaskoczenia, lecz wkrótce przyszedł do siebie. Zetknął język z językiem Mercy. Ich napięte ciała żądały większej przestrzeni; Sam się napręzał, Mercy parła. Pasy bezpieczeństwa najpierw były niewygodą, potem przeszkodą, wreszcie torturą. Walczyli, aby być bliżej siebie; napięcie rosło, ręce się wyciągały, biodra dążyły do zetknięcia. Wiedzieli, że muszą przestać, zanim umrą z niezaspokojenia, lecz żadne z nich nie mogło. Sam rozpiął bluzkę Mercy. Drżącymi palcami sięgał do zapinki stanika, gdy dziewczyna szarpnęła się do tyłu, uderzając kolaniem w skrzynię biegów. Zmrużyła oczy, chroniąc je przed brzoskwiniowym światłem nadjeżdżającego samochodu.

- Nie tutaj - wyszeptały rozpalone, drżące wargi Mercy. Sam odchylił głowę, zamknął oczy i chwycił kierownicę tak mocno, że zbieleły mu kostki palców.

- Ty to zaczęłaś.

Męcząc się z guzikami bluzki, Mercy musnęła palcami nabrzmiące sutki pod elastycznym biustonoszem i zadrżała. Jej piersi stały się wrażliwe na dotyk, bolesne i pełne - niczym słodkie, dojrzałe, soczyste brzoskwinie; świeżo zerwane z drzewa i jeszcze gorące od słońca.

- Od dziś mam nowe motto - powiedziała Mercy słodkim, nieprzytomnym głosem. - Zrób pierwszy ruch.

Sam obrócił głowę, uśmiechając się do dziewczyny zamglonymi namiętnością oczyma. - Podoba mi się to motto.

- Kiedyś miałam inne: „Zdrowe tchórzostwo”. - Przerwała w pół zdania. Jak miała wyjaśnić Samowi, że dopiero od paru dni jest świadoma własnych uczuć. Przez tyle lat żyła jako cudza zabawka, kobieta dochowująca wierności innym, lecz nie sobie. Dopiero przy Samie mogła poznać prawdziwą Mercy Rose Sullivan - zaskakującą, uczuciową, odważną kobietę. - Nikomu nie doradzałabym takiej dewizy. Zbyt wiele można stracić.

Sam przez długą chwilę przypatrywał się Mercy z zadumą. Wyciągnął rękę i delikatnie poprawił splecione włosy dziewczyny.

- Mercy...jeżeli chodzi o dzisiejszy wieczór...

Lekki dotyk ręki Sama rozpałił Mercy do białości.

- Tak?

- Przypuszczałem, że coś takiego może się zdarzyć. Nie bójka - uśmiechnął się słaba - ale wścibstwo, autografy i brak intymności. Bardzo chciałbym móc pójść do McDonalda i nie zastanawiać się, czy przypadkiem nie mam musztardy na brodzie albo rozpiętej koszuli. Niestety, pokazując się publicznie, nie mogę liczyć na to, że nikt mnie nie rozpozna.

Mercy przypatrywała mu się ciekawie.

- Dlaczego więc zabrałeś mnie tam dzisiaj? Mogliśmy przecież zjeść kolację w domu. Nie bylibyśmy tak... niepokojeni.

- Och, myślę, że byłbym niepokojony, i to bardzo - odparł Sam z błyskiem rozbawienia w oczach. Chciał wziąć Mercy w ramiona, lecz wiedział, że już dawno przekroczył granice samokontroli. - Chciałem, żebyś wiedziała, w co się pakujesz.



Chciałem być z tobą całkowicie szczerzy zanim... no wiesz...  
zanim my...

Teraz z kolei uśmiechnęła się Mercy. Rozsławionemu Wiecznemu Buntownikowi brakuje słów w tak romantycznej chwili. Kto by pomyślał?

- Zanim co? - spytała, otwierając szeroko oczy i przybierając niewinną minę.

Sam odetchnął głęboko, zniecierpliwiony.

- No cóż, nie chciałem się wydać egoistą, ale nauczyłem się, jak najlepiej wykorzystywać nieliczne intymne chwile. Wiem, że życie pod czujnym okiem opinii publicznej ma swoje ujemne strony, ale.. nie jest aż tak źle, Mercy. Przyzwyczaisz się w końcu.

Przyglądał się jej niespokojnie, niczym zakompleksiony nastolatek. Mercy uśmiechnęła się czule do niepewnego chłopca wyczierającego z doświadczonego mężczyzny. Przechyliła się w przód i lekko musnęła chłodnymi, miękkimi wargami usta Sama.

- Dziękuję - wyszeptala.

Sam zetknął czoło z jej czołem i pogładził rękoma niesforne kosmyki kasztanowatych włosów.

- Za co?

- Za to, że jesteś sobą. Za troskę o mnie. Za to, że znasz mnie lepiej niż ja sama. Za wyciągnięcie mnie z baru, zanim zostałam arestowana. Za cudowne pocałunki. Za mocne przeżycia. Za...

- Stanę się zarozumiała - roześmiał się Sam, całując czubek jej nosa. -Lepiej przestań.

Mercy odchyliła się delikatnie do tyłu. W jej oczach pojawiły się rozbawione błyski.

- Ależ nie podziękowałam ci jeszcze za najważniejszą rzecz.
- To znaczy?

Dotknęła palcami rozchylonych warg Sama i szepnęła:

- Dziękuję za spędzenie ze mną najpiękniejszej nocy w moim życiu.

Sam spojrzał na nią uważnie.

- Zjedliśmy kolację i uczestniczyliśmy w pijackiej burdzie.

Czyżby to było marzenie twego życia?

- Nie rozumiesz. - Nie mogąc oddać słowami wypełniającej ją słodyczy, postanowiła wyrazić ją uśmiechem. Usadowiła się wygodniej i zapięła pas. Gdy już była pewna, że głos jej nie zdradzi, dodała cicho: - Dziękowałam z góry.

Sam nie mógł oderwać oczu od Mercy. Był zawstydzony, niepewny i płonął z żądy. Serce zaczęło mu bić mocniej.

Uniósł dłoń Mercy, aby ucałować końce jej palców.

- Nie ma za co - odparł w końcu. - Również z góry.

W drodze powrotnej nie odezwali się do siebie ani razu. Ani razu też nie spojrzeli sobie prosto w oczy, mimo że nawzajem śledzili każdy swój ruch, każde westchnienie. Cała istota Mercy dostrojona była do Sama, a Sama do Mercy. Mercy pierwsza weszła do budynku, czując, że palą ją plecy. Odczuwała na nich spojrzenie mężczyzny. Niemalże słyszała jego myśli.

Wydostali się z klatki schodowej i zamarli, patrząc przed siebie w zdumieniu. Ujrzeni róże, róże we wszystkich kolorach tęczy, tuziny róż, związanych w bukiety wielkimi satynowymi

wstążkami. Ustawione na progu mieszkania Mercy, wyglądały jak wielobarwny dywan i napełniały korytarz delikatnym zapachem.

- Sam... są cudowne! - Mercy uklękła, wyciągnęła jeden kwiat i przytuliła do niego policzek-. - Nigdy nie widziałam czegoś takiego. Nie powinieneś tego robić.

Sam przystanął za nią, trzymając ręce w kieszeniach skórzanej kurtki.

- Nic nie zrobiłem.

- Jak to, nic nie zrobiłeś? - spytała roześmiana Mercy, lecz śmiech zamarł jej na ustach, gdy ujrzała wyraz twarzy Sama.- Sam...?

- Tu jest przypięta jakaś kartka. Może ją przeczytasz?

-Przerwał, po czym dodał bezbarwnym głosem: - Umieram z niepewności.

Mercy przełknęła ślinę i sięgnęła po kartkę, klując się przy okazji w palec. Przeczytała... ale nie na głos.

- Och...

- Och?

Upuściła kartkę i różę, po czym wstała.

- Zostawię tutaj te kwiaty. Jeżeli będziemy mieć szczęście, ktoś przyjdzie i je ukradnie.

- Są od Tuckera, prawda?

Mercy skinęła twierdząco głową, patrząc na Sama i ssąc skaleczony palec.

Sam odwzajemnił spojrzenie, czując z przeraźliwą jaszkrawością, że stan napięcia i niepokoju zwiększa jeszcze jego wrażliwość. Milczenie narastało.

- A kartka? - zapytaj w końcu, zastanawiając się, czy rzeczywiście chce znać odpowiedź. - Co jest na niej napisane?

Sam stał się zamknięty i ostrożny. Mercy chciałyby go jakoś pocieszyć, ale kłębiło się w niej zbyt wiele uczuć, by mogła odnaleźć właściwe słowa. Stare uczucia, nowe uczucia, dokuczliwa skorupa uczuć. Przez cały wieczór walczyła z nawałnicą wrażeń a teraz jeszcze to.. Do diabła z Tuckerem i jego ślepym, egoistycznym uporem.

- To nie ma żadnego znaczenia, Sam. Tucker nie ma z nami nic wspólnego. Nie chcę o nim myśleć.

- No cóż, ale on chce, żebyś o nim myślała, prawda? - , Sam pochylił się i podniósł kartkę. Wiadomość była krótka, lecz treściwa:

*Będę w Denver w piątek. Przestań przede mną uciekać.  
Kocham cię.*

*Tucker*

- Przynajmniej nie czeka na ciebie na dole - odezwał się Sam po chwili milczenia. Spojrzał na Mercy z dziwnym uśmiechem na twarzy. - Moja mama często powtarzała, że przed burzą słońce świeci wyjątkowo pięknie.

- Nie będzie żadnej burzy, Sam. - Mercy kopnęła kwiaty, robiąc dostęp do drzwi. - To tylko płatanina więdnących róż u naszych stóp. Poza tym, teraz już jestem ostrzeżona. Będę musiała w przyszłym tygodniu znowu zabawić się w chowanego.

Idąc za Mercy do mieszkania, Sam uświadomił sobie, że nadal trzyma w dłoni wiadomość od Tuckera. Podczas gdy Mercy macała ręką po ścianie, szukając kontaktu, podarł kartkę

na drobnutkie kawałki i schował do kieszeni. Nie sprawiło mu to ulgi.

Sam usiadł na krawędzi sofy, chcąc powiedzieć coś czulego i romantycznego, aby poprawić nastrój, lecz gdy otworzył usta, wydobyły się z nich tylko te słowa:

- Pocziwy, stary Tucker wie, jaki moment wybrać, to trzeba powiedzieć na jego korzyść.

- Sam...

Zamachał rękami.

- Przepraszam, przepraszam. Nie powiem już ani słowa na jego temat. Nie wymówię nawet jego imienia,

- Dziękuję, - Po chwili wahania Mercy usiadła obok Sama. Przynęła się doń jak najbliżej, pozwalając, aby zetknęły się ich uda i ramiona. Cisza stawała się niezręczna.

- Tucker - powiedział Sam znienacka. Mercy aż podskoczyła z wrażenia.

- Co? Gdzie?

Sam wstał i podszedł do kominka. Stała na nim fotografia w ramce. Nie zauważył jej wcześniej. Przedstawiała człowieka z dołeczkami w policzkach i kręconymi włosami, ubranego w kostium drużyny New Yankees. Mister Ameryki.

- To jest Tucker, prawda?

Mercy wzięła fotografię i ułożyła ją na kominku.

- Nie wiem, po co jeszcze trzymam to głupie zdjęcie. Może żeby mi przypominało, od kogo zdołałam uciec.

- Nie powiedziałaś mi, że jest baseballistą

- To nie ma znaczenia. Tucker to stara historia.

- I gra w drużynie Yankees?

Mercy westchnęła. Sam nie zamierzał zrezygnować.

- Tak, gra w drużynie Yankees. Co jeszcze chcesz wiedzieć?

Sam przyjrzał się jej uważnie, po czym odwrócił się i położył rękę na kominku, ugiął lekko jedno kolano, ramiona wyprężył. Nie chciał, aby pojawienie się na scenie przystojnego baseballisty zniszczyło ten wieczór, lecz nie wiedział, co może zrobić, by temu zapobiec. Musiał wiedzieć coś więcej, zanim zaangażuje się uczuciowo.

- Od jak dawna znasz Tuckera... jak on ma na nazwisko? Zapomniałem.

- Healy. - Mercy podeszła do Sama, obejmując go od tyłu w pasie i przytulając policzek do zimnej, skórzanej kurtki. - Poznałam go, gdy miałam dziesięć lat. Dorostaliśmy w tej samej okolicy.

„Dziesięć lat” - pomyślał Sam i zdrtwiał. To oznaczało, że Tucker jest częścią życia Mercy od jakichś piętnastu lat, podczas gdy Sam znał ją od... ilu?... czterech dni? Cztery dni a piętnaście lat. To nie są właściwe proporcje.

- A od jak dawna byliście zaręczeni? Mercy przytuliła się doń jeszcze mocniej.

- Od osiemnastu miesięcy. Sam, dlaczego musimy...

- Nie wiem dlaczego. Ale ja muszę. Dlaczego go porzuciłaś?

- Byłam zmęczona ciągłym wybaczeniem mu. Sam zwrócił się twarzą do Mercy i ujął za ramiona.

- Innych kobiet?

- Tego też. Inne kobiety, plotki w czasopismach, randki, na które nie przychodził... Tucker zawsze uważał, że wszystko mu wybaczę, jeżeli będzie odpowiednio czarujący. I do pewnego

momentu miał rację, ale ja w końcu zdobyłam się na odwagę, porzuciłam go i zaczęłam nowe życie.

Sam poczuł, jak pierś wypełnia mu ogień gniewu. Co za głupiec z tego Tuckera. Sam przez ostatnie dziesięć lat szukał takiej kobiety jak Mercy. Kilka namiętnych, krótkotrwałych romanсів nie prowadziło do niczego, staczał się tylko w otchłań samotności i tęsknoty. W końcu wolał już żyć samotnie, niż narażać się na utratę kolejnych złudzeń. W kręgach, w których stale się obracał, spotykał jedynie egoistycznych mężczyzn i kobiety, czyniących obietnice, których nie mieli zamiaru dotrzymywać, i płodzących dzieci, których nie widzieli później na oczy. Samowi to się nie podobało, ale nie wierzył, że może być inaczej. Więc czekał, mając nadzieję, że pewnego dnia odnajdzie kogoś, kto wypełni pustkę w jego życiu.

A podczas gdy Sam czekał, Tucker Healy przeżywał i nadużywał miłości swojego życia.

Sam zamknął oczy i przycisnął Mercy bliżej do siebie, zamykając ją w ramionach tak delikatnie, jak tylko mógł. Potarł podbródkiem czubek jej głowy i głaskał roztrzęsionymi rękoma plecy Mercy.

- To nie w porządku - powiedział bardzo, bardzo cicho. - Na tym świecie mogą przetrwać tylko serca z kamienia, czułe zostaną skrzywdzone i złamane. Przykro mi, Mercy Tucker nie wiedział, jaki skarb posiada. Ja traktowałbym cię jak najcenniejszy skarb, przysięgam.

Niewzruszona pewność w głosie Sama kruszyła Mercy serce. W jej oczach pojawiły się łzy.

- A co z twoimi uczuciami? - szepnęła, przyciskając twarz do piersi Sama i wsłuchując się w bicie jego serca. - Czy także zostały zranione?

Sam chciał zaprzeczyć... lecz zobaczył dwie łzy lśniące jak diamenty na policzkach Mercy. Płakała.. Te łzy były przeznaczone dla mężczyzny imieniem Tucker, który na nie zupełnie nie zasługiwał. Mercy poświęcała mu je z taką łatwością, z jaką poświęcała przez tyle lat swoją miłość. Sam odetchnął głęboko. Wdzierająca się w marzenia rzeczywistość pokryła jego obnażoną duszę szronem. Odwrócił od Mercy swoją twarz, zastanawiając się, czy uzewnętrzniła się na niej udręka.

- Aż do dzisiejszej nocy - nie- odparł cicho.

- Sam... - głos Mercy się załamał. Przysłoczył ją rozwój sytuacji. Wszystko było nie tak. - To nic nie zmienia.

Wytrzymał jej wzrok. Marzył o tym, żeby wziąć Mercy w ramiona i scalać łzy z jej twarzy. Coś go jednak wstrzymywało. Miłość Mercy do Tuckera wciąż jeszcze nie należała do przeszłości - mógł to wyczytać z jej oczu, mógł to wyczuć w powietrzu.

- Muszę już iść - powiedział. - Przepraszam.

Mercy potrząsnęła głową.

- Dlaczego? - zapytała bezradnie.

- Zastanawiam się! - Odchylił głowę i spojrzał na sufit, starając się uporządkować splątane myśli. - Cały czas myślę o tym, w jaki sposób go zostawiłaś. Uciekłaś od niego. Ludzie od siebie nie uciekają, chyba że się boją. A ty masz zamiar nadal uciekać, prawda? Nie mogę przestać zastanawiać się nad tym, czego ty się boisz.



Mercy zacisnęła ręce na brzuchu, jak gdyby chcąc tym uściśkiem odegnać bolesne myśli.

- Nie rozumiem. Nie rozumiem, dlaczego mi to robisz. Wyraz twarzy Sama nie zmieniał się.

- Trudno to wyjaśnić. Czegokolwiek ty się boisz... ja też się tego boję. - Odwrócił się do Mercy plecami, mimo że całym sercem chciał do niej podejść i wziąć w ramiona.

To jej uczucia były najważniejsze w tej chwili i Sam nie chciał narzucać się ze swoimi potrzebami. Zrozumiał wreszcie, skąd się biorą złamane serca. Człowiek, pragnący za wszelką cenę obronić ukochaną osobę, nie ma dość siły, aby się bronić samemu. Mercy nie potrzebowała Sama. Jej łzy powiedziały mu, że wciąż jeszcze oplakuje rozstanie z Tuckerem, wciąż jest czuła na jego punkcie.

- Przepraszam, maleńka. Troje w łóżku to o jedną osobę za dużo.

- Ja widzę tylko nas dwoje- wyszeptała.

Sam podszedł do kominka i poprawił fotografię Tuckera.

-Ciekawe, ja widzę troje.

- Naprawdę? - zapytała jeszcze cichszym głosem. -A więc temat chyba można uznać za zamknięty. Nie będę cię błagać, żebyś mi uwierzył.

„Chciałbym, żebyś to zrobiła”. Nie wypowiedział tych słów na głos. To nie byłoby w porządku. Czy Mercy uciekała do Sama... czy od Tuckera? Sam panicznie się bał, że ona sama nie znała odpowiedzi. Jedyne, co mógł zrobić, to dać jej trochę czasu, aby się zdecydowała. Nie należał do szczególnie cierpliwych, ale dla Merey... będzie się musiał nauczyć cierpliwości.

Do diabła, żałował, że widział jej łzy.

Wsunął ręce do kieszeni i podszedł do drzwi, z premedytacją unikając wzroku Mercy. Rezerwy samokontroli w każdej chwili mogły się wyczerpać. Przestał już się modlić o możliwość zniesienia tej sytuacji po męsku. Teraz nie był pewien, czy w ogóle ją zniesie.

- Ty kulejesz - odezwała się nagle Mercy. Sam zatrzymał się w otwartych drzwiach.

- Chyba nadchodzi burza. - Pozbawione emocjonalnego zabarwienia puste słowa wypełniły bolesną ciszę. Ciszę, która sprawiła, że Sam chciał walić głową w mur. - Mówiłem ci, że mam kłopoty z kolanami. Stawy mi sztywnieją, gdy nadchodzi burza.

Oddychając ciężko, Mercy powiedziała: -Sam... to szaleństwo. Dlaczego wychodzisz? Długo myślał nad odpowiedzią. Patrzył w podłogę ze smutnym uśmiechem na wargach. W końcu podniósł wzrok.

- Dlaczego wychodzę? Możesz to tłumaczyć poczuciem winy, lękiem, źle pojętą rycerskością... ale tak naprawdę wychodzę dlatego, że cię kocham. - Bezradnie wzruszył ramionami. - Kocham cię całym sercem.

Mercy podniosła nań błyszczące, zaskoczone spojrzenie. Jej pierś pod bluzką unosiła się rytmicznie, policzki ogarnęła fala gorąca. Sam Christie ją kochał. On ją kochał.

Sam spojrział w nieprzytomne, ciemne oczy Mercy i lekko się uśmiechnął.

- Biedactwo. Nie takiego wyznania się spodziewałaś. Przepraszam, że nie jestem bardziej... elokwentny. Dobranoc, Mercy Sullivan.

RS

## **ROZDZIAŁ 7**

Koło północy zaczęło padać.

Sam nie spał, nie zdjął nawet ubrania. Przemierzał mieszkanie wielkimi krokami niczym uwięziony lew. Starał się nie myśleć o Mercy i o tym, że znajduje się ona tylko o siedem pięter od niego. Starał się nie myśleć o Tuckerze, gdyż ten człowiek przyprawiał go o szaleństwo. Starał się nie myśleć o piątku, kiedy to Tucker Przyprawiający Go o Szaleństwo przyjedzie do Denver. Kto wie, co się stanie w piątek? Na pewno nie Mercy. I nie Tucker. I nie Sam. Czuł się, jak gdyby zaplątał się w grę w muzyczne krzesła: troje ludzi, dwa krzesła i żadnych złudzeń.

Musiał wyjść. Narzucił znowu skórzaną kurtkę, nie przejmując się, że deszcz zniszczy ją doszczętnie. Zrezygnował z windy na korzyść schodów, nie dlatego, żeby miał klaustrofobię, lecz dlatego, że rozpierała go energia. Na czwartym piętrze zatrzymał się na mgnienie oka i z całej siły zacisnął zęby.

Nigdy dotąd nie pragnął nikogo tak, jak teraz pragnął Mercy Sullivan.

Chodził po ulicach samotny i anonimowy, a niebo spływało deszczem. Włosy przylepiły mu się do czoła, krople wody

błyszczały na rzesach. Przestał czynić daremne próby usunięcia Mercy z głowy. To była noc rozmyślań. Zamyślił się więc jak diabli, jakby to powiedział Tommy Evans, fotograf. Głowę Sama wypełniły wspomnienia... Mercy w śmiesznej różowej piżamie, stojąca na tle rozświetlonego okna... Mercy siedząca po pas w bagiennej wodzie i zaśmiewająca się do łez... Mercy ciszkająca oczyma gromy... Mercy z drobną dłonią zaciśniętą w pięść...

Kolana doprowadzały Sama do szału. Zatrzymał się i usiadł w parku na ławce pod pochylonym wiązem. Po drugiej stronie ulicy stała oświetlona budka telefoniczna. Sam popatrzył na nią i pomyślał o wszystkich rzeczach, które chciałby powiedzieć Mercy, a które Tucker prawdopodobnie już jej powiedział. Piętnaście lat zażyłości pomiędzy Tuckerem a Mercy, lat wypełnionych pogodnymi marzeniami, gorzkimi rozczarowaniami, uśmiechami i łzami. To niesprawiedliwe. Sam miał na to tylko cztery dni, Tucker - praktycznie całe życie.

Sam nie był człowiekiem przyzwyczajonym do porażek. Wykorzystywał każdą szansę, dopracowywał wszystko do najdrobniejszych szczegółów, dawał z siebie sto dziesięć procent, a jeżeli to nie wystarczało - dawał więcej. Skoro tylko odnalazł cel, dążył do niego każdą cząstką siebie. Wiedział bez cienia wątpliwości, że pragnie Mercy Sullivan, ale wiedział również, że ma nikłe szanse zwycięstwa.

cztery dni. Śmiali się, sprzecali, bawili... ale nie spali ciasno do siebie przytuleni. Nie posiadał jeszcze ciała Mercy, nie napełnił jej rozkoszą, nie przekroczyli wspólnie żadnych granic. Ser-

ce zamarło Samowi w piersi, gdy pomyślał, ile razy doświadczył tego Tucker.

Nie, nie podobały mu się proporcje. Sam był cp prawda hazardzistą, człowiekiem, który trzymając kciuki na szczęście, obiecał milionom Amerykanów złoty medal, ale wówczas nie ryzykował zbyt wiele; miał takie same szanse jak reszta zawodników. O wszystkim zadecydowało to, kto najmocniej pragnął zwycięstwa.

Teraz sprawy miały się zupełnie inaczej. Z rozmysłem opuścił Mercy, zostawiając ją, by, mogła uporządkować swoje uczucia. Ale czy ten szlachetny i bezinteresowny gest nie był trochę niedojrzały? Do przyjazdu Tuckera pozostały cztery dni. Dni, które powinny należeć do Sama, do Sama i Mercy. Spojrzał na budkę telefoniczną po drugiej stronie ulicy i dziwaczny uśmiech wykrzywił mu twarz. Mercy będzie mogła przeciwstać piętnastu latom z Tuckerem Healy m siedem dni z Samem Christie.

Taaak, To powinno wyrównać szalki wagi.

Wyszperał w kieszeni dwie dwudziestopięciocentówki i przeszedł przez ulicę. Zadzwoił do informacji, po czym wykręcił numer Mercy Sullivan z Brockbank Road.

Mercy podniosła słuchawkę; skoro tylko przebrzmiał drugi sygnał. Sam odnotował z satysfakcją, że była zupełnie rozbudzona, mimo że zegar wskazywał drugą nad ranem.

- Nie mogę spać- powiedział.
- Sam? Czy to ty?

- To ja - Telefon do ukochanej kobiety o tak niezwyklej porze wymagał odwagi, lecz uczynienie następnego kroku wymagało tej odwagi jeszcze więcej.

- Śmiesznie mówisz... Prawie cię nie słyszę.

- Dzwonię z budki. - „Potrzebuję cię, pragnę cię” - powiadała wyobraźnia.

- Czy wszystko w porządku?

- Tak... nie..- Sam zamknął oczy i zacisnął palce na słuchawce. - Nic nie jest w porządku.

- Co mówisz? Niewyraźnie cię słychać.

- To przez burzę. - Głos Mercy brzmiał tak odległe. -Mercy... myliłem się. Potrzebuję cię dzisiejszej nocy. Nawzajem się potrzebujemy.

Nastąpiła długa, przerywana trzaskami cisza. W końcu, gdy Sam już pomyślał, że umrze z niepewności, Mercy odezwała się.

-Drzwi są otwarte.

Sam słyszał tęsknotę w jej głosie i serce zaczęło mu walić w piersi. Delikatnie odwiesił słuchawkę. Uśmiech wykrzywił mu wargi, gdy oparł się o szklaną ścianę budki. Ta sprawa bynajmniej jeszcze nie była przegrana.

Mercy znów miała na sobie różową piżamę.

Oczekując Sama, myślała o możliwości przebrania się, ale jej jedyna naprawdę ładna koszula nocna uszyta była z przezroczystej koronki, co byłoby zbyt prowokujące. Zaczesała więc tylko włosy i wtarła trochę wonności pomiędzy piersi, po czym usiadła na sofie, przywarłszy oczami do drzwi.

Sam nie zapukał ani nie użył dzwonka. Zgodnie z przewidywaniami Mercy po prostu wszedł i wziął ją w ramiona. Stali na środku pokoju i objęci ciasno, kołysali się przez długą chwilę. Mercy nie zwracała uwagi na to, że Sam ocieka wodą. Najważniejsze było to, że przytulali się i potrzebowali siebie nawzajem. Mężczyzna oparł twarz o szyję Mercy, mocząc włosami jej policzek.

- Kocham cię - powiedział Sam głosem niewiele głośniejszym niż szept. - Nigdy cię nie zranię, Mercy.

- Tak. - Odchyliła głowę do tyłu i dotknęła twarzy Sama. -Wiem.

Zauważył, że płakała. Oczy miała lekko podpuchnięte, rzęsy zlepione. Sam chciałby wiedzieć, dla kogo przeznaczone były łzy, ale nie zapytał. Ta noc miała służyć leczeniu i miłości. Stawką była przyszłość.

Poprosi Mercy tylko o jedno. Objął palcami jej twarz.

- Zapamiętaj tę noc. Cokolwiek się stanie, obiecaj mi, że zawsze będziesz pamiętać.

- Obiecuję. — Jej głos był gardłowy i kuszący. Wsunęła dłonie pod kurtkę i sweter Sama. Dotyk dłoni Mercy zataczających roznamietniające kręgi na plecach rozgrzewał jego zziębniętą skórę. Słyszała, jak Sam z trudem chwyta oddech, czuła, jak całe jego ciało przenika dreszcz pożądania.

- Chcę cię dotykać. Chcę się wszystkiego o tobie dowiedzieć. Chcę się stać częścią ciebie.

Kształtne usta Sama zdrząły w uśmiechu, jego oczy wypełniły się zmysłowym ciepłem.



- Tak się stanie. - Serce biło mu powolnym, nieregularnym rytmem. Schylił głowę i począł głąskać prowokująco językiem wargi Mercy, aż się rozchyliły z westchnieniem. Wówczas przysunął się do niej jeszcze bliżej i trzymając dłoń na karku ukochanej, całował ją, okazując tymi pocałunkami całą swą miłość i namiętność. Drażnił językiem wnętrze ust i wargi Mercy, a jego uczucie, jakby za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, wzbierało niczym" podziemne źródło. Przenikające Sama dreszcze stały się prawie bolesne, ale postanowił je zignorować. W tym momencie pragnął tylko dawać - obdarowywać Mercy najwspanialszymi, najśłodszymi rzeczami przez całą wieczność...

Lecz Mercy też mogła mu coś ofiarować. Ujęła dłonie Sama i umieściła je na własnych piersiach, po czym spojrzała na niego spod przymkniętych powiek.

- Czujesz moje serce? - wyszeptała. - Biję tak szybko. Ty to sprawiasz. Z nikim jeszcze nie czułam takiej rozkoszy.

Wzrok Sama pociemniał, a jego dłonie poczęły masować jej piersi. Różowa piżama była wilgotna i przylegała miejscami ściśle do ciała Mercy.

- Zamoczyłem cię,

Przekreśliła głowę i zmrużyła sennie oczy.

- Mhmm.

- Dobrze ci?

- Przecież... wiesz, że tak.

- A teraz? - Chwycił lekko zębami twardy sutek. Przygryzł go delikatnie, delikatnie... po czym zaczął ssać wargami przez mokry materiał.

Dłonie Mercy zacisnęły się konwulsyjnie na swetrze Sama, ściskając miękką wełnę, w miarę jak fale pożądania przetaczały się przez jej ciało. Chciała zachowywać się spokojnie, koncentrując się tylko na tym, co odczuwała, ale nie mogła. Jej biodra prężyły się, nogi drżały. Po pełnych cierpienia, cudownych minutach Sam odsunął głowę, aby spojrzeć na Mercy.

- Zrobię ci dobrze - powiedział. - Tylko tego pragnę. Od momentu, w którym cię ujrzałem, tylko tego pragnę.

Mercy przyłgnęła do niego, przyciskając mocno twarz do jego twarzy. Chociaż nie słyszała własnych słów, Sam usłyszał je zupełnie wyraźnie.

- Zabierz mnie do łóżka. Ja też zrobię ci dobrze. Zrobię ci tak dobrze...

Sam wziął Mercy na ręce i zaniósł do łóżka. Bez oporów zerwali z siebie ubrania i zagrzebali w pościeli niczym bawiące się dzieci. Nie byli jednak dziećmi; byli mężczyzną i kobietą pożądającymi się nawzajem. Żądza, która od samego początku znajomości napełniała ich kontakty cierpieniem i rozkoszą, wreszcie przejęła nad nimi kontrolę. Baraszkowali wśród pościeli, starając się jak najlepiej do siebie dopasować. Mercy parła, naciskała, oplatała się wokół Sama, jej drobne dłonie odkrywały władzę, jaką miały nad tym męskim ciałem. Uczyla się, gdzie dotykać, gdzie pieścić, gdzie drażnić i kiedy przestać. Namiętność pozbawiła ją tchu.

Mówili do siebie jedynie przerywanymi, nie powiązаныmi zdaniami.

- Tak... tam...
- Jeszcze...

- Kocham cię...

- Och, proszę...

Sam dał z siebie radośnie i nieświadomie więcej niż kiedykolwiek dotychczas... Sprawiał, że każdy etap na drodze namiętności trwał tak długo, jak to tylko możliwe. Był oszłamiony i zachwycony ochotą Mercy do zaznania, do wypróbowania wszystkiego; Jej rozgrzane ciało należało do niego, mógł z nim robić cokolwiek zechciał. Mercy otwarła i poddała się jego niecierpliwym i gwałtownym pieszczotom. Sam jednak wstrzymywał się i zgłębiał jej ciało jedynie delikatnymi palcami, wilgotnym językiem i słodkimi wargami. Sprawiał, że Mercy się śmiała, krzyczała z żądzy albo płakała z rozkoszy. Pieścił jej ciało i duszę.

Sam wiedział, że wkrótce przestanie panować nad sobą. Był tylko mężczyzną, i to mężczyzną pragnącym kobiety tak mocno, jak nigdy dotąd. Nagle usiadł w pościeli, przycisnął Mercy plecami do poduszki i udami rozwarł jej nogi. Zawisł nad nią i wpatrywał się w jej twarz, przypominając o danej obietnicy.

- Zapamiętaj to.

Jeszcze raz skosztował jej nabrzmiąłych warg, po czym opadł w dół w miękkie, gorące i wilgotne zakamarki ciała Mercy, które przygotował na swoje przyjęcie miłością i cierpliwością. Mercy zadrzała, gdy w nią wszedł i jego biodra powoli łączyły się z jej biodrami. Sam pchnął, aż złączyli się całkowicie. Oczywiście miał zamknięte i z trudem chwycił oddech.

Mercy zarzuciła drżące ramiona na szyję Sama. Pod palcami wyczuła niewyobrażalne wprost napięcie, stał pod jedwabiem. Przytłoczył ją ciężar wciąż nie nasyconego pożądania. Wygięła

się w tył, zacisnąwszy zęby. Czują go w sobie, ciepłego i twardego... nigdy dotąd nie było jej tak dobrze. Bała się, że umrze z rozkoszy.

Ale wszystko było jeszcze przed nią. Sam począł poruszać się wewnątrz niej powolnym, umiejętnym ruchem. Z gardła Mercy wyrwał się cichy jęk. Czując w sobie poruszające się przesywającym, wciąż intensywniejącym rytmem ciała, zaczęła się więc i skręcać pęd Samem. Mężczyzna jednak trzymał ją mocno rękoma o stwardniałych i napiętych mięśniach, utkwivszy w jej twarzy płomienny wzrok.

- Sam... Ja tego nie wytrzymam...

- Tak, wytrzymasz. - Głos Sama był szorstki, lecz wzrok bezgranicznie czuły. - To i jeszcze więcej. Może być jeszcze lepiej...

Nagle przekreślił się na wznak, nie rozłączając się z Mercy, tak że usiadła okrakiem na jego udach. Sam obserwował nad sobą jej twarz i zauważył szeroko rozwarte oczy i rozchyłone usta. Mercy instynktownie usadowiła się tak, że znaleźli się jeszcze bliżej siebie. Wówczas Sam umieścił ręce na jej biodrach i rozkołysał je z wolna. Stopniowo zsynchronizowali ruchy. Sam unosił biodra falującym ruchem, Mercy parła i cofała się znowu. Mężczyzna oddał się słodkiemu zapomnieniu, poddając się wybuchom namiętności, towarzyszącym każdemu poruszeniu złączonych ciał. Bezwiednie wyciągnął ramiona ponad głowę i zacisnął dłonie na miedzianej poręczy łóżka, mięśnie rąk napinały się i drżały.

A Mercy... Mercy jak przez mgłę widziała leżące pod nią ciało, widziała rozpalone policzki i zmierzwioną aureolę wło-

sów. Sam miał oczy zamknięte. Nagle zapragnęła zobaczyć te oczy. Na moment przestała się poruszać i zaśmiała się z cicha, gdy kochanek rzucił jej błękitne, zawiedzione spojrzenie. Wznowiła ruchy, z nową gwałtownością łącząc biodra z biodrami Sama. Wytrzymała jego wzrok, gdy oboje pograżyli się całkowicie w rytmie, nad którym nie mogli zapanować. Zaciśnęła dłonie w pięści na ramionach Sama i wbiła pięty w łóżko. Nigdy dotąd nie zaznała takiej rozkoszy i takiego bólu. Musiała znaleźć jakieś wyjście. Była podniecona i spocona, ciało miała wyprężone. Całkowicie poddawała się szałowi namiętności. W jej umyśle było miejsce jedynie dla Sama. A później skupiła się całkowicie na odczuwanym słabym jeszcze pulsowaniu.

Sam dokładnie wiedział, w którym momencie u Mercy rozpoczął się orgazm. Zachował siły specjalnie na tę chwilę. Jęknął. Wbił się w nią głęboko, głębiej niż dotychczas i nowe doznanie zaostriżyło odczuwaną rozkosz. Sam przepelniony był miłością, lecz powodowała nim lubieżność, jakiej nigdy dotąd nie doświadczył. Zaciśnął dłonie na biodrach Mercy i rozkołysał je mocniej, aby zwiększyć efekt. W końcu dał z siebie wszystko. Teraz już tylko pragnął dostawać. Jakby z oddali usłyszał, jak Mercy krzyknęła ze zdziwienia, potem z radości. Odczuwana przez nią rozkosz zwiększyła jego własną, z gardła wyrwało mu się coś pomiędzy jękiem a chrząknięciem i osiągnął szczyt fizycznego zaspokojenia.

Mercy dysząc poczuła, jak Sam unosi się na nie kończąca się chwilę, po czym wbija w nią tak mocno, że jej biodra zanurzyły się w materac. Wykrzyknął w bólu jej imię i odrzucił głowę do tyłu, tak że na szyi wystąpiły mu żyły.

- Sam... - Głos Mercy był niemalże niesłyszalny. Dla niej to, co zaszło, było cudem.

Opadł bezwładnie na jej piersi. Natychmiast opłótła go ramiionami i głaskała jak dziecko, moczając mu łzami włosy.

Sam scałowywał te łzy, wiedząc, że tym razem są to łzy radości.

Leżeli w ciemnościach przytuleni do siebie pod ciężką patchworkową kołdrą; dwoje kochanków, których napiętność się już wyczerpała. Żadne z nich nie mogło zasnąć, mimo że była czwarta nad ranem. Oboje jak nigdy dotąd byli świadomi płynącego Czasu. Łaknęli każdej minuty.

Mercy oparła głowę na piersi Sama, który gładził ręką jej włosy delikatnym, przepelnionym miłością ruchem.

- Przynajmniej znam już odpowiedź na jedno pytanie - wyszeptał Sam cicho.

Przytuliła się do niego ciaśniej i zarzuciła nogę na jego kolano.

- Jakie pytanie?

- Wiem już, kogo szukałem przez całe życie.

Mercy leżała zupełnie spokojnie, po czym uniosła się na łokciu i przyjrzała Samowi z powagą. Jej oczy zawierały płynną jasność, zmierzwiłone ciemne włosy zachwycająco połyskiwały. Prawie nie mogła mówić; napływające łzy paliły ją w gardle.

- Mnie?

Sam musiał się uśmiechnąć, słysząc jej głos.

- Tak, moja miłości. Ciebie.

Mercy drząc zaczerpnęła powietrza, serce załomotało jej nagle. Minęła pełna minuta, zanim odzyskała głos.

- Kocham cię.

Oczy Sama rozszerzyły się lekko, błyszcząc w świetle księżyca. Nie uświadamiał sobie, jak bardzo pragnął usłyszeć te słowa z ust Mercy. Dotknął jej policzka, w milczeniu smakując swój triumf.

- Dziękuję.

Zaśmiała się przez łzy, łaskocząc pierś Sama.

- Nie. To ja dziękuję. Dziękuję za najpiękniejszą noc w moim życiu. Z góry.

Sam uniósł jedną brew, gładząc koniuszkami palców nos i wargi Mercy.

- Z góry?

- No cóż, jest jeszcze jutro... i pojutrze. Wiesz przecież. - Mercy wtuliła się wygodnie w ramiona Sama, przykładając dłoń do jego serca. - Będę ci wciąż dziękować z góry i będziesz musiał się dostosować do moich wyobrażeń.

Sam założył ramiona pod głowę.

- Jak dobrze, że lubię wyzwania. - Leżał przez moment, po czym pocałował czubek głowy kobiety. - Mercy? Czy mówiłem ci kiedyś o moim domu?

- O farmie ziemniaczanej? Nie. Nie wiem, czy mam w to wierzyć.

- To prawda. Dorastałem na farmie w Idaho, dokładnie pośrodku pustki. Najbliższy dom był odległy o czterdzieści kilometrów, najbliższe miasto - o sto. Musiałem codziennie jechać do szkoły przez godzinę. O mało tam nie oszalałem. Dlatego tak

lubię narciarstwo. Pędząc z góry z prędkością ponad stu kilometrów, czuję, że gdzieś podążam. Wciąż przyglądałem się moim rodzicom i zastanawiałem, jak u licha udało im się spędzić tam całe życie i zachować uśmiech na ustach i zadowolenie z życia. Ale teraz... - Sam odwrócił głowę i spojrzał przez okno na ten sam księżyc, któremu przyglądał się tyle razy jako dziecko. Tej nocy nie wydawał się on jednak tak odległy. - Leżąc tu z tobą i trzymając cię w ramionach, nareszcie zrozumiałem. Dostali od życia Wszystko, co mogli dostać. Wciąż tam mieszkają. Wstają o świcie, jedzą wspólnie śniadanie w kuchni, pracują ramię w ramię, a wieczorem siadają na huśtawce na ganku i trzymają się za ręce niczym nastolatki. A w zimie... w zimie grają w słówka przy kominku, w którym płoną gałęzie jabłoni, i śmieją się jak dzieci. Jestem z nich... bardzo dumny.

Mercy zamknęła oczy. Jasne, czyste uczucie miłości do Sama przepełniało ją całkowicie. Przytuliła się do niego i pokryła pocałunkami jego twarz i szyję, szepcząc przy tym:

- Sam... jesteś taki... jesteś taki...

- Jaki? - Sam napotkał ustami jej usta. - Jestem taki... ? Mercy położyła mu się na brzuchu i z uśmiechem wyszeptała jedno jedyne słowo:

-Kochany.



## **ROZDZIAŁ 8**

Następnego dnia Mercy zaczęła przygotowywać się do wyjścia do pracy późno, bardzo późno.

Powieki miała ciężkie, lecz na twarzy bezustannie jaśniał jej słodki, senny uśmiech. Przed południem odebrała trzy telefony; wszystkie od Sama, który dzwonił jedynie po to, aby wyznać swą miłość. W końcu Mercy wytłumaczyła mu, że ona też go kocha, ale jeżeli będzie wciąż dzwonił, to wyleją ją z pracy. Czy on chce, aby Mercy wylano z pracy?

Tak. Będą mogli wówczas przenieść się na farmę ziemniaczaną.

Nie. Ona jest typowym mieszczuchem. Czy wciąż go boli w tym niezwykłym miejscu? Może troszeczkę.

Biedactwo. Oto cena, jaką trzeba zapłacić, gdy się ucho-  
dzi za amerykański symbol seksu.

Ale śmieszne. Już więcej nie zadzwoni... tego dnia.

Zgodnie z obietnicą Sam zmienił taktykę. Trzy godziny później do studia Tommy'ego Evansa dostarczono taczki pełne białych stokrotek. Przyczepiona do nich kartka zapraszała Mercy na ósmą wieczorem do rezydencji Sama Christie na kolację przy

świecach, czarne krawaty lub czarna koronkowa bielizna - do wyboru.

Judith wyrwała kartkę z rąk Mercy, przeczytała, po czym opadła bezsilnie na sofę w korytarzu.

- Ty i Sam Christie... Sam Christie i ty... czarna koronkowa bielizna...

- Bielizna lub krawat, do wyboru - przypomniała Mercy z sennym uśmiechem na wargach.

Judith potrząsnęła głową, jak gdyby myślenie w zaistniałej sytuacji było czymś przekraczającym jej siły.

- No cóż, muszę powiedzieć... Nie wiem, co powiedzieć. Ten człowiek jest osobą publiczną. Widziałam go w zeszłym tygodniu w telewizji. W tym miesiącu jest na okładce jakiegoś czasopisma. Kręci film z Tomem Se-leckiem...

- Słucham? - zapytała Mercy, na moment wyrwana z zamyslenia. - Nic mi nie mówił o żadnym filmie.

- No cóż, tak słyszałam. - Judith intensywnie przypatrywała się Mercy. - Kochanie, muszę cię o to zapytać dla twojego dobra. Czy wiesz o nim i o tej modelce z rozkładówek?

- Nigdy się z nią nie spotkał. To tylko plotka.

- Jesteś pewna? Czy to on ci o tym powiedział? . Mercy kiwnęła głową, pchając taczki w najdalszy kąt pokoju.

- Zostawię kwiaty przy donicach z palmami. Tommy ich nawet nie zauważy. Muszę wracać do pracy, Judith.

- No więc, n i c mi nie powiesz? Czy jest cudowny? Czy między wami zaszło coś poważnego? Czy ziemia drży ci pod nogami, kiedy o n cię całuje? Czy zdajesz sobie sprawę, że je-

steś największą szczęściarą w Ameryce? Czy nie dostajesz szalu, czekając na kolejne spotkanie?

- Tak - odparła Mercy.

Sam mógł wynająć kogoś do przygotowania posiłku, lecz wolał upitrasić coś osobiście. Prawdziwie romantyczny wieczór wymagał pewnego nakładu pracy.

W trakcie przyrządzania holenderskiego sosu do szparagów zorientował się jednak, że osobisty nakład pracy to zbyt wygórowane żądanie, zwłaszcza jeżeli chodzi o sztukę kulinarną. Sos przypalił się na spodzie, zwarzył u góry i pachniał jak zjełczały biały ser. Sam wylał go do zlewu i otworzył puszkę z kremem z pieczarek. Krem z pieczarek z puszki nie może się nie udać. .

Do siódmej trzydzieści Samowi udało się zabrudzić każdy garnek i każdą patelnię w dziewiczo czystej niegdyś kuchni, wypełnić kubek po brzegi liśćmi karczochów i trzykrotnie uruchomić wykrywacz dymu. Mimo wszystko stół w salonie robił wrażenie. Obrus był czysty, świece w świeczniku stały prawie prosto, a na kieliszkach do wina nie było plamek po wodzie. Zasłony na drzwiach prowadzących na balkon były odsunięte. Przez szybę widać było efektowną panoramę miasta. Sam nastawił cichą muzykę, przyciemnił lampy i zamarł w radosnym oczekiwaniu.

Już wkrótce, za trzydzieści minut zobaczy się z Mercy. Z wielkim trudem udało mu się dobrać ubranie do obowiązkowego czarnego krawata. W ciągu ostatnich kilku lat zakupił kilka smokingów, ale tylko w jednym czuł się naprawdę swobodnie. Był on prostego kroju, z białą koszulą bez marszczeń,

zakładek i tym podobnych fanaberii, które sprawiały, że Sam czuł się jak lalka Ken. Po raz pierwszy w życiu dobrowolnie skropił włosy lakierem, aby nadać im elegancki wygląd, lecz osiągnął tylko to, że na głowie powstała twarda skorupa. Zmył ją wodą i zaczesał włosy w swój zwykły, niedbały sposób, po czym usiadł na tapczanie i czekał.

Za pięć ósma zorientował się, że założył do smokingu brązowe mokasyny i pognął do sypialni, aby się przebrać, po czym w samych skarpetkach podreptał z powrotem, gdyż wydawało mu się, że słyszy stukanie. Otworzył drzwi, przekonał się, że korytarz jest pusty, więc wrócił do sypialni, chichocząc jak uczeń. Zanim zdążył zmienić buty, zaśmiewał się do łez. Nic dziwnego, że jego rodzice tak się cieszyli, grając w słówka. Najdrobniejsza czynność nabiera nowego znaczenia, kiedy wykonuje ją człowiek zakochany. Cynizm staje się niemożliwy, znużenie nie do pomyślenia.

Ponownie usiadł na sofie i zerknął na zegarek. Za minutę ósma. Wtorek. Uśmiech przygasł i serce podeszło Samowi do gardła. Jeszcze trzy dni...

Do czego? zapytywał samego siebie. Mercy go kochała. Tucker nie zmieni tego, niezależnie czy znajduje się tuż obok, czy na drugim krańcu Ameryki. Nikt tego nie zmieni.

*Nie myśleć.*

Pukanie do drzwi niemalże zaskoczyło Sama. Wstał, wygładził marynarkę, wyprostował krawat, podszedł do drzwi i otworzył je. Na widok Mercy dech zaparło mu w piersiach.

Nigdy dotąd nie widział jej w sukience - i nigdy nie widział sukienki takiej, jaką teraz Mercy miała na sobie. Nie było wiele

do oglądania: połyskliwa szmatką w głębokim, purpurowym kolorze, uwypuklająca biodra, pozostawiająca nagie ramiona i zgrabne nogi. W uszach miała długie do ramion dźwięczące kolczyki; jej włosy były jedną wielką płataniną loków zaczesanych na bok.

- Cześć - powiedziała Mercy cicho, przechylając głowę. Kolczyki rozbłysły nieziemskim światłem. Cała jej postać wyrażała spokój i pewność siebie. - Zastanawiałam się, czy mógłby mi pan dać swój autograf, panie Christie - zapytała, kołysząc się na piętach. - Jestem pana wielką wielbicielek.

Sam kiwnął głową, opierając się ciężko o klamkę.

- Możesz dostać mój autograf. Możesz dostać... co tylko... zechcesz.

- W takim razie - Mercy uśmiechnęła się figlarnie, mijając Sama w drzwiach - lepiej wejdę do środka. To może trochę potrwać.

Sam przełknął ślinę i zamknął drzwi. Gdy odwrócił się w stronę Mercy, ta już porzuciła pozę dziewczyny z okładki i stała na środku pokoju, patrząc na Sama ciemnymi, spragnionymi oczami. Sam postąpił krok w jej stronę i wyszeptał:

- Och, maleńka.

Zanim którekolwiek z nich zorientowało się, co się dzieje, już się obejmowali, całowali i szeptali słowa miłości. Sam uważał na sukienkę; była bardzo piękna, a jemu wydawało się, że za najłżejszym dotknięciem rozerwie się w strzępy. Gładził rękoma plecy Mercy, przebierał palcami w jej włosach, unosząc jedwabiste kosmyki i pozwalając im się osuwać bezwładnie. Nie spodziewał się, że tak szybko straci panowanie nad sobą, podobnie

jak rano nie spodziewał się, że ogarnie go tak wyniszczająca tęsknota. Mercy była dla niego potężnym narkotykiem. Uzależnił się od pierwszego spojrzenia.

- Potargasz mi włosy - mruknęła beztrudno Mercy. - Staralam się dla ciebie wyglądać szczególnie ładnie.

Sam przesunął językiem po jej wargach.

- Tak właśnie wyglądasz...
- Nie mam na sobie czarnej koronkowej bielizny...
- To był żart...
- Wcale nie mam na sobie bielizny.

Sam zamknął oczy i jęknął. Starał się odsunąć Mercy od siebie, lecz ona przytuliła się mocniej.

- Mercy, znów zamieniłem się w rozerotyżowanego nastolatka. Musimy być... musisz być ze mną ostrożna. Bądź miła...

- Jestem miła - mruknęła Mercy, zrzucając buty i wspinając się na palce, aby wycisnąć na ustach Sama pocałunek motyla. - Widzisz? Czy to nie było miłe?

- Mercy, w piecyku grzeje się pieczeń...
- Zachichotała, ocierając się o Sama niczym senny kociak,
- Samie Christie, tak cię kocham. Zabierz mnie do sypialni i kochajmy się dziko i namiętnie. - Zniżyła głos do gardłowego szeptu. - Już minęło jedenaście godzin od... no wiesz.

Sam odetchnął głęboko i poddał się rozmachowi tej zdumiewającej, cudownej kobiety.

- Jedenaście godzin? Nie zdawałem sobie sprawy, że to już tak długo. Biedna maleńka.

- Biedny maleńki.

- Zawsze możemy zjeść później.
- Możemy zjeść i teraz, i później - powiedziała Mercy filuternie.

Po drodze do sypialni okryli się pocałunkami. Ciemności przebijała stojąca w kącie pojedyncza lampa, rzucająca srebrzystą poświatę.. Sam uniósł Mercy i ułożył ją delikatnie na łóżku. Chciał do niej dołączyć, lecz odepchnęła ręką jego pierś.

- Zamyśl się - rozkazała. - Zdejmij ubranie i zamyśl się jak diabli.

Sam wyprostował się z wolna, gapiąc się na Mercy.

- Co?
- No dobrze, nie musisz się zamyślać. - Podparła się na łokciach i uśmiech zajaśniał na jej wilgotnych wargach. - Po prostu zdejmij ubranie. I dziękuję... z góry. Sam spojrzał na nią bawdawczo.

- Za co?
- Z a zdejmowanie go bardzo powoli.
- Poczekaj, niech załapię. - Sam zmierzył Mercy wzrokiem, przyglądając się smukłemu, kształtnemu ciału, spoczywającemu bez ruchu na łóżku. Obcisła krótką spódniczka podciągnęła się, odsłaniając uda. - Chcesz ze mnie zrobić widowisko?

Mercy potrząsnęła głową z szeroko otwartymi oczami. Wyglądała jak wcielenie szczerości..

- Nie, moja miłości, moje kochanie. Chcę, żebyś się dla mnie rozebrał... po kawałku. Możesz udawać, że gramy w rozbieranego pokera, a ty ciągle przegrywasz. - Pociągnęła palcami materiał sukienki, zsuwając stanik jeszcze niżej, co niemalże przy-

prawiło Sama o atak serca. - Ja mam na sobie tylko tę szmatkę. Mogę ją zdjąć w sekundę.

- Rozumiem. - Sam niespiesznie obszedł łóżko. - Mała Mercy chce się zabawić, co? - Z uśmiechem zerwał z siebie marynarkę i rzucił ją beztrząsco na podłogę. - No cóż, jak chcesz, kochanie. Nie jestem co prawda wcieleniem piękna...

- Krawat - szepnęła Mercy, wyciągając nogi i krzyżując je w kostkach. Przebierała palcami stóp.

- Krawat - powtórzył jak echo Sam. Zerwał go jedną ręką, patrząc na Mercy spod przymrużonych powiek. - Czy dajesz napiwki? - zapytał, ciskając skrawek materiału na brzeg łóżka.

- Dopiero jak dojdiesz do bielizny Comfort Weave. - Głos Mercy był lekko napięty. Zdumiewające, jak podniecająca może być prosta czynność zdejmowania krawata. - Wiesz, chłopcze, myślę, że masz do tego prawdziwy talent.

Na twarzy Sama pojawiła się czujność i krople potu. Patrzył na Mercy, nie mrugając oczami ani nie zdejmując z niej spojrzenia.

- Inaczej sobie wyobrażam moją karierę. - Rozpiął mankiety, po czym zabrał się do guzików koszuli. W końcu odsłonił pięknie zbudowaną klatkę piersiową i wciągnięty brzuch. Odrzucił koszulę z wyrazem niemalże okrucieństwa w błękitnych oczach.

- Litości - szepnęła Mercy, czując nagły, bolesny przypyływ pożądania.

- Wiesz co? - Sam przysunął się do łóżka, zbliżając ręce do paska spodni. - Chyba mam atak nieśmiałości. Będziesz musiała mi pomóc.



Mercy ukłękła na łóżku i trzęsącymi się palcami dotknęła oszalałymi dołeczków pomiędzy zębami Sama. Powoli osunęła ręce w kierunku suwaka. Odpięła go na centymetr lub dwa, po czym opuściła bezwładnie ręce i popatrzyła na Sama.

- Nie mogę. Chyba oszaleję.

- To dobrze - po wiedział Sam, jednym ruchem odpinając suwak i odrzucając spodnie. Osunął się na łóżko i zdarł sukienkę z Mercy. Ciało Mercy było rozgrzane i zapraszające; wiedziało już, jaką przyjemność i radość potrafi mu dać Sam. On zaś w wyniku podniecającej gry miłosnej znalazł się na skraju szczytowej rozkoszy; starał się powstrzymać, lecz Mercy zarzuciła mu nogi na ramiona, prężąc całe ciało i wabiąc go. Zatopił się w niej z rozpaczliwym okrzykiem<sup>^</sup> rozpalając się jeszcze bardziej, gdy wyczuł niecierpliwe pożądanie przepelniające Mercy. Zdał sobie sprawę, że pod maską delikatności ukrywała ona niezwykłą siłę, że pożądała obcowania ciał i dusz tak samo jak on. Okrył twarz, wargi i włosy Mercy deszczem pocałunków, nie dbając, gdzie trafiają jego pieszczoty. Przyjmowała w siebie całą jego namiętność i prosiła o jeszcze. Pożądali spełnienia, lecz odsuwali ten moment w nieskończoność i igrali na wąskiej jak ostrze noża krawędzi; między rozkoszą a cierpieniem. Gdy w końcu nadeszło to, co nieuniknione, byli rozpaczliwie uwikłani w siebie. Szczęście kobiety było szczęściem mężczyzny, szczęście mężczyzny - szczęściem kobiety. Wspólnie podążali pełną niebezpieczeństw drogą w stronę zapierającego dech w piersiach, słodkiego przeznaczenia.

Jedli kanapki z tuńczykiem przy blasku świec.

Wykrywacz dymu odezwał się dwukrotnie podczas ich posiłku. W powietrzu wciąż wyczuwało się swąd spalonej pieczeni, mimo że Sam otworzył na oścież wszystkie okna. Mercy miała zarzucony na ramiona ciepły koc dla ochrony przed powiewami zimnego wiatru. Nie troszczyli się zbyt o ubiór stosowny do kolacji. Pod kocem Mercy miała na sobie jedynie olbrzymi podkoszulek Sama i wełniane skarpetki.. Sam wdział swój ulubiony szlafrok i - dla elegancji -czarny, wiązany krawat. Kanapki popijali znakomitym winem.. .

- Szkoda, że masz kłopoty z kolanami - westchnęła. Mercy, leniwie wodząc koniuszkiem palca po-brzegu kieliszka. - Gdyby nie to, śmiało mógłbyś udawać figurkę tancerza w stylu chippendale. Jesteś wprost stworzony do tańczenia, pływania i wirowania.

- Zmieńmy temat - wymamrotał Sam. – Zawstydzasz mnie.

Mercy spojrzała nań w zachwycie. Oto mężczyzna, którego ciało rozstawiło bieliznę Comfort Weave, rumieni się jak dzieciak.

- Nigdy nie przestaniesz mnie zadziwiać, Samie Christie. Cały czas szukam w tobie śladów buńczucznej samochwały z magazynów i telewizji, ale ich nie'znajduję. Czy wiesz, że oglądałam wywiad z tobą, zanim wystartowałeś w zjeździe? Pamiętam, że miałeś kolczyki w uszach i włosy do ramion i powiedziałeś...

- Przywiozę do kraju złoto - dokończył Sam, potrząsając głową. - Czyż nie byłem oryginalny? Musiałabyś ze świecą

szukać kogoś równie egoistycznego i pewnego siebie jak ja.  
Jeszcze raz zmienmy temat, dobrze?

- Nie mogę uwierzyć, że to byłeś ty. Jesteś taki słodki, taki bezpretensjonalny...

Sam uśmiechnął się szeroko.

- Przede wszystkim mam trzydzieści cztery lata i karierę narciarską już poza sobą. Mniej więcej cztery lata temu zdałem sobie sprawę, że powinienem przejść na emeryturę. Zrobiłem furorę jedynie dzięki opalonej skórze, zdrowym zębom i zastrzykom z kortyzonu. Trudno udawać mężczyznę doskonałego, gdy się jest emerytem.

Uszczęśliwiona Mercy przyglądała się pięknej twarzy Sama.

- Dla mnie jesteś mężczyzną doskonałym. I gdyby nie kolana, mógłbyś z powodzeniem być tancerzem w stylu chippendale.

- Dziękuję - powiedział Sam - ale mam inne plany. Złożyłem ofertę sieci programów sportowych. Mogę przygotować barwne komentarze dla działu narciarskiego. Jeżeli to wyjdzie, będę mógł zażerać się pizzami, przestać pracować w reklamie i nie przejmować się wyłazącą ze spodni koszulą. - Uśmiechnął się i pogładził palcami podbródek. - To jest bardziej dystygowana metoda Zarabiania na życie, no nie?

Mercy nachyliła się nad resztkami kanapek z tuńczykiem i ucałowała Sama z tęskną słodyczą.

- Moim zdaniem jesteś najseksowniejszym, najcudowniejszym i najbardziej utalentowanym emerytem, w którym zakochałam się bez pamięci. I chciałabym ci podziękować. Z góry.

Sam zaśmiał się słabo, trąc się z Mercy nos o nos.

- Och, nie. Pani, twe żądania są zbyt wygórowane.
- Nie, nie, nie... Nie mam zamiaru wymagać zbyt wiele od twego biednego, starczego ciała. Chcę spędzić z tobą weekend poza miastem.

Uśmiech zniknął Samowi z twarzy. Wyprostował się na krześle i obserwował bacznie Mercy. - Naprawdę?

- Nigdy nie byłam w kurorcie narciarskim. Moglibyśmy pojechać do Aspen. Wiem, że jest wiosna, ale i tak mogłoby być przyjemnie. Możemy włączyć się po górach, a ty będziesz mi opowiadać historie z dawnych dobrych czasów niczym prawdziwy emeryt. Co ty na to?

Sam odrzucił głowę na oparcie krzesła i popatrzył w sufit. Minęła długa chwila, zanim się odezwał:

- Powiem ci, co o tym myślę. Myślę, że Tucker przyjeżdża w piątek do miasta. Myślę, że wolisz bawić się w chowanego niż spojrzeć mu w twarz.

Mercy odwróciła wzrok.

- Tucker nie ma z tym nic wspólnego.
- Owszem, ma.
- W porządku - powiedziała Mercy spokojnie, wygładzając obrus koniuszkami palców. - Nie chcę się sprzeczać. To była tylko propozycja. Zapomnij o tym.

Sam uniósł głowę i spojrzał na Mercy. Szczęki drgnęły mu lekko, Mercy nagle zaczęła być bardzo skryta. Sam zapragnął, aby na niego spojrzała.

- Odpowiedz mi na jedno pytanie, Mercy. Czego ty się boisz?

Mercy nawinęła brzeg obrusa na palce.

- Niczego się nie boję. Po prostu chciałabym spędzić z tobą weekend, to wszystko.

Sam przez moment czuł, jak ogarnia go panika, ale szybko się opanował. „Mam jeszcze trzy dni” - powtarzał sobie. Wykorzysta je jak najlepiej, tak aby każda godzina była bogata w wydarzenia, kompletna i zaspokajająca wszelkie pragnienia. Nie mógł sobie wyobrazić bajecznej przyszłości z Mercy, której myśli wciąż zaprzęta Tucker, a więc nie będzie w ogóle myślał o przyszłości. Nie będzie.

- Nie będzie, do diabła.

Sam wstał gwałtownie i zdmuchnął świece. - Wracajmy do łóżka.

- Sam...

Spojrzał w dół na Mercy. Jego oczy wyjaśniły jej wszystko, czego nie pozwalały mu wyjaśnić wprost duma i strach.

- Potrzebuję cię, Mercy. Bądź dziś dla mnie dobra.

Wśród mroku zalegającego pokój Mercy dostrzegła łagodne oczy, złotobiałe włosy i twarz, z której można było wyczytać zapierające dech w piersiach przesłanie. Wstała więc i przytuliła się mocno do mężczyzny.

- Będę dla ciebie dobra - szepnęła, czując jak pod dotykiem jej palców przez szerokie plecy Sama przebiega dreszcz. Nagle zapragnęła uspokoić i zaopiekować się swoim mężczyzną. - Kocham cię, Sam. Tak bardzo cię kocham.

I tak spędzili jeszcze jedną noc w krainie marzeń.

## **ROZDZIAŁ 9**

Mercy przyglądała się twarzy kochanka w łagodnym świetle poranka. Sam Christie był rozkoszny w beztróskim nieładzie snu. Przez zmierzwiłone włosy przeświecało słońce, na policzkach ocienionych gęstymi złotymi rzęsami pojawiły się jasne słoneczne plamki. Usta miał lekko rozchylone. Widząc bezbronny wyraz pięknej twarzy, Mercy uśmiechnęła się i ucałowała, najdelikatniej jak umiała, czubek głowy Sama. Był kochanym, cudownym mężczyzną w tak krótkim czasie dał jej tak wiele. Nie tylko namiętność, lecz także słodkie preludia do namiętności, których dotychczas nigdy nie doświadczyła: śmiech... kilka łez... naręcza stokrotek... i tyle zrozumienia. Mercy przypominała sobie dotyk dłoni i warg Sama, pieszczotę mocnych nóg, splecionych z jej nogami w miłosnym uścisku. Ogarnęło ją pragnienie, aby obudzić kochanka sennymi pocałunkami i szepotanymi słowami miłości, lecz rzeczywistość zaglądała już przez rozświetlone okno sypialni. Bal Kopciuszka się skończył, należało stawić czoło nowemu dniu. Nie byłoby mądrze spóźnić się do pracy przez dwa dni z rzędu.

Serce Mercy ścisnęło się, gdy wyszła od Sama i zmierzała schodami w dół do mieszkania. Chyba już zawsze, opuszczając

tego mężczyznę, będzie odczuwać przeszywający ból w sercu. Podążyła myślami w krainę pięknych marzeń, ciepłych wspomnień. I nagle uświadomiła sobie, że całą duszą pożąda nowych doznań, że niecierpliwie oczekuje końca dnia, aby móc wrócić do Sama. Gdy byli razem, każda chwila kryła w sobie wielką, cudowną tajemnicę. Bez Sama życie wydawało się takie prozaiczne. Jakże trudno było jej udawać., że jest zwykłą kobietą spieszącą do pracy w środowy poranek. Usilnie starała się myśleć, wyglądać i zachowywać odpowiedzialnie. Nie była już taka jak inne kobiety. Była kobietą Sama Christie i to ją wyróżniało. Wiedziała, że nigdy nie zazna spokoju, będąc Z dala od niego. Już za nim tęskniła. Przy drzwiach mieszkania musiała zwalczyć w sobie pokusę powrotu na górę i zwierzenia się Samowi ze swej miłości i tęsknoty.

Ale była już ósma, a Tommy Evans nie sływał z pobłażliwości. Mercy wzięła prysznic, przebrała się w czarny kaszmirowy podkoszulek i spodnie koloru khaki, po czym spędziła pięć minut penetrując mieszkanie w poszukiwaniu czarnych mokasyków. Leżąc na brzuchu, zaglądała właśnie pod łóżko, gdy ktoś zapukał do drzwi.

- Sam!

Roześmiana, boso podbiegła do drzwi. Biedaczysko, prawdopodobnie doznał szoku, gdy otworzył oczy i zobaczył, że ukochana się wyniosła. Pewnie potrzebował całusa, który wzmocniłby go i pozwolił stawić czoło całemu dniu bez Mercy.

Otworzyła drzwi na oścież z wielkim, szczenięcym szczęśliwym uśmiechem na twarzy.

- Tak się cieszę...

Tucker Healy uśmiechnął się i oparł niedbale biodrem o framugę.

- Ja też się cieszę, że cię widzę, Pączusiu.

Mercy patrzyła nań z niedowierzaniem przez jakieś dziesięć sekund, po czym pokręciła głową; tylko na tyle było ją stać. Te same zielone oczy, ten sam uśmiech, który zaprzętał jej myśli przez całe lata.

- Tucker - szepnęła. Po czym żenująco piskliwym głosem zapytała: - Co ty tu robisz?

- Zmęczyła mnie już bezustanna pogoń za tobą. Napisałem, że przyjadę w piątek, aby mieć pewność, że w środę będziesz w domu. - Nie czekając na zaproszenie, wszedł do mieszkania i rozejrzał się wokół z wielkim zainteresowaniem. - Ładne miejsce. Podoba mi się, zwłaszcza ta fotografia na kominku.

Mercy natychmiast pożałowała, że nie wyrzuciła zdjęcia Tuckera do śmieci. W ustach jej zaschło ze zdenerwowania; szybko zamknęła drzwi.

- Nie powinieneś przyjeżdżać. Tu nie ma nic dla ciebie. Nie spiesząc się Tucker przeszedł przez pokój i wyrzwał

przez okno. W końcu zwrócił się twarzą do Mercy, przysiadając na parapecie i krzyżując ręce na piersi. Miał na sobie świetnie podkreślającą kolor oczu butelkowo zieloną koszulę z zawiniętymi do łokci rękawami.

- Dziecino - odezwał się w końcu z beztróskim rozważaniem. - Stałaś się bardzo niezależna, żyjąc w tej samotni.

- Zgadza się - odparła Mercy zdecydowanie. - Stałam się niezależna. A ty jesteś ostatnią osobą, której bym potrzebowała.



- Naprawdę? - Tucker spojrział jej prosto w oczy i uśmiechnął się jeszcze szerzej. - Jeżeli jesteś aż tak niezależna, to dlaczego masz twarz koloru białego sera? Chyba nie spodziewasz się, że uwierzę, iż nic do mnie nie czujesz?

- Wierz sobie, w co chcesz. Naprawdę mnie to nie obchodzi. - Spokojny głos kosztował ją bardzo wiele, Chciała uciec, chciała się ukryć, chciała pobiec na górę do łóżka Sama i narzucić kołdrę na głowę. Przez tyle lat Tucker miał absolutną władzę nad jej uczuciami. W głębi duszy zaczynała popadać w panikę. Nie mogła się wyzbyć bezpodstawnego strachu. Tucker nadal był w stanie wyrzucić jej życie do góry nogami. Jego imię było dla Mercy synonimem kłopotów i niepokoju. - Wszystko skończone, Tucker. Powiedziałam ci to, wyjeżdżając z Nowego Jorku, i nie skłamałam.

- Czy tak? - Tucker nadal był uprzedzająco słodki i pewny swojej przewagi. - Nie twierdzę, że nie należało ci się trochę czasu tylko dla siebie. Ale to już trwa dwa miesiące, Mercy... wystarczająco długo, abyśmy oboje zdali sobie sprawę, co jest w życiu najważniejsze.

- Masz całkowitą rację. - Mercy ukryła dłonie za plecami, aby Tucker nie zauważył, jak się trzęsą. - Możesz w to wierzyć lub nie, ale w końcu ułożyłam w odpowiedniej kolejności listę najważniejszych dla mnie spraw. I wiesz co? Nie jesteś już na czele tej listy. W ogóle już cię na niej nie ma.

Tucker uniósł brwi i gwizdnął z cicha.

- A więc mała Mercy pokazuje pazury. W porządku, chyba na to zasłużyłem. Nie mogę cię winić za to, że chcesz mnie mieć

tylko dla siebie. Zdaję sobie sprawę, że cię zraniłem. Dam sobie uciąć obie ręce, jeżeli to się zdarzy znowu,

- Nigdy nic nie obiecuj zbyt pochopnie, Tucker. - Mercy stała się nagle bardzo wymowna. Ścisnęła dłońmi kolana. Usiadła na sofie, wzięła głęboki oddech i przygarbiła ramiona. Poczowała zimny dreszcz biegnący wzdłuż kręgosłupa. „Następna w programie - pomyślała Mercy ponuro - niewątpliwie jest klasyczna czkawka”. - Gdyby oi odcięli ramiona, nie mógłbyś grać, prawda? Nie mógłbyś pić kufłowego piwa, nie mógłbyś tańczyć ze wszystkimi pięknymi dziewczynami, które proszą cię o autograf. Nie, lepiej nie obiecuj czegoś takiego. Bądźmy praktyczni. Powiedz na przykład: „Dam sobie obciąć włosy, zanim znów cię skrzywdzę, Mercy”: Taka obietnica zbytnio cię nie zwiąże. Włosy zawsze odrosną.

Po raz pierwszy w oczach Tuekera zabłysła niepewność.

- Mercy, całkowicie się zmieniłaś. Dawniej nigdy byś mi się tak nie odcięła.

- Marnujesz czas, Tucker. Wracaj do domu. Tucker wstał powoli i zbliżył się do Mercy.

- Ależ dopiero co przyjechałem. Dlaczego miałbym wracać do domu?

Wyciągał już do niej ramiona, gdy nagle rozległo się pukanie do drzwi. Zanim Mercy zdążyła się poruszyć, do pokoju już wszedł uśmiechnięty Sam - i nagle zobaczył Tuckera. Zesztywniał wyraźnie i porównał wzrokiem fizjonomię gościa z fotografią stojącą na kominku. Wyraz twarzy Sama mówił, że spotkały go w życiu weselsze niespodzianki.

- Gwiazdka coś wcześniej nadeszła tego roku - powiedział.

Mercy wstała, z niezręcznym pośpiechem, czując się jak marionetka pociągana za sznurki w przeciwnie strony.

- Sam...

- Sam? - powtórzył jak echo Tucker, mrużąc oczy.

- Tak, Sam - ucięła Mercy, tracąc cierpliwość. - Nie bądź taki zaskoczony. Już nie jesteśmy zaręczeni. Nie jestem ci winna żadnych wyjaśnień. Nic ci nie jestem winna.

- Cóż za interesujący rozwój sytuacji - mruknął Tucker, obchodząc powoli sofę i wyciągając rękę do Sama. - Poznaję pana. Sam Christie, prawda?

Sam poczuł, jak mimowolny skurez ściąga mu mięśnie brzucha, gdy musnął dłonią rękę rywala.

- Zgadza się. A pan musi być Tuckerem Healym. Mercy opowiadała mi o panu.

- Czy tak? - Tucker spojrzał na Mercy i ściszył głos, -A więc zaprzyjaźniłaś się ze słynnym Samem Christie. Małeńka Mercy może nam sprawić jeszcze niejedną niespodziankę. - Po czym, zwracając się do Sama, powiedział: -Słyszałem, że zrezygnował pań z zawodowego narciarstwa parę lat temu.

- To prawda. - Sam wykrzywił usta w uśmiechu, lecz zachował ściągnięty, nieobecny wyraz twarzy. - Prawie cztery lata temu.

- To musiał być cios, tak wypaść z gry. - Tucker potrząsnął głową i wzruszył ramionami. - Nie chcę nawet o tym myśleć. Oczywiście zacznę się o to martwić dopiero gdzieś za dziesięć lat. Na razie jestem w szczytowej formie. *Nie będziesz, jeżeli wyrzucę cię przez okno.*

- To naprawdę miło - odparł Sam bezbarwnym głosem, chociaż w głębi duszy aż kipiał z wściekłości. Powinien jeszcze mieć dwa dni z Mercy przed inwazją Tuckera. Do diabła, do diabła, do diabła, do diabła. Dlaczego najgorsze przychodzi wtedy, gdy człowiek najmniej się tego spodziewa. - Mercy mówiła mi, że wspólnie dorastaliście.

- To prawda. - Tucker uśmiechnął się do Mercy, która stała na środku pokoju niczym słup soli. - Zawsze byliśmy ze sobą bardzo blisko. Jeżeli już o to chodzi, czułem się bez niej bardzo samotny przez te kilka miesięcy. Przyleciałem do Denver z nadzieją, że uda mi się namówić Mercy, aby spędziła ze mną trochę czasu.

- Już ci mówiłam - powiedziała Mercy cicho. - Marnujesz tylko czas, Tucker. Nie mamy sobie nic do powiedzenia.

- To szkoda. - Błyszczące oczy Tuckera pieszczotliwie objęły figurę Mercy. Taki wzrok w przeszłości zawsze na nią działał. - Przyjechałem tylko po to, aby się z tobą zobaczyć. No, Mercy. Czy nie możesz poświęcić kilku godzin na kolację ze starym przyjacielem? Proszę tylko o kilka godzin.

Mercy czuła się, jakby dostała obuchem w głowę. Cała sytuacja była nierealna. Tucker odgrywający rolę uroczego chłopca z sąsiedztwa, sugerujący, że potrzeba mu tylko godzin, aby na powrót zdobyć jej serce. Sam - daleki, zamknięty w sobie, odsunięty od Mercy. Patrząc to na jednego; to na drugiego, poczuła przesywająco zimny dreszcz, Nie wiedziała, jak dotrzeć do któregośkolwiek z nich,

- Tucker, już ci mówiłam. Nie mogę się z tobą spotkać. Sami ja...

- Właściwie, to mogłoby się udać. - „Kto to powiedział?” - zastanowił się Sam. Czy to rzeczywiście był jego głos, taki przyjacielski i opanowany? Zdumiewające, do czego jest zdolny zakochany mężczyzna. - Zszedłem na dół, żeby ci to powiedzieć - kłamał jak z nut Sam z przepaszającym uśmiechem na ustach. - Obawiam się, że muszę wyjechać z miasta. Interesy. Jeden z ważniaków z telewizji chce przedyskutować mój nowy kontrakt. Nie będzie mnie. kilka dni, a więc masz mnóstwo czasu dla Tuckera.

Mercy popatrzyła na Sama. Tego się zupełnie nie spodziewała. Dlaczego Sam jej nie pomaga? Dlaczego nic nie ułatwia?

- Czy ty mnie... opuszczasz? - zapytała ochryple, starając się przekazać mu wzrokiem, jak bardzo go potrzebuje.

- Obawiam się, że tak. Nie mam wyboru. - Serce biło mu szybko, bardzo szybko. Wiedział, że rani Mercy, i nie ma słów, aby opisać, jak się czuł, mając tego świadomość. Mimo wszystko umycie rąk od całej sprawy było mniej okrutne niż ciągnięcie Mercy w kilku kierunkach naraz. Musi sama dokonać wyboru. Nie pomoże jej się ukryć, nie będzie jej błagać. Poprzestanie na miłości i nadziei. - ' Wróć w niedzielę lub poniedziałek. To da wam mnóstwo czasu na... uporządkowanie waszych spraw.

Mercy wciągnęła powietrze, czując zimno zalegające jej w sercu.

- A więc to tak- szepnęła. Poczuli się opuszczona. Nagle wszystko rozpadło się w pył, nic nie działo się tak, jak powinno. Jedyna ostoja, którą uważała za pewną i niezawodną, pękła niczym bańka mydlana. Mercy została pozostawiona samej sobie.

Odgarnęła włosy z czoła i uśmiechnęła się do Tuckera, ignorując pewny siebie wyraz jego twarzy. - To jest chyba odpowiedź na twoje pytanie. Kolacja dziś wieczór?

- Doskonale - mruknął Tucker z zadowoleniem. Podszedł do drzwi i rzucił niedbale w stronę Sama: - Miło było pana poznać, .Christie. Zaopiekuję się naszą dziewczyną podczas pańskiej nieobecności.

Naszą dziewczyną. To niemalże przepeliło czarę. Sam przyglądał się, jak Tucker otwiera drzwi i zacisnął dłonie w pięści. Ku swemu zdumieniu jednak zdołał zachować spokój.

- Spodziewam się, Tucker.

- O ósmej? -zapytał Tucker Mercy. Kiwnęła głową.

Tucker przesłał jej całusa i zamknął drzwi.

W pokoju zaległa martwa cisza. Sam spojrzął na Mercy. Chciał odejść, zanim szlachetne intencje wywietrzeją mu z głowy. Przez moment przyglądał się twarzy Mercy: nieobecnym ciemnym oczom, słodkim, delikatnym policzkom. Nigdy dotąd nie wydała mu się tak bliska - i tak odległa.

Mój samolot odlatuje za godzinę. - Sam, przymuszony, okazywał pewien talent do improwizowania. - Muszę się spakować. Zadzwoń do ciebie po powrocie." W porządku?

- W porządku? Oczywiście, po prostu... - Głos jej się załamał, ścisnęło ją w gardle, -Nie ma sprawy.

Chciał ją pocałować, ale odsunęła się, patrząc na Sama z rozdzierającym zmieszaniem. Cofnął się i zapowiedź uśmiechu zajaśniała mu na wargach.

- Ja cię nie porzucam, kochanie. Urażona Mercy powiedziała cicho:

- Naprawdę? Cóż, tak mi się właśnie wydawało.
- Mylisz się. To nie jest pożegnanie, Mercy.
- No cóż, wiem, że nie jest to powitanie. Według ciebie nie jest to również pożegnanie. Więc co to jest, Sam?
- To jest...- Zaśmiał się gorzko, czując, że traci panowanie nad sobą. - To jest jeden z tych bolesnych środków. -Odwrócił się i lekko kulejąc, podszedł do drzwi. „Zbliża się kolejna burza” - pomyślał. Ból promieniował z nogi w stronę klatki piersiowej, dosięgając serca. Nie odważył się spojrzeć na Mercy, Nie był pewien, co wyczyta z jego twarzy. -Na razie - powiedział i, przymykając oczy, otworzył drzwi. - Uważaj na siebie.
- Chyba nie mam innego wyjścia, prawda? - odparła Mercy gorzko.

\* \* \*

Mercy zachowywała się jak w transie.

Ubierała się na randkę z Tuckerem machinalnie, korzystając z doświadczenia nabytego podczas piętnasta lat znajomości. Tucker lubił kolor niebieski. Miała w szafie niebieską sukienkę, nie noszoną od czasu wyjazdu z Nowego Jorku. Nie lubiła jej, ale słyszała od Tuckera same komplementy, ilekroć ją założyła. Zakreśliła włosy na gorące wałki, parząc sobie przy tym skórę głowy, i spryskała się perfumami, które dostała od byłego narzeczonego na gwiazdkę. Zdumiewając", jak łatwo wpadła znów w starą rutynę.

W środku czuła pustkę. Tęskniła za nim. Za Samem... za swoim przyjacielem...

Nałożyła na twarz grubszy niż zwykle makijaż. Czerwone wargi. Czerwone policzki. Mocno wymalowane oczy.

*Gdzie on teraz jest? Jak się czuje?*

Założyła buty na niewygodnie wysokich obcasach. Idealnie pasowały do znenawidzonej sukienki. Założyła pasujące do tego stroju kolczyki. Spojrzała na zegar, by się przekonać, że jest pięć po ósmej. Tucker zawsze się spóźniał, lecz przypuszczała, że tego wieczoru nie spóźni się zbytnio. Za bardzo się starał.

Przeszła wzdłuż ciągnącego się przez całą ścianę lustra, po czym zatrzymała w pół kroku na swoich wysokich obcasach. Powoli wróciła przed zwierciadło i ze zmarszczonymi brwiami przyglądała się swemu odbiciu.

Kim była ta kobieta?

Wyglądała jak króliczek z klubu Playboya... albo jak Pączuś. Miękka i aksamitna, urocze maleństwo kołyszące się na zbyt wysokich obcasach. Wyolbrzymione przez makijaż oczy zdominowały bladą twarz w kształcie serca. Kobieta ta była dla Mercy jakby znajoma. Znajoma, lecz tak naprawdę nigdy nie lubiana. Nie podniosła jej na duchu pewność, że Tucker zaprobuje całym sercem wygląd tej kobiety; Opinia Tuckera nie liczyła się już dla Mercy. Już nie.

Mercy usiadła ciężko na skraju łóżka. Kiedyś pragnienie zadowolenia Tuckera dominowało nad jej własnymi uczuciami. Jeżeli podobała mu się jej sukienka, jeżeli podobały mu się jej



włosy, to ona też była zadowolona ze swojego wyglądu, Jeżeli czegoś nie zaakceptował, czuła się z tego powodu winna. Gdy w końcu od niego odeszła i mogła zająć się spełnieniem własnych pragnień, poczuła niewymowną ulgę. Sam kiedyś zapytał, czego ona się właściwie obawia. Teraz odpowiedź była tak oczywista, że Mercy aż się nią zachłysnęła. Myślała, że tak naprawdę może się uwolnić od Tuckera, jedynie gdy jest z dala od niego. I przez pewien czas to rzeczywiście było prawdą. Ale teraz już nie. Oczy jej zabłyśły, ale nie łzami. Serce jej się skurczyło, ale nie z bólu. Po prostu poczuła litość dla tego spóźniającego się, winnego wszystkiemu mężczyzny.

Wstała i jeszcze raz spojrzała na swoje odbicie.

- Czas, aby objawiła się prawdziwa Mercy Rose - mruknęła z budzącym się do życia uśmiechem. - Umówiłaś się dzisiaj na randkę, kochana. Powinnaś się zacząć szykować.

Tucker przyszedł o wpół do dziewiątej. Wygląd Mercy Rose Sullivan witającej go w drzwiach zaskoczył go tak bardzo, że aż upuścił przyniesione narzędzie róż.

- Wielkie nieba! - wykrzyknął, przyglądając się jej ze zdumieniem. - Powiedziałem, że będę o ósmej. Dlaczego nie jesteś gotowa?

Mercy wzruszyła ramionami, odsuwając lekko w tył baseballową czapkę.

- Jestem gotowa, Tucker. Nie miałam ochoty się dziś specjalnie odstawiać. - Miała na sobie czerwone buty, jasnoniebieskie dżinsy i biały, robiony na drutach sweter, sięgający jej do kolan. Uśmiechnęła się, gdy spostrzegła, że Tucker z szaleń-

stwem w oczach stara się wypatrzeć jej biust pod grubą materią.

- Co się stało?

- Co się stało?! Wyglądasz jak chłopak; oto co się stało. Co w ciebie wstąpiło?

- Co we mnie wstąpiło? - powtórzyła Mercy w zamyśleniu. - To dobre pytanie, Tucker. Ja w siebie wstąpiłam. Umówiłeś się na kolację z Mercy Rose Sullivan i Mercy Rose stawiała się na spotkanie. Mam dziś ochotę nosić dzinsy. Mam ochotę związać włosy w koński ogon. Te buty są bardzo wygodne, sweter też. Lubię tę czapkę. Myślę, że dodaje mi ona wdzięku. Rozumiem., że nie możesz się w tym stroju napawać widokiem moich kształtów, ale w życiu trzebażaznać trochę rozczarowań.

Tucker przeszedł przez pokój i rzucił róże na mały stolik. Wyglądał jak wyrośnięty chłopiec, którego zmuszono do zjedzenia szpinaku na obiad.

- W porządku, Pączusiu. Punkt dla ciebie. Jesteś bardzo niezależna i ubierasz się, jak chcesz. A teraz załóż ładną sukienkę i wychodzimy. Jestem wściekle głodny.

.Mercy jednak musiała zdobyć jeszcze jeden punkt. Podeszła do Tuckera tak blisko, że niemalże dotknęła się nosami i ścisnęła drobnymi dłońmi jego ramiona.

- Muszę ci coś powiedzieć, Tucker. Nienawidzę tego przezwiska: „Pączuś”. Zawsze nienawidziłam. Nie nazywaj mnie tak więcej. Nie jestem Pączusiem. Nazywam się Mercy Rose Sullivan, a nie Mercy Rose Healy, dzięki Bogu.

Tucker strząsnął z siebie jej rękę i rozejrzał dookoła dziko; jak gdyby podejrzewał, że trafił do niewłaściwego mieszkania.

- Nic z tego nie rozumiem. Kiedy wychodziłem stąd dziś rano, wszystko było w porządku. A teraz zmieniłaś się.... zamieniłaś się w...

- W siebie - powiedziała Mercy z naciskiem, potrząsając końskim ogonem. - Jak ci się podobam, Tucker? Zresztą to nie ma dla mnie żadnego znaczenia. Ja się sobie podobam. Z chęcią pójde z tobą na kolację, ale nie zdejmę czapki i odmawiam położenia na ustach nawet najcieńszej warstwy szminki. Nie jestem w nastroju.

- Nigdzie cię nie zabiorę w tym stanie - powiedział Tucker stanowczo. - Już dość długo ciągniesz tę swoją gierkę, Mercy. Daj spokój i przebierz się, albo...

Mercy zdała sobie sprawę, że Tucker całkowicie się odsłonił i ten fakt pobudził w niej ducha walki.

- Albo co? - zapytała z oczekiwaniem płonącym w ciemnych oczach.

- Albo odejde i już nie wróce. Nie wydaje mi się, aby którekolwiek z nas tego pragnęło.

Mercy uśmiechnęła się szeroko, odsuwając jednym palcem czapkę na tył głowy.

- Szczerze mówiąc, Tucker, tego właśnie pragnę. Nie wiem, czego pragniesz ty, i wcale mnie to nie obchodzi. Osobiście najchętniej wysłałabym cię na lotnisko i przyrządziła sobie smaczne jedzonko.

Tucker popatrzył na Mercy i na policzkach wystąpiły mu rumieńce niczym ślady po uderzeniu. - Nie mówisz chyba poważnie?

Wyglądał na tak zaskoczonego, że Mefcy poczuła dla niego litość. Piękny Tucker, który prawdopodobnie do końca Swoich dni będzie łamał niemądre, ufne serca. Ale jej serca nie złamie. Teraz już nie, Dotknęła jego twarzy po raz ostatni, z niepewnym uśmiechem na wargach.

- Obawiam się, że tak - powiedziała cicho. - Wracaj do domu, Tucker. Nie mogę żyć wedle twoich wyobrażeń. Dałam ci już zbyt wiele przez te lata, kiedy wszystko, co robiłam, inspirowane było przez poczucie winy i strach. W końcu odkryłam, że można kochać bez zatracania jednocześnie własnej osobowości.

- Sam Christie?- Twarz Tuckera pobladła z gniewu. - Tak naprawdę chcesz mi powiedzieć, że znalazłaś sobie kogoś, kto da ci więcej niż ja. Czujesz się z nim o wiele ważniejsza, prawda?

Mercy usunęła rękę.

- Przypuszczam, że ty to widzisz właśnie w ten sposób -wymamrotała ze smutkiem. Przykro mi, że to się tak kończy.

- No tak - powiedział Tucker szyderczo, ujmując Mercy pod brodę i ściskając boleśnie. - Widzę, że masz złamane serduszko, P a c z u s i u . Kiedy wszystko runie ci na głowę, nie przylatuj do mnie. Ja nie daję nikomu dodatkowych szans.

- Ja już znalazłam swoją dodatkową szansę - odparła Mercy. Podeszła do drzwi, otworzyła je na oścież i usunęła się, aby dać Tuckerowi przejście. - Żegnaj, Tucker. Mam nadzieję, że znajdziesz to, czego szukasz.

Posłał jej złośliwy uśmiech.

- O mnie się nie martw. Znajdę sobie lepszą.

Wyszedł, nie oglądając się za siebie. Mercy cicho zamknęła drzwi, czując, jak kłębiące się w pokoju namiętności powoli wygasają.

- Czy to rzeczywiście się stało? - szepnęła.

I wtedy pomyślała o Samie. Resztki smutku zniknęły z jej oczu. Udało jej się przebrnąć szczęśliwie przez „bolesny środek” jedynie dzięki niemu. Serce unosiło jej się w piersi niczym ptak na wietrze. Patrząc życiu prosto w twarz, zaznała niesamowitego poczucia wolności. Ileż odwagi, ileż radosnej pewności siebie zyskała dzięki przekonaniu, że Sam Christie ją kocha tak, jak dotąd nie kochał żaden mężczyzna. Który inny mężczyzna zostawiłby kobietę, aby mogła odkryć w sobie siłę? Och, tak potrzebowała Sama. Tęskniła za nim bardziej, niż kiedykolwiek tęskniła za Tuckerem. Nie kochała Sama tylko dlatego., że pomógł jej odnaleźć siebie i udowodnić własną wyższość nad Tuckerem. Potrzebowała Sama, aby dzielić z nim życie, aby mogły się połączyć dwa serca i dwa umysły, On to wiedział już od dawna. Po prostu czekał, aby Mercy też to sobie uświadomiła.

Pobiegła do sypialni i rzuciła się na łóżko. Czapka zsunęła się jej na twarz. Mercy chichotała pod nią wspomniawszy minę Tuckera, gdy ujrzał ją w drzwiach. Horror.

- Ten człowiek nie wie, co stracił - powiedziała. Wyrzuciła czapkę w powietrze z wojennym okrzykiem. - Mercy Rose Sullivan, zdejmuję przed tobą kapelusz.

Obróciła się na brzuch i podparła dłońmi brodę, Musi ułożyć plan działania. Przebrnęła przez bolesny środek, trzeba się zająć

świetlaną przyszłością. Jakże dziwne, jak zdumiewające jest życie wraz ze wszystkimi nieoczekiwanymi rozwiązaniami. Niespodziewane początki. Bolesne środki. Zadziwiające możliwości. Ból serca zadany przez mężczyznę, który po piętnastu latach Znajomości okazał się całkowicie obcym człowiekiem. I taka radość z miłości dzielonej z mężczyzną poznanym zaledwie przed tygodniem. W sprawach sercowych czas nie gra roli. Przyjaciela na całe życie można stworzyć jednym uśmiechem. Marzenia spełniały się tak nieoczekiwanie, a zwrot „i żyli długo i szczęśliwie” okazał się czymś więcej, niż tylko zakończeniem bajek dla dzieci.

Kto by się spodziewał?

RS

## **ROZDZIAŁ 10**

Przez cztery dni Mercy była jak na szpilkach; penetrowała klatkę schodową pomiędzy czwartym a jedenastym piętrem i zostawiała pod drzwiami kochanka liściki. Zachowywała się jak setki fanatycznych wielbicielek wielkiego Sama Christie.

W niedzielę rano wciąż jeszcze nie było żadnych wieści. Mercy zaczynała się niepokoić. Czowała do Sama wdzięczność za to, że dał jej czas na uporządkowanie uczuć, lecz jego szlachetność była chyba posunięta zbyt daleko. Mężczyzna doskonały przepadł jak kamień w wodę. W końcu Mercy zadzwoniła do jedynej osoby, która mogła coś wiedzieć o miejscu pobytu Sama,

Sekretarka Jacka Menziesa z satysfakcją bankiera odrzucającego podanie o pożyczkę, poinformowała Mercy, że doktor jest nieosiągalny. Na to Mercy oświadczyła, że rozpoczęła się u niej akcja porodowa i spodziewa się wkrótce nadejścia bólów. Wówczas sekretarka odparła, że natychmiast skontaktuje się z lekarzem. Niecałą minutę później zadzwonił Jack Menzies.

Sądząc po głosie, doktor był nieźle zawiany i trochę zakłopotany.

- Mówi Jack Menzies.

Mercy po raz pierwszy tego ranka spojrziała na zegar. Szósta trzydzieści. Nie zdawała sobie sprawy, że jest tak wcześnie.

- Tu Mercy Sullivan. Przepraszam, że dzwonię o tej porze, ale to pilne.

- Pani Sullivan? Nie przypominam sobie pacjentki o tym nazwisku. Proszę posłuchać, jestem lekarzem od uszu, nosa i gardła. Myślę, że musiała mnie pani pomylić z... - Cisza. - Chwileczkę. To ty, ta od różowej piżamy, prawda? Mercy. Czy wszystko gra?

- Nie. Zaczynam szaleć. To znaczy, tak, fizycznie wszystko w porządku, ale... Czy miałeś ostatnio jakieś wieści od Sama? Opuścił miasto kilka dni temu i od tej pory nic o nim nie słyszałam.

- Och, chciałbym, żeby rzeczywiście wyjechał z miasta. - Jack zniżył głos do szeptu. - Mercy, obiecałem Samowi, że nie będę się wtrącał, ale.... cztery dni temu pojawił się na moim progu z małą torbą w ręku i przeraźliwie smutną opowieścią na ustach. Od tego czasu mieszka u mnie.

- U ciebie? Powiedział, że ma jakieś sprawy do załatwienia poza miastem.

- Skłamał. O ile dobrze zrozumiałem, chciał zachować się szlachetnie. Gdyby zatrzymał się w hotelu, wieść o tym rozniósłaby się bardzo szybko, a on nie chciał, żebyś wiedziała, że nie wyjechał z miasta. Słynny Sam Christie ma pewne trudności z zachowaniem incognito. W tej chwili leży rozwalony na kanapie w salonie. - Kolejna pauza. - Kiedy wypije za dużo, chrapie. Wiedziałaś o tym?

Serce Mercy ścisnęło się nagle. Chciała krzyknąć z radości...



- Czy wszystko z nim w porządku?  
- Cały jest jak na szpilkach. Zachowuje się niczym dzikie zwierzę w klatce. Czy odebrałaś głuchy telefon wczoraj koło północy?

- Tak. Pomyślałam, że ktoś pomylił numer.

Jack westchnął.

- To Sam. Tęskni za tobą. Wiesz, nie jest przyzwyczajony do odgrywania szlachetnych ról. To go wykańcza.

Mercy zamknęła oczy, czując, jak ogarnia ją fala tęsknoty. Wielki Sam Christie zachowywał się jak uczeń, pragnący usłyszeć głos swojej dziewczyny, zanim ta odwiesi słuchawkę. Fontanna łez trysnęła Mercy z oczu, ale były to łzy szczęścia.

- Jack, kiedy on zamierza wyjść z ukrycia?

- Oficjalnie „wraca do miasta” dzisiaj, dzięki Bogu. Ma reklamować sklep z artykułami sportowymi Pedersona. Będzie wyglądał jak potępioniec. Mercy?

- Tak?

- To dobry człowiek. Pod tą całą otoczką, pod blichtrzem... jest naprawdę słodkim facetem. Nie chciałbym widzieć, jak dzieje mu się krzywda.

Mercy uśmiechnęła się przez łzy. Zakończenie typu „i żyli długo i szczęśliwie” zbliżało się z każdą minutą.

- Będzie bardzo, szczęśliwy, Jack. Zamierzamy zamieszkać na farmie ziemniaczanej,

- Proszę?

- To taka przenośnia, Jack. To tylko taka przenośnia.

Sam wyglądał jak potępieniec i dobrze o tym wiedział. Czuł się zresztą również jak potępieniec. Niewiele jadł przez ostatnie kilka dni, za to pił trochę za dużo. Jego żołądek bił na alarm. Zeszłej nocy nad miastem przetoczyła się burza i Sam nadal odczuwał jej skutki w postaci rwania w kolanach. Stanowczo nie był szczęśliwym człowiekiem.

Usiadł za tekowym stołem w sklepie sportowym Pedersona, rozdając autografy i zachęcając do kupna ubrań z kolekcji noszącej jego imię. Olbrzymia hala sklepu wypełniona była po brzegi, pomimo deszczu lejącego bezustannie na zewnątrz. Sam pracował już od południa, a wciąż jeszcze nie mógł zrobić sobie chwili przerwy. Odsiedział już umówione dwie godziny. Na parkingu za sklepem czekała nań limuzyna, ale nie miał serca wyjść z hali. Niektórzy z oczekujących przybyli już wczesnym rankiem, aby mieć okazję poznać sławnego Sama Christie. W sklepie czekali również przedstawiciele lokalnych stacji telewizyjnych, którym obiecał udzielić wywiadu po zakończeniu sesji reklamowej.

Poza tym gdyby wyszedł, musiałby iść do domu. Gdyby poszedł do domu; byłby zmuszony spotkać się z Mercy. Gdyby spotkał się z Mercy, ta mogła mu powiedzieć coś, czego nie chciał usłyszeć. Bezskutecznie starał się usunąć ją z myśli, uśmiechając się i gawędząc z nieznanymi. Chciał zapomnieć o tym, że cała jego przyszłość zależała od kilku najbliższych godzin. Wszystko na próżno. Jego dłonie, oczy i serce pamiętały o Mercy Rose Sullivan.

Zastanawiał się, co się wydarzyło w ciągu ostatnich czterech dni. Jak wyjdzie na swych szlachetnych intencjach. Wiedział, że

„opuszczając miasto”, świadomie brał na siebie ryzyko. Zostawił Tuckerowi wolną rękę, wiedząc, że ten człowiek nie zawaha się przed niczym, aby tylko odzyskać serce Mercy. Schodzenie z pola bez walki nie było w stylu Sama Christie, ale w grę wchodziło coś więcej niż duma. Dałby Mercy gwiazdkę z nieba z księżycem na dokładkę, ale spokój ducha musiała odnaleźć w sobie sama.

Rozdając autografy, Sam obmyślał plan działania. Jeżeli wszystko pójdzie dobrze, przestanie pić, będzie ogłaszał swą miłość ze szczytów dachów, tańczył na ulicach, wypuszczał w przestworza miliardy balonówi przetrząśnie sklepy w poszukiwaniu nieprzyzwoicie kosztownego pierścienia z diamentem. Jeżeli nie - wstąpi do klasztoru. Zawsze dobrze jest mieć jakiś projekt w ciężkich czasach.

- Czy mogę dostać pański autograf?

Ktoś położył na stoliku żółtą kartkę. - Nie ma sprawy. - Sam postarał się, aby w jego głosie zabrzmiał entuzjazm, którego nie odczuwał. - Dla kogo mam...

Ten głos. Ten słodki, figlarny, gardłowy głos.

Sam powoli, niemalże z przestachem uniósł wzrok. Serce zabiło mu mocniej, gdy napotkał jej spojrzenie. Był przerażony, zaskoczony i kompletnie nie wiedział co robić.

- Mercy?- wyszeptał.

Na czele kolejki stała jego piękna sąsiadka, mając na sobie uroczą baseballową czapeczkę i błyszczący żółty płaszcz przeciwdeszczowy. Miękka, jedwabista grzywka wystawała spod daszka czapki, ocieniając lśniące jak cekiny oczy. Mercy kiwnęła głową i wskazała palcem na kartkę.

- Zgadza się. Proszę po prostu napisać parę słów dla Mercy Sullivan. Jestem pana wielką fanką, panie Christie. Szalenie pana kocham. - Nagle zaśmiała się urywanie. - Naprawdę.

Sam spojrzął na długopis w swej dłoni i na trzymające długopis trzęsące się palce. Starał się coś wymyślić, ale nic nie przychodziło mu do głowy.

- Mercy - powtórzył.

- Czy mam przeliterować? - dziewczyna skwapliwie zaoferowała się z pomocą. - Dokładnie tak, jak się słyszy. M...E...

- Umiem cię przeliterować. Twoje imię. Umiem przeliterować twoje imię. - Posłał jej spojrzenie, w którym zawarta była radość, nadzieja i zdenerwowanie. - Nie mogę uwierzyć, że tu jesteś. Szalałem, zastanawiając się, czy... pragnąc cię zobaczyć, dowiedzieć... - Przerwał, patrząc na otaczające ich zaciekawione twarze. - Mercy, czy możesz chwilę na mnie poczekać? Musimy

- Nie mamy za wiele czasu! - zawołał ktoś z kolejki.

-Przestań go sobą absorbować, kochana. Daj nam wszystkim szansę porozmawiania z mężczyzną doskonałym.

Mercy wzruszyła ramionami. Na ustach miała niesamowicie czuły, cudownie znajomy uśmiech.

- Okropnie mi przykro. Chyba pana absorbuje, panie Christie. Proszę mi dać swój autograf, a będę najszczęśliwszą kobietą pod słońcem.

- A więc wszystko w porządku? - zapytał z wahaniem, starając się przeniknąć myśli Mercy. - Wszystko... jest tak, jak chciałaś?

Mercy posłała Samowi zapierający dech w piersi uśmiech.

- Nie miałam żadnych wątpliwości. A jak twoja podróż? Dobrze się bawiłeś?

Sam z trudem przełknął ślinę.

- No, tak... oczywiście. Nie. To znaczy, wiesz przecież, jak zimne i anonimowe są hotelowe pokoje.

- O tak - odpowiedziała współczująco/Po czym dodała: - Spanie na kanapach też nie jest zbyt wygodne.

- Młoda kobieto! - Kierownik sklepu przedarł się przez tłum i poklepał Mercy po ramieniu. - Weź pod uwagę, że nie jesteś tu sama. Nie blokuj kolejki.

- Odejdę, jak tylko dostanę autograf - odparła Mercy. Spojrzała wyczekująco na Sama. - Jeżeli nie ma pan nic przeciwko temu? Proszę napisać na przykład: „Najlepsze życzenia dla mojej przyjaciółki, Mercy Rose Sullivan”. Byłoby mi bardzo przyjemnie. Przechowam pański podpis starannie jak relikwię.

- Moja przyjaciółka Mercy - powtórzył Sam cicho. Jego droga przyjaciółka.

Mercy długo musiała czekać na uśmiech Sama, ale, do licha, warto było. Mężczyzna doskonały napisał coś na żółtej kartce i wręczył ją właścicielce. Przeczytała, po czym przywarła zaskoczonymi oczyma do Sama. Papier, sfrunął na podłogę.

- Cała przyjemność po mojej stronie - szepnęła Mercy gardłowo. - Och, nawet nie wiesz, jaka przyjemność!

I wówczas Wieczny Buntownik okazał się godny swojego imienia.

Na oczach zafascynowanych, zazdrosnych, zaskoczonych gapiów wstał, obszedł stół, chwycił w ramiona kruszynkę w baseballowej czapce i pocałował ją z pirackim zuchwalstwem i

fantazją. Bezlitośnie. Prosto w usta. Nie odrywając się dla zaczerpnięcia oddechu. I najwyraźniej nic go nie obchodziło, że znajdują się w miejscu publicznym.

Kobiety zaczęły piszczeć i rozpychać się w kolejce. Rozbłysły aparaty fotograficzne. Członkowie ochrony przebili się przez tłum i stanęli zaskoczeni, nie wiedząc, kogo przed kim należy chronić.

- Co on napisał?
- Kim ona jest?
- Czy będzie całował wszystkie?
- Nie pchajcie się, głupie.
- Czy oni nie muszą oddychać?
- O, kurczę, on naprawdę całuje!

Jakaś przedsiębiorcza kobieta przeczołgała się pod stołem i chwyciła żółtą kartkę. Przeczytała ją, siedząc na podłodze, po czym przycisnęła ręce do serca.

- O kurczę! Co za mężczyzna! Myślę, że on się jej oświadczył. To są chyba oświadczyń!

Gorliwy reporter przebił się łokciami przez tłum, trzymając mikrofon w ręce!

- Co tam jest napisane? Proszę nam powiedzieć dokładnie, co Sam Christie napisał na tej kartce!

Młoda kobieta na podłodze odwróciła się kokieteryjnie w stronę kamery stacji Channel Five i przeczytała głosem drżącym z podniecenia:

- Tu jest napisane: „Dla mojej przyjaciółki i miłości mego życia, Mercy Rose Sullivan,” z podziękowaniem za wspólne spędzenie najbliższych pięćdziesięciu lat... z góry”.

Tłum odpowiedział zachwyconym okrzykiem. Mercy ode-  
rwała się od ust Sama i zapytała:

- Czy to jest właśnie jedna z tych intymnych chwil, które  
wiesz, jak najlepiej wykorzystać?

Sam ujął rękoma jej twarz. Zaczął się śmiać, a Mercy mu  
wtórowała. Zanosząc się od śmiechu, przyłgnęli do siebie, kur-  
czowo szukając oparcia. Sam ucałował miękkie, nabrzmiące,  
roześmiane usta.

- Moja pani - powiedział: - Wszystko jest jeszcze przed tobą.

RS